

20

ll. do

mg. 239 27

27. 58  
9+

NOWELE.

---

Warszawa. Druk P. Laskauera i W. Babickiego.



Janina Baudouin de Courtenay.

# NOWELE



WARSZAWA

BRONISŁAW NATANSON

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI J. FISZERA

Nowy Świat № 9.

1901



277718

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 22 Февраля 1900 г.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0164081

D-237/04 p

## Na krańcu Świadomości.

(URYWEK)

Nieszczęście spadło nagle — jak piorun. Co najdziwniejsza, iż piorun ów zagrzmiał nad cichem, łagodnym morzem, leniwie poruszającym masywną falę... Wypadł z przeczystych niebios, spoglądających na morze rozmarzonymi oczyma południowych gwiazd. Nawet ten księżyc, polyskujący młodziuchnym sierpem, podsuwał myśli raczej idylle pasterskie wśród mirtów i platanów, niż okropności agonji, niż konwulsje konania i ostatnie jęki rozpaczy bez granic. A jednak nie mogło być nawet promyka nadziei. Dokoła morze, szeroko jak świat roztoczone — spokojne, lecz nielitościwe. Los był przynajmniej o tyle łaskawy, że większość podróżnych z «Atheny» zginęła nagle, w swych okrętowych sypialniach.



gdzie śmierć pochwyciła ich w swe pazury, jak straszna zmora nocna. O wiele gorzej było tym kilku, którzy zdążyli rzucić się w pław na fale i w powolnych torturach słabnących członków dłużej i straszliwiej czekać musieli aż całun morski ich pokryje.

Lecz była jeszcze jedna kategoria. Przedzielona niejaką odległością od zapadającego się już statku, kołysała się wśród bałwanów niewielka łódź ratunkowa z czterema chroniącymi się w niej majtkami. Oni jedyni, pełniący służbę nocną na statku, przeciwstawili błyskawicznemu nieszczęściu błyskawiczną też kombinację. W mgnieniu oka zepchnęli łódź na wodę i zawołali w tym samym momencie: «Ratujcie się!» do dwóch tylko czuwających na pokładzie podróżnych. Poczem skoczyli w czółno i oddalili je kilku uderzeniami wiosel od ginącego nagle okrętu. Na pokładzie było wprawdzie wielu biedaków rozlokowanych w najdziwaczniejszy sposób i smacznie śpiących pod oddechami miękkiego, wilgotnego wiatru, ale nie warto było nawet ich budzić, by rozpaczliwe ich zamieszanie poprzedziło rozpaczliwy a nieunikniony koniec. Czterem marynarzom przemknęło w myśli pytanie: czy pomocnik kapitana, kierujący w tej chwili statkiem, umarł, zwarjował? — czy też się upił, zasłabł lub zasnął? Coś podobnego musiało go spotkać, choć nigdy dotąd nie spotykało. Statek najniewątpliwiej zboczył ze swej drogi właściwej, gdy

właśnie najmniejsze zboczenie z niej w tym punkcie groziło przebicciem o niezliczone rafy podwodne. Dziura musiała być wielką, a może odrazu zjawilo się ich kilka, bo okręt wstrząsł się jak szalony, pochylił się, jakgdyby z czegoś się staczał, a potem jał się pogrążyć jak kula ołowiana. Rozbitki nie mieli, naturalnie, czasu, zastanawiać się nad tem. W okamgnieniu znaleźli się w łodzi, w okamgnieniu też odsunęli się od statku, a jednakże — w toż same okamgnienie dwaj czuwający pasażerowie, nie zdolawszy już trafić do łódki, rzucili się w pław do niej. Statek pogrążał się już, jak kamień... rzucono im z szalupy linę... W tej samej chwili «Athena» zapadła w morze, a na jej miejsce wzbily się dwie ciemne ściany wód, szalejących przez moment... Marynarze z trudnością wciągnęli do łodzi ciężkie, przemokłe ciało, z pięściami ściskającymi konwulsyjnie linę ratunkową — i z gorączkowym pośpiechem uchwycili wiosła, by uciec z fatalnego koła rozbujających bałwanów. Drugi z pływaków, walczący przez chwilę z falami obok poprzedniego, znikł nagle wśród owych ciemnych ścian wody, które wchłonęły «Athenę.» Łódź także chyba zatonie... Jak piłka skacze i w dół opada... Lecz jakoś się przecie wydobywa, dygocze, chwijeje się, jakby rozbita; coraz to dalej od tamtej, zamkniętej, czeluści. Jeszcze chwil kilka straszliwej obawy — i jeszcze kilka ogromnych bałwanów... A potem morze wyście-



la się kobiercem złożonym w arabeski z gwiazd i promieni księżycowych — i tak słodko, tak pieśczośliwie kołysze łódź na swem łonie, że owa mizerna skorupa płynie po niem, jak łabędź po cichej sadzawce królewskiego parku.

Ludzie z łódki nie oglądają się wcale. Bo i pocóż zresztą? Łódź to najmniejsza z łodzi «Atheny.» Wszystko musiało już zginąć. Niema kogo ratować. Milczą już ponuro, po lakonicznych domysłach o domniemanych przyczynach katastrofy. Natomiast zajęci losem własnym baczą na posuwanie się czółna i wyteżonym wzrokiem szukają na horyzoncie sylwetki jakiegoś statku. Noc jasna — i nie powinni być jeszcze daleko od tego szlaku morskiego, który się łączy setkami okrętów, wiodąc z Brindisi do Aten. Jakoż naprawdę byli niedaleko od słynnej drogi handlowej. Po chwili oczekiwania ujrzeli światło, zwiększające się szybko. Doświadczone ich oczy dostrzegły bez trudności, iż jest to duży parowiec, zmierzający na ich spotkanie. Poczęli mocno pracować wiosłami w stosownym kierunku, gwarńni, radośni. Niebawem też ludzie z załogi włoskiego parowca usłyszeli ich głosy, wzywające pomocy. Za parę minut łódź ich już się tuliła do silnej piersi zbawczego statku.

— Czasem i łódź ratunkowa naprawdę się przyda — wymówił zmęczonym, lecz pełnym ironji, głosem jedyiny uratowany podróżny z «Atheny,» apatycznie wstępując na pokład parowca.

Od czasu jak przemokłego i drżącego wciągnięto go do łodzi i tam rzucono na środek jak ciężki ładunek — przemówił po raz pierwszy.

\* \* \*

— «Kto był ten czarnooki, smagły chłopak z taką rozpromienioną i tak dziecinnie szczęśliwą twarzą? Że też bywają na świecie podobne fizjonomie! — Wystaw sobie, mój drogi, że on mi z myśli nie schodzi. Jest to wprost nieznośne! Bo czyż nie wszystko jedno, jak się nazywał i jakiej był narodowości? Włoch (najprawdopodobniej)? Grek? może Cygan? może Mingrelczyk lub Rumun? Spotykałem podobne do niego typy wśród wszystkich tych południowców. Na tym jednak okręcie złożyły się one w amalgamat różnojęzyczny i różnotemperamentowy, połyskując chyba tylko jedną czarnością źrenic i kędziorów. Chłopak musiał niewątpliwie należeć do typu południowego, lecz rysy jego nie miały kaukazkiej ostrości, oczy — dzikiego, cygańskiego blasku, ani też migotliwości kupczącego, Greka lub Ormianina. Była to wprost otwarta wesoła twarz młodzieńcza — o źrenicach przejasnnych jak sama pogoda albo marzenie wiosenne... Mógłby być wcale ładnym modelem dla malarza — szczególnie, gdyby ubrać go w берет, trykoty i krótki płaszczyk z czasów Odrodzenia. Dobrze-by go było wymalować jako młode-



go ucznia-entuzjastę przy którymś z wielkich mistrzów. Zresztą, był on może zanadto synem plebsu, jak na takie malowane cacko — *trop simple et trop vulgaire*... Chciałem Ci coś o nim powiedzieć w końcu tego listu, ale chyba zupełnie już nic nie powiem, albo dorzucę słów parę kiedyś, jeśli mi to jeszcze przyjdzie do głowy. Dziś jestem zdenerwowany i zmęczony — jak zwykle, bez żadnej przyczyny.»

\* \* \*

«Z przedziwną cierpliwością czytasz to, co się nazywa memi listami, — ale, co jeszcze dziwniejsza, pożądasz ich tak, jak-gdyby były owocem zakazanym. Doprawdy, że podejrzewam cię czasem o zaliczenie mię do miłego towarzystwa twych «subjektów,» z którymi tak przyjacielsko rozmawiasz w swoim zakładzie — i że daję ci materiał ciekawy do obserwacji psychjatrycznej... No, nie chcę szukać zaczepki z tobą — i nie chcę tracić iluzji twej przyjaźni, bo ona jedna chyba tylko bywa czasami zdolną wytrwać mię z nudnego, chociaż wygodnego, stanu arcy-apatji. Przepraszam, — gdyby też także spłonęły, czy zapadły się w ziemię, lepsze galerie obrazów, mógłbym również otrząsnąć się z apatji na czas jakiś... Ale... ale... coś ci mam powiedzieć... Zresztą... Oswoiłeś się już dawno z memi nieporządnymi listami i z całą mą nieporządną

istotą, która przed tobą jedynym odkrywa się z szczerością bez granic. Miałeś ostatecznie zawsze dla mnie słabość braterską, jesteś rozumny i dziwnie zrównoważony; wiesz już, co chciałbym przez to powiedzieć. Dla tych trzech przyczyn właśnie, przed tobą jedynym czuję gwałtowną potrzebę wywnętrzania się, stawiania przed oczy twoje wszystkich dziwacznych zakątków nieznośnej mej duszy. Muszę ci gadać o sobie i tylko o sobie, jak głupi i niesmaczny egoista, inaczej bowiem zdławiłby mnie «świat mój wewnętrzny», grzecznie się wyrażając o tem lichu. Wobec innych ludzi jestem niezmiennym, etycznym «Dandy,» *un homme très correct*. Jest to maska, bez której obejść się nie mogę — i wcale nie dlatego, bym chciał się wydawać lepszym, niż jestem: prawdziwie mało mnie to obchodzi; lecz maska staje się tarczą tego rodzaju, iż pod jej osłoną, jak żółw pod skorupą, czuję się panem własnej nieprzyjemnej duszy. Nikt jej nie dosięga i nikt w nią nie zaziera. O! jak czasem przykro odczuwa się obecność owej duszy!»

\* \* \*

«Zdaje mi się, że ci już pisałem dawniej o młodym chłopcu, który omal się nie wyratował wraz ze mną? «Omali!» w tem właśnie jest okropność. Gdyby nie ta nieszczęsna okoliczność, że majtkowie śpieszyli uciec od wiru i że tuż, tuż za nami



zapadła się owa przeklęta «Athena», kiedyśmy obaj już prawie dopływali do łodzi—to-byśmy byli obaj uratowani. Zdążyłby on pochwylić linę—i w tym wypadku nie schwyciłby mnie instynktownie za szyję i nie zacząłby mnie tak nieprzytomnie dusić, szukając ostatniego ratunku. Było to w tym momencie, gdy sam ja zaledwie porwałem w dłoń linę. Tymczasem poczęły go zatapiać fale wzburzone—i spostrzegł, że marynarze, pochwycając za wiosła, mnie jednego tylko ciągną gwałtownie na czołno. Chcąc więc jakkolwiek utrzymać się przy mnie, ścisnął ramionami mą szyję nieprzytomnie, konwulsyjnie, i zaczął straszliwie mię dusić. Poczułem, że brak mi oddechu, że lina mi się wysuwa ze słabnących dłoni... i zebrałszy siły ostatnie, odepchnąłem go od siebie... i jeszcze raz oczy się nasze spotkały. Bodaj-bym był lepiej utonął, aniżeli się spotkał z temi oczami. Patrzą one wciąż na mnie—i czy uwierzysz? zaczynam się wprost kurczyć pod ich spojrzeniem...»

\* \* \*

«Oskarżasz mię o słabość charakteru i chorobliwą nerwowość, z których się leczyć należy; zapraszasz mię na wieś do siebie, wskazujesz nawet pieśczęty i swawole swych dzieci jako środek leczniczy dla mnie. Nareszcie starasz się mię uspokoić rozmaitemi kombinacjami, dotyczą-

cemi wypadku. Przypuszczasz, iż chłopak był włoskim emigrantem—jednym z tych licznych biedaków, którzy rzucają się ku światom nieznanym, szukając lepszego życia, lecz zamiast tego giną z przewlekłej nędzy, ten zaś zginął przynajmniej odrazu. Przypominasz mi nawet, że parę lat temu utonęło dwustu emigrantów włoskich gdzieś na Atlantyku z żonami i dziećmi, i że nie odchorowywał tej katastrofy, choć była ona niewątpliwie o wiele groźniejszą i chociaż głośiły o niej wszystkie dzienniki Europy. Lecz liczne dowodzenia twoje na nic się nie zdały, nawet z logicznego punktu widzenia: mógł on sobie być emigrantem, ba, nawet żebrakiem, wszystko mi jedno. Widziałem tylko jak namiętnie przywiązany był do życia, jakimkolwiek ono było. Rozdrażniało mnie nieco to śmieszne jego «szczęście istnienia», to jasne przezrocze żrenic, ta świeżość młodzieńczego uśmiechu, gdy wyszedł na pokład w początku podróży i niechcący rzuciłem okiem na smukłą tę postać w czerwonej bluzie i prostym kapeluszu słomianym. Zajadał chleb i co moment zmieniał pozycję—to wpatrywał się w morze, z istnym zachwytem mieszkańca wybrzeży, albo dzieciaka, oglądającego po raz pierwszy «taką wielką wodę», to znów uśmiechał się i machał ręką do chłopca okrętowego, wspinającego się na maszt sąsiedni, to nagle obejmował za szyję jakiegoś osmolonego majtka i coś mu szeptał na ucho z ożywieniem, nie bacząc



na to, iż ten go odpychał grubijańsko, uśmiechając się doń swoją drogą. I wielu uśmiechało się mimowolnie, gdy kręcił się po pokładzie; nawet i jam się podobno wówczas uśmiechał, lecz potem już nie zwracałem nań żadnej uwagi. Ale tę jego szaloną chęć życia zdradziło najwyraźniej jedno spojrzenie: to właśnie, które mi usnąć nie daje, a gdy zasnę nawet, tkwi, wbite we mnie z czarnej przepaści z pomiędzy dwóch ścian wodnych... Spojrzenie rozpaczne, błagające—i wówczas nawet błagające, gdym go odepchnął!... i wówczas nawet, gdy nic już pomódz nie mogło».

\* \* \*

«Nie ma wątpliwości, że to ja go utopiłem. Jam przeciał to życie prawdziwe, życie dla życia, życie w imię życia!—i uratowałem za to swoją karykaturę, parodję życia... Zresztą fale były już za wielkie, ja zaś zziębły i słaby, działałem prawie machinalnie... Nie, nie—jam nie winien. Nieprawdaż, bracie, przyjacielu ty mój jedyny,—nieprawdaż, że nie jestem winien?»

\* \* \*

«Próżne złudzenie, próżne wykrety... Ty zaś przepraszam cię, niemądrześ się niemi ucieszył i podtrzymujesz je na wszelkie sposoby. Fałsz to najwierutniejszy. Jeśli mi siły starczyło ode-

pchnąć go z takim impetem, to mógłbym chwycić go za włosy i podać mu linę. J jakim prawem dla siebie tylko zagarnąłem linę, rzuconą nam obydwom? Ohydny instynkt zwierzęcy! ohydny instynkt samozachowawczy za cenę zguby innej duszy ludzkiej! I to ja tak zrobiłem—człowiek prawie czterdziestoletni, z niczego niezadowolony, znający życie na wylot. On zaś miał najwyżej lat siedmnaście albo ośmnaście—kochał namiętnie swe życie, jedyny dar natury, skarb swój jedyny... Przeklęty i ohydny instynkt zwierzęcy!»

\* \* \*

«Powiedasz, że nagle niebezpieczeństwo odbiera ludziom przytomność, że nie mają czasu nawet rozważać i zastanawiać się, co robić należy. Na nieszczęście, to oklepane twoje dowodzenie mogę odeprzeć wielką ilością przykładów historycznych i życiowych. Nie będę do tykał bohaterów antycznych: niech śpią na wyrzynach chwały. Z całego mnóstwa zaś bliższych, sprawdzonych i widzianych przez naszych rówieśników prawie—z takich przykładów przytoczę dwa tylko. Oto kapitan statku, umieściwszy wszystkich ludzi z tonącego okrętu w łodziach ratunkowych, nie znajduje już miejsca dla siebie, płynie więc, trzymając się za krawędź łodzi, i daje rozkazy. Rekin odgryza mu kolejno



obie nogi; on blednie, lecz wciąż wydaje rozkazy. Dopiero słabnąc od utraty krwi, mówi, co się z nim stało i, mdlejąc, tonie. Czy i ten stracił przytomność? Wypadek autentyczny, wciągnięty do morskich ksiąg miasta Londynu. Czytałeś też może w dzieciństwie, w książkach moralnych dla młodzieży, o tym hajduku pewnej polskiej księżny, co rzuca się na pastwę wilkom, by dać czas uciec koniom swej pani? Ten także przytomności nie stracił. Lecz może nazwiesz ten czyn jego prosto psem przywiązaniem? O, tak! jest to prawdziwie psem przywiązanie do *cudzego* życia. Lecz jakże wobec niego wygląda moje ludzkie przywiązanie do *meo własnego* życia?... Nie myślę wylizywać ci więcej przykładów podobnych. Lecz sam wiesz, że było i bywa ich dużo. Zatem nie wszyscy poświęcają dla siebie podobne im istoty — tylko pośledniejsi z nich i podljesi.»

\* \* \*

«Dawno już nie pisałem do ciebie, a to dla tego, że męczymy się teraz wzajemnie swemi listami. Dowodzenia twe i prośby, coraz bardziej mię rozdrażniają. Im więcej starasz się mnie uspokoić i wyleczyć z «dziwacznej i chorobliwej manji, którą się zadreczam» — tem energiczniej powstaje w duszy mej protest, że nie jest to bynajmniej manja chorobliwa, lecz tylko całkiem zdrowy, całkiem usprawiedliwiony samosąd, całkiem naturalna męka sumienia, obciążonego świadomem,

czy może nieświadomem, przestępstwem. Bo sam nie wiem dotąd, jakie ono było — świadome czy nieświadome? Być może zresztą, że jest to tylko całkiem zrozumiała litość i żal nad ofiarą mego ocalenia, nad ofiarą przeze mnie zgubioną, chcący czy też nie chcący? Sądzę, że każdy człowiek zdrowy, normalny i niepozabawiony serca, na mojem miejscu musiałby doświadczać tego samego. — Powiem ci coś, coby cię naprawdę zdziwić powinno (jedynie dlatego, że nie jesteś w mojej fatalnej pozycji — o, potem nazwiesz mię już zapewne ostatecznym warjatem, ale mniejsza z tem) — otóż wyznaję ci, że chłopaka tego wprost oplakuje, oplakuje, jak kogoś ukochanego. — Mój Boże! gdyby on ocalał wraz ze mną, myślę, iż porwałby mię w potok swego młodego życia, uniósłby mię w chryżym tym pędzie — i ja bezbarwny i martwy, zaraziłbym się jego energją i mógłbym istnieć dla niego; mógłbym się nim zająć jako jedynym synem. Wydaje mi się nawet ciągle teraz, że ode mnie-by zależało, stworzyć mu świetną przyszłość, poprowadzić go drogą właściwą — i wówczas życie nie zawiodłoby jego młodzieńczych nadziei. A jam go zamiast tego pograżył na dno morza!... Ha, ha... w te ślady i mnie-by pójść należało!»

\* \* \*

«A więc tak jest niewątpliwie i niezawodnie: jam to przeczuwał — «widziałem oczami duszy



mojej». Rozumiem teraz to wyrażenie poety. Tymczasem—według ciebie—jestem zapewne oddawna nieszczęsnym szaleńcem, i nic już dla mnie innego nie znajdujesz, jak tylko przyjazd swój najspieszniejszy w celu zaopiekowania się chorym biedakiem i zawiezienia go pod zbawczą strzechę swego «domu»! Nie trudź się, przyjacielu. Już-byś mnie nie znalazł ani w Atenach, ani w Brindisi, do Londynu zaś już nie powrócę, bom tam napróżno szukał spokoju przez całych pięć miesięcy. List ten piszę do ciebie ze statku, który wynajęłam w celu wędrowki do przypuszczalnego miejsca zatonięcia «Atheny». Uspokój się: jeszcze nie zwarjowałam do takiego stopnia, żeby szukać tam «jego» ciała. W części interesuje mnie miejsce wypadku, ale mam też prócz tego i cel inny. Wracam jednak do tego, że to, co widziałem oczami duszy, zobaczyłem teraz na jawie. Słuchaj.

Oddawna dręczyło mnie już pragnienie pałace dowiedzenia się czegoś o «nim». Miałem nadzieję odnaleźć bez trudności wyratowanych majątków z «Atheny». Przywykli do służby na statku ateńskim posażerskim, musieli, zapewne, szukać podobnej posady na innym statku tej samej kategorii, w tych samych Atenach. Ponieważ zaś w porcie ateńskim pamięć o wypadku była jeszcze świeża, to poleciwszy sprawę kilku faktorom i ogłosiwszy w pismach, znalazłem dwóch potrzebnych mi marynarzy. Pierwszy nic nie

mógł mi powiedzieć; on całkiem nie spostrzegł nawet podobnego pasażera (było ich tam tak dużo!), a może go wprost zapomniał; drugi zaś zauważył go dobrze i tak dalece zapamiętał, iż mógł mi o nim opowiedzieć stosunkowo bardzo dużo...

Dowiedziałem się więc od niego, iż ów «wesoły, zabawny» chłopak był włochem — sierotą. Wiózł jakieś szczególne gatunki owoców do pewnego sklepu włoskiego w Atenach, jadąc tam jednocześnie na służbę do właściciela tej firmy z listem od syna jego, ogrodnika i handlarza owoców w Brindisi. Służył u tego ostatniego od lat już kilku.

Nie bardzo mu się podobało sprzedawać owoce w porcie i na spacerach, lecz trudno było o inne zajęcie. Opowiadał wszystkim, kto tylko chciał słuchać tej paplaniny (chłopak był «gadatliwy jak papuga,» według wyrażenia mego marynarza), iż nadewszystko lubił rysować i podróżować. Rysowałby i podróżował przez całe życie. Dużo się nagadał o sobie, ale majątek zapomniał już teraz o tych «głupstwach.»

— Lubiał rysować? — zapytałem machinalnie, sięgając po portmonotkę — i widząc, że nic już więcej nie wydobędę z namyślającego się greka. Dziwiło go interesowanie się moje nieznanym nieboszczykiem, lecz, pomimo widocznej chęci słuchania mi w tym względzie, nie miał nic do powiedzenia. Dobrze, iż zdobył się i na tyle.

— Tak, najwięcej o tem gadał... Nic-bym



nie mógł przypomnieć o nim, gdyby nie to, iż chłopak nie kładł się spać do północy (tak lubił patrzeć na morze i księżyc) i gdybym nie był wówczas na dyżurze. Przysiadł się do mnie i rozmawiał, aż póki «Athena» nie roztlukła się o te skały. Pan tylko i on jedni-ście nie spali, oprócz nas, służby nocnej. A że dobrze się pamięta chwile poprzedzające jakąś biedę, to pamiętam co mi on, nieborak, opowiadał o sobie. Prawda! jeszcze mogę coś panu dodać. Że też-to zapomniałem, a pana tak wszystko zajmuje! W dzień jeszcze, snując się po pokładzie, śmiejąc się i dogadując, chwalił się nam wszystkim, iż kiedyś, sprzedając na moście owoce, oparł się o słup i coś narysował na kawałku papieru do zawijania. Ktoś się zatrzymał, by kupić pomarańcz, i gdy je zaczął zawijać, kupujący pan, młody i bogaty, wyrwał mu z rąk zarysowany papier i jał mu się przypatrywać. Rysunek tak mu się podobał, iż kazał chłopakowi przyjść do hotelu, w którym się był zatrzymał, i obiecał mu, iż może go umieścić w jakiejś blizkiej i dobrej szkole malarstwa. Poszedł więc do niego o wyznaczonej godzinie, lecz trafił w złą chwilę dla siebie. Młody pan zstępował właśnie ze schodów w towarzystwie jakiejś pięknej i strojnej pani, rozpromieniony i wpatrzony w nią, jak w tęczę. Kiedy niemądry chłopak pomimo to zaszedł mu drogę, wymachując zapewne kapeluszem i pokazując białe swe zęby—jak to on umiał—i przypomniał mu

obietnicę, młody elegant odesłał go półgłosem do djabła i dał mu pojąć, iż on mu teraz nie w głowie; nazajutrz zaś wyjechał z piękną panią do Wenecji.—Chłopak bazgrał coś nawet w notatnikach znajomych bliżej majtków.

— To może i wy-ście mu swój dawali? — spytałem z bijącym sercem.

— Doprawdy, nie pamiętam, czy mu też dawalem? Mógłbym to, zresztą, sprawdzić.

— Czy macie go przy sobie?

— Nie, chyba w domu—u żony gdzieś został.

Nie zważając na zwiększające się coraz bardziej zdziwienie greka, prosiłem go, by zajrzał, do swego notatnika na wszelki wypadek. Poszedł więc do domu, i długo czekać musiałem, zanim powrócił. Wracając, z daleka już potrząsał czemś tryumfująco. Serce mi biło coraz mocniej... Wyrwałem mu prawie z rąk zatłuszczoną niezgrabną, sporą księżczyne, skleconą widocznie przez samego właściciela z lada jakiego papieru. Kilka białych jej kartek było zarysowanych. Same typy, karykatury i szkice z nieszczęsnych pasażerów «Atheny»,—niezrównanie piękne, śmiałe i genialnie wprost pochwycone szkice! Czasem zaledwie kilka linji, pociągnięć szerokich ołówka—i w tem całe morze życia!

Nagle zadrzałem. Znalazłem siebie samego. Byłem tam uderzająco podobny. Może mię tylko wyidealizował, nadając więcej dystynkcji zmęczonym rysom i zwiędłej mej figurze i pochwycił





szy przypadkowo dość estetyczną pozę. Nadał mi też zapewne daleko więcej wyrazu — i dziwnie szlachetnego wyrazu, w smutnych oczach... Czemuś nie zrobił ze mnie, jak z innych, karykatury, przeciwnie, daleko staranniej nawet opracował ten szkic przepyszny?... Łzy mi spadały z oczu, kiedym się mu przyglądał. Jakże starannie portretował swego zabójcę, ten wielki mistrz niedoszły! — Pod szkicem, pod tym tylko szkicem — stało nazwisko jego. Zwał się Angelo Pierri.

Cóż powiesz na to? Wiem tylko, iż teraz dopiero rozumiem naprawdę, dlaczegoom cierpiał tak okrutnie: przyczyniłem się do zguby nie tylko człowieka, ale wielkiego człowieka, wielkiego w najdroższej mi dziedzinie — sztuki. Mógłbym w nim mieć perłę i chlubę swego życia, mogłem go zrobić tem, czem być był powinien... i... inaczej się stało. Widziałem to wszystko oczami duszy, a tyś mię miał za szaleńca... Teraz, być może, osądzisz inaczej i wniesiesz coś nowego do swoich badań psychiatrycznych.

A teraz żegnaj mi, bracie i przyjacielu mój jedyny. Wybacz, ale inaczej nie mogę. Parę uśmiechów dziecięcych rozwieje twój krótki smutek po mnie. Oszalałbym naprawdę, żyjąc dłużej. List ten zostawiam na statku żaglowym «Marja» z prośbą, by ci go odesłano. Prawda! notatnik marynarza także ci mogę już zostawić. Związuję go wraz z listem pod wspólnym adresem. Nieprawdaż, szkice przepyszne?»

\* \* \*

W rubryce wypadków jednego z dzienników ateńskich w sierpniu 189.. roku mieściła się następująca wzmianka:

«W przeszłym tygodniu nieznaną cudzoziemiec, mówiący trochę po włosku i ledwie słów parę po grecku, wynajął w naszym porcie statek żaglowy «Marja», opłaciwszy sownie naprzód właściciela. Dopłynawszy na drugi dzień ku wieczorowi do pewnego punktu długości i szerokości, starannie przezeń sprawdzanego, wstrzymał tam statek na czas jakiś — i w chwili, gdy, nakazawszy powrót i zaprzątnawszy tem szczupłą załogę, udał się niby zapalić cygaro na końcu statku — rzucił się nieznacznie w morze. W tłumoczku jego znaleziono list na imię profesora M. do Paryża, przywiązany krawatem do prostego zeszytu, oraz kartkę z kilku słowami: «Rzuciłem się do morza dobrowolnie. W razie potrzeby upraszam zwrócić się do adresata zostawionego listu, M.»

Niepoczesny zeszytek zawiera kilka jakby wyrwanych z kądeś kartek z niezwykle pięknymi szkicami tajemniczego samobójcy».



# ZAPÓŻNO.

ELEGIA.

Przez drobny pryzmat własnej duszy można oglądać dokładnie cudzą—wielką duszę, jak z małego okienka—świat szeroki.

*Anonim.*

«W połowie drogi mojego żywota»—choć nie błyszczał na czole moim dantejski wieniec z laurowych cierni chociaż barki me słabe nie zginały się pod olbrzymim brzemieniem i szczęściem geniusza—uczulem się jednak nie mniej zmęczonym i smutnym, niż ci szlachetni a wielcy, którzy świecą i służą ludzkości całej i cierpiąc ogromnie za ludzkość. Nie świecąc jej i nie służąc, cierpiałem za nią może jak święty, dobry geniusz—tak mocno i tak głęboko. Serce mia-

łem naprawdę wielkie,—«geniusz» w odczuciu i współczuciu swoim.

Ze stromej a kamienistej ścieżki życia mego musiałem spychać głaz po głazie, by odwojować sobie każdy krok trudnej drogi. I czyniłem to na początku z wesołą pieśnią bojową, jak żołnierz ufny w zwycięstwo, jak młody robotnik wierzący w siły swoje, spoczynek i nagrodę. Byłem sam jeden, byłem bardzo młody—ufałem w przyszłość i kochałem przyszłość tę namiętnie, jakby istniała już naprawdę tak piękna, jaką ją mieć pragnąłem. Dzień po dniu, rok po roku schodził, a czarodziejska postać przyszłości mojej cofała się i cofała wciąż jeszcze przede mną, błyskając djamentami figlarnych oczu, uśmiechając się zalotnie koralami ust — zpoza wabnej maski. A gdy, przyśpieszywszy kroku, chwytalem wreszcie w ramiona czarodziejkę, oczy jej ćmiły się łzami, usta drgały z boleści. I upajałem się tylko łzami temi, i trulem się tylko goryczą ust cierpiących...

Na drodze mej tymczasem coraz-to cięższe gromadziły się bryły. Stapałem po niej tem nieszczęśliwszy, że nie samotny już więcej. Szły za mną istoty słabe, lecz mocno uczezione za mnie drobnymi rączkami. Prześliczna wizja przyszłości zestarzała się tymczasem, traciła stopniowo czar swój nadziemski—i oto stapała już przy mnie, nie cofając się więcej, gdy nie sięgałem już po nią—z odkrytą twarzą wyblakłą, z apa-



tycznym uśmiechem na zwiedłych wargach. I już zdawało mi się, że mozolnym tym szlakiem, wytkniętym mi raz na zawsze, będę szedł, póki nogi nieść będą, aż strudzony usnę na krańcu przebytych urwisk, by nie obudzić się więcej. Uczułem jednak z rozpaczą, że ciężar mój wciąż jeszcze powiększa się i wzrasta. Obejrzałem się więc po za siebie — i serce moje skurczyło się nagle ze strachu i z bólu...

Za tem najbliższem i najdroższem brzemieniem mojem sunęły tłumy olbrzymie z całemi wulkanami swych nieszczęść, z całym bezmiarem okrucieństwa swego. Niezliczone jakieś ramiona czepiały się kurczowo osłabłych już i pochylonych bark moich. Nieszczęsne serce moje na ich widok rozszerzało się ponad miarę wszelką, aby przyjąć ten ocean niedoli w swe głębie — i rwało się na strzępy pod strasznym jego ciężarem. I najmarniejsze stworzenie, mucha nawet ginąca w kleszczach pająka, ryba miotająca się w siłkach ośmionoga — rościły prawa do tego serca zbolełego, szarpały z niego swoją część litości i żalu, krwi mojej i łez moich z źrenic... Pełen męki i przerażenia, odwróciłem się od hydry tej dwugłowej — grzechu i bólu — wyteżając resztkę sił swoich, by uciec od niezliczonych jej ramion, drapieźnie wyciągniętych ku mnie. Usiłowałem nie oglądać się więcej poza siebie — i tylko ciężar najdroższy i najbliższy unosić póki sił stanie...

Usiłowałem, ale widziałem wciąż, nie patrząc — i pamiętałem, pragnąc zapomnienia.

Aż oto dnia pewnego, zamiast najeżonych gładów, ujrzałem na drodze mojej róż kilka, świecących blaskiem jutrzeńki, wonnych jak maj w rodzinnym moim kraju. Cofnąłem się przed nimi zdumiony i minąłem je niedbale, nie chcąc wierzyć, by mogły być przeznaczone dla strudzonego szaraka. Tak-em się był przystosował do czarnych ram życia mego, jak niektóre żyjątka przystosowują swe barwy do miejsca zamieszkania. I wyciągnąłem znów ręce do spychania mych gładów, lecz uczułem ze zdziwieniem, iż lżejsze są o połowę i że coraz mniej ich gromadzi się przede mną. Szlak twardy zaroił się zniecka od ludzi, a ludzie ci wyciągali ku mnie ze wszech stron dłonie przyjazne i pomocnicze. Dłonie te niezliczone ukazywały mi coś jasnego w bliskości, a głosy nawoływały, abym zagasły wzrok rozniecił i podniósł go znowu do góry...

— Przyszłość?!... i to taka przyszłość, o jakiej nawet w młodych snach moich marzyć dla siebie nie śmiałem?!... Dla mnie?!... Ależ to źie żarty. Zapóźno!... zapóźno.

A oni wciąż wskazują, wciąż nawołują uparcie. Gdybym usłuchał, uwierzył?!... Przyszłość ta wydałaby mi się tak blizką, jakby terazniejszością już była. Obie jej dłonie wyciągnięte ku mnie ciepło, serdecznie. Na pięknej znowu twarzy promienieje pogoda, a nawet imponujący tryumf.



Przede mną droga czysta i gładka jak pole szerokie, zielone; gdzieniegdzie tylko cierń ostry zaczerni się zdala, ale i ten znika po chwili.

Odtąd dzień po dniu kamienie zmieniały mi się w róże, chmury w obłoki wiosenne, przepaście w grotty czarodziejskie, wichry—w zefiry sławy, chłodzące mi żar czoła...

Tylko serce moje, serce nieszczęsne, przeklęte—nie otwierało się dla promieni i dla słodyczy, bo przesyciły je były i przepoiły rozpazce świata całego. Nie mogło już odczuć nagłego szczęścia człowieka, w którego łonie uderzało, zatrute cierpieniami wszystkich innych ludzi, zatrute jego własnym długiem, niezasłużonem cierpieniem.

Nierówne szale! Na jednej drobny karzełek w różanym wieńcu na głowie, w jasnej szacie godowej; na drugiej olbrzym bezmierny w płaszczu żałobnym, w wieńcu cierniowym. Takim się wydawałem sam sobie, a takim—świat pozostały, i nie mogłem dojrzeć własnych spóźnionych radości, jak pyłka niewidzialnego oku.

Lecz inne, cudze serca zabiły dla mnie współczuciem i sympatją gorącą. W bliskości mojej znalazły się istoty, co mię na klęczkach błagały, bym się rozejrzał po rozjaśnionym horyzoncie życia, bym skosztował wreszcie radości jego. I tyle było ciepła i mocy w tych błaganiach, że ścierpłe serce moje drgnęło—i zapaliła się w niem blada iskierka litości nad owym karzełkiem ukwie-

conym, który nie umiał i nie chciał cieszyć się z bożej łaski...

Ha, spróbujmy!

\* \* \*

Należą się panu niezaprzeczenie jaknajszersze widnokregi świata. Kto taką potęgę w sobie nosi—ten wymaga odpowiedniej dla niej perspektywy. Dotychczasowe warunki pańskie były zbyt nieproporcjonalne do jego talentu. Nietylko o Europę, ale i o Amerykę powinny się odbić echa jego mocy.

Podobnie mówią wszyscy oni dalsi. Zalecają mi sławę jako środek leczniczy. Czy uzdrowi on jednak stosunek «widnokręgów» moich wewnętrznych z zewnętrznymi? Lecz i tuż przy mnie rozlegają się nieustannie dwa głosy—głosiki: jeden młody, kobiecy, drugi dziecinny, szczebiocący.

— Spróbuj naprawdę jeszcze szerszego lotu. Odżyjesz i rozprostujesz ramiona. Potrzeba ci wolnego powietrza, mój ty najdroższy. I ja też wcale nie myślę się pozbawiać roli twojej «garde-malade!» Bardzo to wdzięczna rola od pewnego czasu. Rozkoszny urok nowości na każdym kroku! Pomijając już podróż samą—nawet dla statku, pełnego komfortu, dla własnego wagonu i dla gustownie wytwornych kostiumów podróżnych, gotowa jestem nietylko jeden, ale



dwa przebyć oceany, chociażby do Australii pojechać!...

Uśmiecha się, żartuje— «domaga się energicznie swej części z uczty bogacza po długim poście», a z oczu jej wyziera tymczasem jakiś tragiczny niepokój o mnie... tylko o mnie.

— Przebyć przynajmniej pół drogi «Nautilusów» i «Dunkanów»! Czyż podobna się wahać wobec takich ponęt?...

Sztucznie - poważny głosik chłopięcy drży ze wzruszenia, błyszczące oczka powleka trwoga zawodu.

— I lala pojedzie także w ślicznej łódeczce po pięknej dużej wodzie.

— Lala zielez taze! — odzywa się mruczenie pełne zachwyty gdzieś z dołu.

A więc «zieziemy.»

\* \* \*

Oto mam, zdaje się, wszystko dokoła siebie, co pociągało mnie niegdyś—i co pociąga stale tysiące ludzi. Lecz, choć widzę to po raz pierwszy, wydaje mi się, że znam to przecież jak niesmaczny oleodruk «widoku szwajcarskiego»— prócz tylko tych nowych potężnych prądów powietrza. Temi poję się jak Arab spragniony, dopadający do oazy; ale muszę ochłonać już niezadługo. Musiałem, naturalnie, zakreślić ciałem swoim szeroki zygzak po całej niemal Eu-

ropie, lecz dusza moja tak mało podróżowała z tem ciałem, jakgdyby przed jej oczami migwały tylko karty dawno znanego albumu. Mogłem za to wpatrywać się dowoli w trzy moje główki (bo i tę trzecią, największą, główką jeszcze nazwać można—mała jest, misterna, bladziuchna i znękana... czy zakwieci się jeszcze i zabarwi ta biedna główka moja?...).

— Nie lepiej ci było, zamiast wędrować po hotelach całej Europy i statkach trans-atlantyckich, schronić się do «naszego dworku» (którego jeszcze nie mamy)—i spocząć przy zapachu siana? Myślę, że za prędko zachciało ci się użyć «ogromnego» szczęścia i ogromnego morza?

Uśmiecha się z promiennem jakimś zdziwieniem.

— O, nie! zachciało mi się wspaniałego vestibulu do naszego dworku. Za to sam dworek będzie już całkiem stylowy—«modrzewiowe ściany»—i mało co więcej...

Oczy jej rozplywają się i nikną w moich, zawsze złych i zawsze smutnych. Obok iskier zwykłego niepokoju spostrzegam w nich dużo pogody i szczęścia nawet. Pierwsze to widziane, stwierdzone przeze mnie, szczęście w bliskości mojej ślizga się bladym promieniem po mym smutku i łagodzi ponure tony jego.

— Ojczel! tu właśnie, tu «Nautilus» przepływał, kiedy widział całą flotę zatoniętą i tak uszykowana, jak gdyby lada chwila miała wyruszyć



ze swego podwodnego portu!... Odzywa się głos przyciszony i tajemniczy, a czyste spojrzenie błękitne przebija chciwie czyste błękity, okrywające nieszczęśliwą «flotę».

Różowe, puciołowate stworzenie, snujące się opodal, toczy się z niezmiernym pośpiechem przy tych słowach. Wspiąwszy się na paluszki, rozgląda się na wszystkie strony z miną doskonałego gapia i pyta skwapliwie:

— Dzie? cio? pokaż mi? cio?

Majestatycznie pogardliwy wzrok spływa nań z góry. Odpowiedzi na takie pytania nie daje się wcale. Zmaltretowana gomułka nie ma jednak najmniejszego poczucia godności—i na widok dużego kosza z ognistym owocem, ukazującego się na pokładzie, woła z zachwytem:

— Mamusiu! palmańci!

Drobne, chude ręce dźwigają spory ciężarek na ławkę, zanim zdążam im pomóc.

— Czemu i teraz nawet nie chciałaś wziąć nikogo do pomocy?

— Nie mogłabym znieść przy nich obcych rąk. I mnie, i ich pozbawiłoby to swobody. Przyzwyczaiałam się zresztą do tego.

Nazywa się to dziwactwem. Ale i ja przyzwyczaiałem się do tego «dziwactwa»—i nie mógłbym wyobrazić sobie trzech tych istot, rozdzielonych cieniem obcej postaci.

Hm... wszystko jak być powinno... seledyny majestatycznych fal... błękitny «namiot» niebios

południowych... i «uskrzydłony łabędź» (o prawdziwie niemiłym zresztą krzyku łabędzim), co się rozkosznie kołysze (rozkoszy kołysania nie uznaje, co prawda)—i co mię unosi w ameryk... nie, w kolumbijską dal, niech-że wreszcie choć moje uznanie osiągnie wielki odkrywca tego ładu. Na jubileuszu piorunowano wprawdzie na krzywdę Kolumbową, ale imienia Ameryga nie starto ani z map, ani z mózgów ludzkich... Mam wszystko, co oczy i uszy pięścić powinno. Na szarem tle zbrudzonych albo mdłych twarzy wykwiła kilkanaście tak pięknych, jakie tylko w tej europejskiej mozaice narodowości spotkać można. Od białych lilij Andaluzji... może? albo kreolskich? ocienionych jedwabną koronką kruczych warkoczy, niby czarną mantylą—aż do «centyfolij Albionu» w jasnym kapturku północnym ze złotych kędziorów. Ciagną one wiele oczu—prócz moich.

A! a... cóż to jest znowu?... witam cię, witam wierny mój, nierozłączony, niestety, przyjacielu!—odzywam się w duchu do mego szanownego serca, godnego bić zaprawdę pod wysokim staniem sentymentalnych Pameli i czułych Klorynd. Przypomina mi się tak energicznie, że miałbym ochotę zawołać:

— Bogdajbyś raz wreszcie pękło!

Bagatelka właściwie, na którą nikt tu nie zwrócił uwagi. Ale cóż robić, jeżeli mam oczy również «bystre» jak-serce «czułe». Wcale wdzięczny zresztą obrazek rodzajowy: u stóp wielkiego



masztu, na podłodze okrętowej—kilku modelowych południowców, okrytych jaskrawymi gałganami, lecz ciągnących oczy przepychem czarnych źrenic. To pirenejscy Cyganie?... czy może hiszpańscy biedacy?... Ojciec, drzemający z węzłem pod głową; matka i troje dzieci. Jedno kołysze właśnie na rękę, drugie napiera się krzykliwie niezbyt obfitych zapasów z brudnego worka—trzecie, najstarsze, cicho, nieśmiało sięga samo po nie—i również cicho dostaje w bok kościstą pięścią.

— Jeszcze! ty obżartusie!

Odkrywam w sobie niepospolite zdolności lingwistyczne—szczególnie wobec takiej «praktyki».

«Morze tak pysznie odnawia organizm, budzi apetyt wilczy!»

Pyszne działanie morza błyska z podsiniących oczu «obżartusa»—nie łzawych, lecz gniewnych, płomienistych. I oto budzi się we mnie «dobry pan» z «dobrych» książeczek, daje on «ubogiej mamusi» ogromny pieniąż, stosunkowo do swej zamożności, a «głodnemu chłopczykowi» ogromny kęs tego, co jedzą jego własne «grzeczne dziatki». Lecz dalej urywa się już watek powiastki moralnej. «Dobremu panu»—nie robi się nadspodziewanie «błogo» po tak «pięknym uczynku». Wydaje mu się nagle, szaleńcowi, że ojcem jest—nie jednej tylko... ale milionów rodzin, których ochronić nie może od głodu i od pięści!... I oto z «majestatycznych seledynów fal» wyłania się i wzrasta aż pod ten «portyk błękitny niebios

południowych»—ta sama hydra dwugłowa grzechu i bólu z niezliczonymi ramionami, wyciągniętymi drapieźnie ku niemu... «Dobry pan»—chory, i nic go już, nic nie uzdrowi. I pragnąłby on uciec od olbrzymiej rodziny swojej pod fal tych chłodne, jasne kryształy.

«Morire-dormire...» Z jaką kojącą rozkoszą wymawiał te wyrazy czarowne wielki tragiczny włoski...

\* \* \*

«Wybraniec ten, ten król, to bożyszczę tłumów—ma jednak bolesną twarz archaniola śmierci.»

*Głos z tłumów.*

Dokoła szmer przyciszony, pełen zaciekawienia, ale i wykwintnej dyskrecji zarazem. Zabieramy miejsca honorowe tuż przy estradzie, niby goście wybrani, chociaż nie wątpię ani na chwilę, że estradę tę dla mnie przystrojono tak artystycznie, że szumiące te fale głów ludzkich zwracają się tylko ku mnie, a serca, jeśli biją żywiej i mocniej—to również dla mnie tylko. Wyszedłem wreszcie z długiego ukrycia na wielkie światło—«gwiazda, bojąca się własnych promieni i przyćmiewana dotąd cudzą nięchęcią i zazdrością».

— Nie śmieliśmy prosić o przyrzeczenie, nie śmieliśmy ogłaszać... ale, jeśli pan raczy wziąć udział w części artystycznej, będziemy wdzięczni nad wyraz wszelki.



Jak wobec chorego magnata—względy subtelnie przysłonięte, troskliwość delikatna, hołdy w półtonach. To też dreszcz nerwowego niesmaku przebiega ciało moje od stóp do głowy, gdy słysze ze wspaniałej łoży, wznoszącej się tuż przy mnie, szept cichy, lecz dobitny, kobiecy, przeznaczony specjalnie dla mego ucha, również jak ten strój małowiczny i stylowy nieład włosów dla mego oka:

— Twarz nadczłowieka; nerwowa, subtelna, bolesna i zwycięzka.

— Pani nie jesteś subtelna, o, nie!—odpowiadam jej w duchu.

Postanowiłem dowieść im, że tak źle nie jest, jak oni widocznie myślą. Choć duszy mej nie uleczy ten pałac-szpital, w którym sądzono mi mieszkać w tej połowie życia mego, ma ona zawsze w ukrytych głębiach swoich słoneczne widnokregi, któremi potrafię błysnąć przed zdumionemi ich oczami. Ślad to niestarty pierwszej młodości mojej, który się trwale wyrzeźbił w tej rannej duszy, jak jasne baryliefy rzeźbią się we wnętrzu przyćmionej świątyni. Przemówi młodość moja zaranna, odmłodzi was i wstrząśnie wami, słuchacze cisi, rozumni i szlachetni—wybrani, którzy—ście przyszli słuchać swego wybrańca. Czuję w tej chwili, że tak jest, że się nie mylę—choć okazują mi to prawie niedostrzegalnie, ostrożnie a rzewnie mimowoli, dlatego—że jestem chory.

A więc dlatego właśnie, aby kłam zadać tej prawdzie, lekkim uśmiechem rozchyłam usta, wychodząc na estradę—i po chwili spływa na salę pierwsza pieśń wiosny mojej, bijąca czarem tej słonecznej wiosny... Ale czyż świat zna czar potężniejszy nad wiosnę natury i wiosnę życia ludzkiego?

Pieśń moja zresztą, prosta jak pieśń słowicza, jest tylko na początku dźwięcznym akordem natury, uderzonym w struny naiwnej jeszcze duszy. Stopniowo jednak i powoli z obłoków dźwięków wiosennych, ze srebrnej piany fal arkadyjskiej kaskady—wyłania się i rośnie wysmukła postać młodzieńcza o dumnym i czystym czole, ze wzrokiem skrzącym różaną łuną nadziei, z dźwięcznym okrzykiem zwycięstwa na uśmiechniętych ustach pół-boga...

— Antinous-Apollo-Achilles i Tyrteusz razem... Tylko tyle... tylko tyle! Tylkom taki przed tobą, płonący już tłumie!..

Mieni się, błędnie z zachwytu—i wezbraną niezmiernym uniesieniem falą rwie brzegi, przy pływa ku mnie...

Miękki, wonny, pieszczotliwy deszcz laurów i róż rozkwitłych. Kolce ich, dotykając zlekka mej skroni, jakby chcą symbolicznie przypomnieć mi o cierniach, minionych bezpowrotnie. Rajski deszcz ten na ziemi zmusza mnie oczy przymykać, uchylać głowę od wieńców, wkładanych mi na skrońnię dłonią uniesionych kobiet.



— Spodziewaliśmy się cudnego marszu żałobnego... Usłyszeliśmy przepyszny hymn życia, ekstazę czarodziejskiej młodości!... Dzięki, o, dzieki, mistrzu promienny i jasny!...

Tak przemawiają dusze ich do mnie.

Odrzucam im z powrotem kaskady kwiatów już innych, niż pierwsze te wiosenne. Kwiaty te są upalne, dyszące podzwrotnikową siłą i rozkoszą. Mocne wonie ich tchną i czarują z kielichów rozwartych już szeroko. Moc ich, dojrziała i rozrośnięta, jakimś potężnym łańcuchem opasuje te tłumy i niewolniczo ciągnie je ku mnie, do kolan, do stóp moich...

Młodzieniec stał się mężem wielowładnym.

I oto dokoła mnie już nie pogodny tylko i jasny strumień uszczęśliwienia, lecz potok wrzący szału, morze gwałtownej namiętności. Cisną się, cisną ku mnie, obejmują mnie chciwemi ramionami, kłękają u stóp moich—upojeni, pokorni...

Ale w tej chwili już czuję, że na czole mojem ukazuje się groźna chmura, po twarzy zbladłej przebiega kurcz bóleści—i wołam do nich niememi usty, lecz całym głosem duszy mojej:

— Weź mnie na barki, o, tłumie spragniony i płonący! Ukój na świeżych, wonnych wawrzynach twoich na zawsze, jak usniętego króla pieśni helłeńskiej na tarczach laurem spowitych! Nie zmarłych wstają tacy, jak ja, umarli. Skonała dusza moja—i cień jej tylko promienny widzieliście przed sobą!..

\* \* \*

Więc jeśli może być dla mnie spoczynek na tej ziemi, to chyba tylko pod dachem cichego tego dworku piastowego. Są jeszcze strzechy takie i ludzie, którzy znajdują je dla mnie. Powabny nad wyraz szablon od białego domostwa do lip i topoli, od kwitnącego maju do kwitnących zachwytem różanych buziaków dziecięcych.

— Wszystko to nasze!

Błagalne oczy niewolnicy mojej żebrzą pociechy i nadziei. Znikły z nich prawie chwilowe blaski pogody i szczęśliwości wobec groźnych i smutnych źrenic «władcy».

— Czyż i tu nie znajdziesz ukojenia?... w tym swojskim, w tym cichym raj?..

Usiłuję wywołać na twarz pogodę i wesele na usta słowa ładne i dobre. Lecz ona wciąż bada mię mimowoli wzrokiem rozumnym i niespokojnym..

Wtem usta moje uśmiechają się szczerem zachwytem, z oka strzelają blaski radości, prawdziwej, nieudanej radości... tak, że ona z niezmiernem zdziwieniem pośpiesza spojrzeć na ów cud, co wywołał tyle promieni na moją twarz ponurą.

W końcu ogrodu, wśród kilku dębów starych — wzgórek porośły głogami. Na nim ruina starej altanki, seledynowa od mchów, srebrna od spró-



chniałego drzewa. Chociaż w promieniach słońca kąpie się cała—zda się lśnić jednak blaskiem księżycowym.

— Altankę trzeba będzie precz zrzucić, głogi zastąpić różami... Przywykłem już trochę do róż, przyzwyczailem się nawet do nich—mówię głośno, a w myśli swej dodaje:

...Będzie mi tu tak dobrze pod niemi... Wśród nich jasny krzyż drewniany zabłyśnie w słońcu..

Cóż to jest znowu, na miłość Boga?... Ech—«zamarzyłem się» po swojemu... o różach i słońcu.

# I S M A Ë L.

(Kontur psychologiczny).

## I.

Ponieważ sam jeszcze nie wiem, co we mnie w końcu przeważy: chęć czy też niechęć, aby świat o mnie co wiedział... «świat!»—to jest garstka ludzi pewnego czasu i pewnego pokolenia—rzucam na los wypadku te oto karty, ten niby klucz do grobowca dawnej duszy mojej i do tej nowo-powstałej, czy też zmartwychwstałej... Czy-nię to, przesyłając panu, czcigodny i przeznaczony Profesorze, zeszyt tu załączony. Być może, iż, przyjrząwszy mu się zblizka, raczy go Pan przechować u siebie, zgodnie z moją prośbą; być może, iż nie zasłuży on na ten honor... Mam tu na myśli zbiory Jego—archiwum psychologiczne. Umiesz-



czone wśród nich i moje karty odczytane może będą kiedyś z uwagą i zajęciem jedynie dla prawdy w tym niezwykłym bólu i w dziwnym jego ukojeniu, która z nich musi uderzać. Jednym swym mądrym spojrzeniem obejmiesz, czcigodny Profesorze, znaczenie obrazu skreślonego tymi łamanymi, drżącymi konturami... Pojmiesz, że obecny jesteś przy rzadkiej wiwisekcji duchowej...

Obnażając skrwawione wnętrze mej duszy, nie dlatego to czynię, żebym jak pies przywiązany do stołu eksperymentalnego miał wyc oliwość i współczucie dla siebie! Oddawna niemi wzgardziłem, tam jeszcze na arenie mej męki; tu zaś, wzniosłszy się nad poziomy nędznych stosunków ludzkich—nie potrzebuję ich tembardziej. Chodzi mi o to jedynie, aby szczupła ta garstka szlachetnych, a nie roznamiętnionych, ludzi—gdyż muszą być tacy, skoro Ty, Panie, wśród nich powstałeś—aby szczupła ta garstka «ludzi»—poznała rozpacziwą toń duszy współczesnego europejskiego paryi. Paryą ten, wstrętny, muszę to przyznać, niestety, w wielkiej większości swojej duszący się w odwiecznym fanatyzmie, częstokroć cierpi jedynie dlatego tylko, że się urodził paryą, chociażby w niczem innym nie różnił się od kasty go deprecacji... Śmiem twierdzić nawet ze stanowczością niezachwianego przekonania, że każde paryów niemowlę, przeniesione przez jakąś postępową albo figlarną tylko

wrózkę z ojczystego barłogu do czystej kolebki bramina, wyrość-by mogło niewątpliwie na bramina.

Pomimo ciągłej walki i wahania się rzuciłem oto na papier parę wspomnień z tej jeszcze świeżej a ledwie zablźnionej przeszłości. Pomijam może wiele najcięższych doświadczeń, najdonioślejszych w znaczeniu, lecz wybac, Panie—systematycznie, szeroko i porządnie rozrzniać tej wielkiej blizny nie mogę. Drasnąć tylko jej rąbek—już jest dla mnie ofiarą... Ponieważ wahanie się moje pozbawiło mię w części spokoju, do którego już przywykłem jak ptak zrodzony w klatce do bezbrzeżnego lasu, chciałem zakończyć je jaknajszybciej. Z fatalizmem rodzonego syna Wschodu wyznaczyłem sobie dzień decydujący, postanowiłem niezmiennie uleść nastrojowi dnia tego—i wysłać lub nie wysłać rękopis na ręce Twoje, Profesorze. Chęć zwyciężyła niechęć—niechże więc idzie w świat daleki...

Dlaczego teraz zwracam się do czcigodnego Pana, zrozumiesz, zajrawszy w te papiery. Dlaczego nie zdradziłem swego istnienia ani dźwiękiem, ani nawet zachwyconą i wdzięczną twarzą, gdy słuchał Pana przed kilku laty w H.? Dlaczego? kiedy w stosunku do mnie byłeś Pan wówczas jedynym źródłem, gaszącem chociaż w części pragnienie moje Ismaelowe?... Dlatego, że dla mnie... oszalałego z męki Ismaela, źródło pańskie zdawało się za skąpe, i nie spostrzegłem



go prawie; minąłem je chory i zaślepiiony, wpiwszy się zwęglonemi źrenicami w bezniermy obszar pustyni. W wyjątkowych tych dobach byłem już tak skołatany i tak gorączkujący każdą myślą, każdym nerwem, że nie wierzyłem w szczerść i siłę zasad, głoszonych nawet przez Pana w kwestyi krwawo mnie obchodzącej. Przypuszczałem, że były to tylko piękne teorye, któreby nigdy znieść nie mogły ogniowej próby rzeczywistości, że było to tylko wymuszone i wyozumowane, lecz nie *odczute*, posłuszeństwo szlachetnemu, ale uciążliwemu obowiązkowi wszechludzkiej sprawiedliwości. Zdawało mi się, że ten ludzko szczerzy brak nienawiści rasowej, wszelkiej podejrzliwości, brak tego... dziedzicznie-odmowy wstępu, można było porównać do rziarna wegetującego pod nieco grubszą korą ziemi. Niech jakiś pęd złośliwy mocnym uderzeniem korę przebijie: ziarno wytryśnie w górę kaskadą łodyg i liści... Dopiero, gdy się oswoiłem z nowym swym życiem i zbawieniem, gdy pierwsze niespodziane zachwyty moje przeszły w fazę cichego ukojenia—dopiero wtenczas począłem rozmyślać nad każdym prawie wyrazem, który słyszałem z ust Pana, mistrzu tak wielce chrześcijański i tak wielce ludzki! Wczytywałem się w dzieła Twoje, jedną z niewielu pamiątek, które uniosłem z sobą z... hiszpańskiej tej Europy. I oto zwalczać począłem stopniowo swój przesąd nie mniej dotychczas fanatyczny, jak niektóre przesady tej przodowniczk

pseudochrześcijańskiej cywilizacyi. Musiałem wreszcie uwierzyć, że w łanach jej szczerzłoty mieszczą się czasem rzadkie... o, rzadkie, plewy!

## II.

Zdaje mi się, że każdy człowiek żyjący myślą i sercem, dlatego przeważnie bywa tak nie-szczęśliwy i niespokojny, że miota nim bezustannie żądza znalezienia miejsca przeznaczonego dlań na ziemi, objęcia właściwej roli w tragedyi, czy też komedyi, życia. Niepokój, czy znajdzie ją kiedy, czy przeczuje i zrozumie—trawi go świadomie lub nieświadomie, opanowuje go coraz bardziej, im dalej posuwa się w latach. Czy zdąży, czy trafi?... I czasem naprawdę znajduje, czasem zdaje mu się tylko, że znalazł, a wtenczas osiąga upragniony spokój lub zadowolenie. Czasem zaś, a nawet najczęściej, dosięgnąć celu nie może, lub zdaje mu się tylko, że nie może—i szuka, szuka napróżno. Poszukiwanie to właśnie staje się źródłem najcięższych zaburzeń ducha...

Co do mnie, byłem podwójnie bogaty pod tym względem. Wykolejeniu się memu duchowemu towarzyszyły przyjacielsko rozmaite wykolejenia zewnętrzne takiej natury i mocy, że same przez się pogmatwać mogły najzdrowszego i najoporniejszego ducha ludzkiego. Dzisiaj wydaje mi się cudem prawie, że, puściwszy wodze jakimś atawistyczne-



mu chyba pociągowi, w słabej tylko części wzmocnionemu refleksją i analizą, znalazłem miejsce moje ziemskie... Znalazłem nawet całą ziemię obiecaną i wrosłem w grunt jej błogosławiony mocnym korzeniem—dość wcześnie jeszcze, abym mógł zaleczyć przeszłość! Przeszłość ta w ciągu lat kilku była nieustającym biegiem ranionego zwierzęcia pod strzałami myśliwskiej kawalkady i pod oddechem rozwartej paszczy ogarów; ale oto jeleń skoczył cudownie na tak wysoką skałę, że pogardliwie spokojnymi oczami mierzy dziś zdyszanych swych wrogów...

Głównym zboczeniem życia mego było zboczenie od mego ideału życia, z którym długo pogodzić się nie mogłem, marzyciel i szaleniec, kiedyś go zbudował w głębi duszy mojej... Skierowawszy swe najgorętsze pragnienia ku niemu, czułem się ogromnie zgnębionym, nie mogąc za dość im uczynić. Dla mnie, aż nadto ziemskiego śmiertelnika, za mało było objęcia tylko królewskiego dziedzictwa nauki Chrystusowej, tylko odczucia i zrozumienia jej, tylko wcielenia w nią zdrowia i życia duszy mojej... tego mi było za mało. Ja, robak ziemski—jak zwykli mawiać święci, i ja za nimi powtarzam, choć tak daleki jestem od świętości,—pragnąłbym nade wszystko oczy i uszy ziemskie swoje napawać widokiem i słyszeniem samego Boga-Człowieka. I oto, gdyby mi dano było wybierać, urodziłbym się, nie w drugiej połowie wieku XIX i nie w Eu-

ropie, lecz w Palestynie za życia Chrystusa ziemskiego. Albowiem najwyższym rajem ludzkiego życia na ziemi, a ideałem szczęścia ludzkiego—stało się dla mnie życie człowieka blizkiego boskiemu Mistrzowi, życie Piotrów, Szymonów, a zwłaszcza owego Jana, gorejącego później w ekstazach na Patmosie... Być uczniem, niewolnikiem Jego... Patrzyć na Niego, słuchać Go... Stać się promiennym, odzwierciedlonym cieniem Jego... Lecz ja bym chyba nie zniósł bezmiar tego szczęścia... Umarłbym u stóp Jego, nie doczekawszy Golgoty i Pocieszyciela.

Z siłą żywiołową jakąś rwie mi się wyznanie to na usta wobec Ciebie, czcigodnego powiernika mego, Panie; wiem, że zrozumiesz szczerotę tych myśli, a fantastyczność marzycielska tych pragnień nie zrazi Cię do mnie. Zresztą, jeśli postanowiłem dać Ci się poznać takim, jak jestem—czyż mogłem pominąć ową ogromną tęsknotę za wymarzonym miejscem na ziemi, tęsknotę, która przez całe życie nakazywała mi przynajmniej zbliżyć się do niego?...

Moje wykolejenia realniejszej natury zaczynały się od kolebki. Byłem synem Żydówki, zmarłej w rządowym szpitalu, dokąd ją przeniesiono z ulicy i gdzie skołała, dając mi życie. Ojciec mój nie zdradził nigdy swego istnienia, pomimo urzędowych ogłoszeń. Obrzęd chrztu połączył mnie oficjalnie z wielką rodziną chrześcijańską, a potem odesłano mię do domu podrzutków. Całkiem



przypadkowo więc zostałem gojem i trafiłem do wielkiego, czystego, zimnego gniazda chrześcijańskiego—zamiast jakiej prawowiernej, nędznej, izraelskiej dziury. Po pierwszym roku pobytu w zakładzie powinienem był pójść na wychowanie do ludu i wcielić się w obce to ciało ogromne. Lecz tu następuje drugie wykołajenie się moje. Niemowlęce życie splata się znowu przypadkowo węzłem najgorętszej miłości macierzyńskiej z życiem kobiety niepospolitego serca i skłonności. Dzięki jej wychodzę znowu z ogólnego toru przeznaczenia.

Nie znalazłszy szczęścia i zadowolenia w małżeństwie konwenansowym i pragnąc zappełnić próżnię macierzyństwa, postanawia ona uszczęśliwić jedną z istot skrzywdzonych w najświętszym prawie swoim, prawie do macierzyńskiej miłości i opieki. Rys to był charakterystyczny dla całej istoty matki mej przybranej, żony jednego z wybitnych dygnitarzy i magnata prowincjonalnego, że to przybrane dziecko, które miało zastąpić jej własne i rodzone, podniosła jednak z przybytku wzgardzonych i opuszczonych. Wychowaniec jej mógłby przynajmniej pochodzić z «dobrego gniazda:» dziedziczyć miał przecież jej osobistą fortunę, a jeżeli nie tytuł, to przynajmniej nazwisko.

Młoda hrabina wybrała mię z pośród licznych kolegów po smoczku i pieluchach dlatego tylko, że wydałem się jej niby «milszym od innych».

Przyzwyczajona do szybkiego zaspakajania swych życzeń, uległa nagłej chęci zabrania mię natychmiast do siebie, zapewniwszy przełożonych zakładu, że po dniach kilku załatwi potrzebne formalności. Wobec wysokiego stanowiska hrabiny zwierzchność moja dotychczasowa zrobiła chętnie drobne to ustępstwo. Lecz właśnie drobne to nadużycie zarazem zaważyć miało na całej mej przyszłości i wykołaić mię znowu po raz trzeci.—Po tygodniu obcowania z wychowankiem, przyrosłszy już do niego całym sercem (własne wyrażenie przybranej matki mej), hrabina udała się do dyrektora zakładu, aby podpisać potrzebne dokumenty. Wtenczas urzędnik ten, nieco zmieszany, zakomunikował jej wyżej wymienione dane o mym pochodzeniu, przeprasząc, że nie uczynił tego odrazu, gdyż «pani hrabina nie dała mu poprzednio czasu zajrzeć do księgi wpisowej».

— Obowiązek nakazuje mi zawiadomić o tem panią—dodał po chwili—tembardziej, że nie jest jeszcze wykluczona możliwość zgłoszenia się ojca, Żyda prawdopodobnie; powtóre, że wołałaby pani zapewne dziecko nieżydowskiego pochodzenia, chociaż obecnie jest ono już ochrzczone... Możemy więc natychmiast zabrać je z powrotem, a pani raczy łaskawie wybrać sobie inne...

Hrabina mogła tylko powiedzieć:

— Proszę dziś natychmiast, przysłać po nie kogokolwiek!



I odjechała wzburzona a drżąca, nie chcąc już spojrzeć na inne dzieci dnia tego... nie chcąc już nigdy spojrzeć na nie. Kiedyś, będąc jeszcze chłopakiem, wybrałem sobie w pewnym zakładzie myśliwskim proste szczenię zamiast rasowego, o które mi tak bardzo chodziło. Omyłka wykryła się dopiero po dniach kilku, ale było mi już tak trudno wypędzić to rozpieszczone stworzenie, aby się poniewierało dzięki swemu «gminnemu» pochodzeniu, więc zostawiłem je u siebie, chociaż dbałem ogromnie o czystość psiej rasy... Myślę, że hrabina znalazła się w nieco podobnej sytuacji. Gdy weszła do swej wykwintnej sypialni i spojrzała na tulącego się w puchach i koronkach przy jej łóżku żydziaka, doznała zapewne bardzo dziwnego uczucia... dziwnego aż do bólu. Więc odwróciła się plecami do kolebki—aby nie widzieć, jak dziecko będą zabierali, bo przecież «takiego» nie mogła zostawić u siebie. Z sercem bijącym chorobliwie oczekiwała krzyku pieszczocha, porywanego brutalnie z rokosznej pościeli, ze snu słodkiego, pieszczocha, którego miano znowu wrzucić do zimnego żłobu tysięcy, który tak często sypie tysiącami grobów.

— No, mały—usłyszała nagle dyskretny, ale wyraźny głos piastunki z domu podrzutek—zrzucajmy z siebie te piękne koszulki i ubranka: mamy tu nasze, zakładowe. A tyś tu się przystroił we wszystkie te śliczności, prawdziwie jak wrona w pawie pióra!

Nie odwracając głowy, hrabina rzuciła porywcz:

— Nie trzeba, nie trzeba nic zmieniać! Zabierać, zabierać mi go z przed oczu jak najprędzej!

— Chwileczka tylko, wielmożna pani, a sprzątnę tego bębna, aby jej już więcej nie czynił odrazy!—odparł głos sługi pokorny i przymilony.

— Milczeć!... ty, kobieto zła i ograniczona!—zawołała biedna matka moja, gniewnie tupnąwszy nogą i chowając w dłoni twarz zmoczoną łzami. Zatkaną uszy i przymknęła oczy, by nie już więcej nie widzieć i nie słyszeć.

Pomimo to «czuła» śpieszne wymykanie się z dzieckiem powolnej rozkazom jej służącej. Rzuciła się za nią i wsunęła do rąk wychodzącej kobiety portmonetkę.

— To dla was... i dla niego, moja kochana—mówiła—był u mnie przez cały tydzień... przyzwyczaiłam się już trochę do niego... i bardzo go żałuję. Dbajcież trochę o niego... Przecież to jeszcze, bądź co bądź, takie niewinne maleństwo...

I zapomniała się, spojrzała na mnie. Cofnęła się w tył cała drżąca.

— Patrzyłeś na mnie dużymi pięknymi oczkami i cudnie, wesoło się uśmiechałeś, jakby najpewniejszy, że nic prócz szczęścia i pieszczot dać ci nie mogę... Odwróciłam się i uciekałam do dalszych pokojów, bo mię to ostatnie wesołe spojrzenie i ten twój uśmiech gorzej raniły, niż gdy-



byś krzyknął z całej mocy. Chciałam otrząsnąć się i przewyciężyć; po chwili zbiegłam szybko ze schodów, pragnąc zapomnieć się w przechadzce i śpiesznym bezcelowym ruchu. Już zstępowałam z ostatniego stopnia, gdy usłyszałam nagle z niedomkniętych drzwi portyera rozmowę, przerywaną cichym płaczem dziecięcym. Zatrzymałam się w miejscu jak wryta.

— Zaraz, zaraz będziemy gotowi! — brzmiał ten sam znany, ten nienawistny głos z przedchwili.—No, cicho, cichoż bądź, ty mały parchu! Patrzcie mi go! Panem grafem zachciało mu się zostać!

— Cha, cha, cha! — zawtórował głos mego portyera.

— Dawaj-że, dawaj te piękne gałganki! Dla ciebie-bo i grube rządowe pieluchy są za piękne i za czyste!

Śmiech się powtórzył, a obok niego rozlegał głośniejsz s tłumiony płacz dziecka i nagle urwał się s tłumiony, jakby zatknięto te usta, które go wydawały.

— A cicho, cicho, ty niegodziwy żydziaku! Nie daj Boże usłyszcy pani hrabina, a ja tylko chciałam go tu przebrać jak się patrzy...

I oto wyrwany z tych grubych rąk, przycięsnięty gwałtownie do piersi więcej macierzyńskiej, niż niejedna macierzyńska może, rozpoczynałem długie samozwańcze szczęście moje — dziecięce i młodzieńcze.

Przybrana matka moja użyła wszelkich starań, aby ukryć przed światem «nikczemne» moje pochodzenie. Porozumiewszy się urzędownie z dyrekcją podrzuteków, wydalila służbę z hojnym wyposażeniem i wyjechała na czas dłuższy do swoich dóbr w innej części kraju. Przywiązywała się też do mnie coraz fanatyczniej, zaspakajając wielkie pragnienie uczuć i obowiązków macierzyńskich, a bacząc przytem trwożnie i zapobiegliwie, aby żadna z «cech rasy» nie rozwijała się w dziecku i nie przebijała na zewnątrz. Było to wielką troską i głównem zadaniem jej życia.

Co do mnie, wiedziałem, że jestem przybranym synem i wychowawcem, lecz byłem przekonany, że należę do jednej z nią narodowości i sfery towarzyskiej. Hrabia, mąż mej opiekunki, dyplomata przebywający przy jednym z dworów zagranicznych, bez trudności też przystał na uznanie mięprawne, urzędowe za syna, tembardziej, że syn jego własny z pierwszego małżeństwa, podówczas młodzieniec siedmnaścieletni, dziedziczył po nim dobra rodowe, tytuł i wszelkie splendory.

A więc zdawać się mogło, że szczęśliwie, a nawet cudownie, wykolejony dzieciak wstąpiwszy na gładki, usłany miękkimi kobiercami szlak życia, następnie przebiegał go lekką stopą młodzieńczą przez długi szereg lat.



III.

Potężnym dłutem jakiegoś demona musiały być wyrzeźbione rysy praojca Sema, jeśli mógł je przekazać po lat tysiącach milionom potomków swoich w niepokalanej czystości.

I ja też nie byłem wydziedziczonym albo upośledzonym pod tym względem. Od lat najwcześniejszych twarz moja poczęła wołać głosem wielkim: oto syn Izraela!

Wyraźne te oznaki powierzchowne, występujące coraz jaskrawiej z biegiem czasu, były też bezpośrednim źródłem pierwszego zetknięcia się mego z «kwestią żydowską».

Pewnego razu, gdy byłem już dziesięcioletnim chłopcem, dość na swój wiek rozwiniętym, matka moja, przesuwając pieścizotliwie dłonią po gęstych czarnych mych włosach, uniosła nagle tę dłoń pieszczącą do góry, jakgdyby coś ją sparzyło. Wydawało mi się w tej chwili, że jakiś wstręt i przestach odbił się nagle na twarzy jej delikatnej.

— Muszę ci zaraz włosy obciąć—powiedziała, nie patrząc na mnie.

— Ale, mamusiu, przecież mi jeszcze nie odrosły!—rzekłem zdziwiony wyrazem jej oczu i pośpiechem w słowach.—Zresztą po co masz to robić sama? Poślij mnie lepiej do fryzjera.

Nic mi na to nie odpowiedziała, jakby zmieszana i zakłopotana, i poczęła śpiesznie obcinać

mi włosy przy samej głowie. Machinalnie wzięłem do rąk jeden z tych drobnych, króciuchnych kosmyków... i nagle po raz pierwszy spostrzegłem, że były one bez połysku, a zwijały się w brzydkie pojedyńcze kółeczka.

A wtenczas i sam zapewne spojrzałem na matkę z podobnym lękiem i wstrętem, jak ona na mnie przed chwilą.

— Mamusiu —zawołałem—wszak ja mam włosy jakieś murzyńskie, czy żydowski! Patrz jakie szkaradne! Rozumiem teraz doskonale dlaczego obcinasz mi je zawsze tak krótko... i dlaczego czynisz to sama... kochasz mnie i... wstydzisz się za mnie! Ale skądże, skąd tak obrzydliwa wełna wyrosła mi na głowie?!...

Matka, usiłując zapanować nad zbyt wyraźnym zmieszaniem, odparła mi pośpiesznie:

— Cóż znowu ci się roi? Włosy takie jak twoje dość często wyrastają, ale ja lubię, żeby chłopiec był ostrzyżony jaknajkrócej — nie znoszę pretensjonalności.

— Pocieszasz mię, mamusiu! Ale moje włosy to całkiem co innego. Co innego te piękne, duże błyszczące pierścienie, co innego ta gruba matowa wełna barania! Zupełnie jak u każdego wstrętnego żydziaka!

Matka moja spojrzała znowu na mnie jakoś dziwnie i płomień oblał twarz jej całą.

— Proszę cię, dziecko moje, nie mów nigdy tak pogardliwie o żadnej narodowości! Zakazuje



ci tego. Murzyni, Cyganie. Żydzi—to ludzie podobni także i również rozmaici w ułomnościach swych i cnotach, jak i my wszyscy.

— Nie gniewaj się, mamusi!—ale przyznam ci się szczerze, że ani do murzynów, ani do cyganów; ani do czerwonoskórych—doprawdy, żadnego wstrętu nie czuję... Tylko Żydów nie lubię i wprost brzydzę się nimi!

— Milcz! Nie pozwalam, nie pozwalam ci tak mówić!—przerwała matka tak gniewnie i z takim drżeniem wzruszonego głosu, że osłupiałem na miejscu.—Nie masz najmniejszego prawa mówić o nich w ten sposób i nie masz o nich najmniejszego pojęcia, ty... ty, zły dzieciaku! Co oni... co zrobili ci złego?!... Powtarzasz jakieś brednie, jak głupia papuga!

Nigdy jeszcze nie słyszałem dotąd z ust jej tak ostrych i gniewnych wyrazów. Łzy zakreśliły mi się w oczach i stałem cały w płomieniach, wpatrzony w twarz jej, z sercem bijącym. Ona zaś, jakby nie spostrzegając tego, szybko postąpiła do drzwi, ścisnąwszy skronie drżącymi rękami.

— Mamusi! co to? Za co mamusi?!—krzyknąłem, rzucając się ku niej.

Stanąła w progu i, spojrzawszy na mnie, pochwyliła mię w ramiona i ucałowała gorąco. Uczulem, że łzy nasze mieszają się na naszych twarzach. Wyszepiała:

— Nigdy już nigdy nie mów tak o «nich», dziecko moje drogie, bo mnie to boli.

Już wtenczas zrozumiałem, że odezwaniem się swoim boleśnie dotknąłem matkę, i od tej chwili unikałem instynktownie wszelkiej wzmianki o Żydach.

Błogosławiące jednak dłonie Abrahama, Izaaka i Jakóba rozpostarły się nad mą głową na wstępie życia szkolnego — i «kwestya» wynurzyła się znowu na chwilę. Na progu gimnazjum natura usiłowała zerwać ze mnie maskę i wykryć *incognito* moje wobec świata i mnie samego.

Po wstępnym egzaminie do trzeciej klasy, gdy wraz z innymi uczniami wychodził na korytarz, usłyszałem prawie głośno powiedziane słowa tuż za memi plecami:

— Sprytny żydek, bestya! Pysznie odpowiadał! Jeśli tak dalej pójdzie, zepchnie naszego prymusa!

— Nic dziwnego—bogata jakaś sztuka. Sami profesorowie gimnazjalni go przygotowywali. I ja bym złożył tak samo, gdyby nade mną ślęczeli!

— Jak się nazywa? Pewnie jakiś Goldenberg czy Löwensohn, czy coś w tym rodzaju?

Ostre ukłócie przeszło mi serce, tembardziej ostre, im mniej zasłużoną wydawała mi się «obelga». Obróciłem się raptownie do rozmawiających:

— Mylicie się «panowie»! — powiedziałem z naciskiem i chłodem dorosłego światowca, przy



wyzwaniu na pojedynek — żadnym Żydem, ani «sohmem», ani «bergiem» nie jestem: jestem chrześcijaninem takim jak i wy wszyscy — i nazwisko moje co najmniej nie gorsze jest od waszego. Powierzchowne sądy prowadzą nieraz do absurdu! — dorzuciłem gniewnie i pogardliwie, odchodząc do mego Francuza gubernera.

Poinformowawszy się o domu mojej matki, koledzy dali mi pokój pod tym względem. Ale za to nazajutrz, w dzień rozpoczęcia roku szkolnego, czekała mnie nowa niespodzianka.

Spóźniwszy się nieco na lekcję, stanąłem zakłopotany przed wielkimi drzwiami głównej sali, z poza których rozlegały się dźwięki śpiewanych modlitw uroczystego nabożeństwa, rozpoczynającego rok szkolny, kiedy jeden z dozorców klasowych, wychodząc z korytarza, zapytał mnie surowo:

— Co tu robisz? Zdaje mi się, że jesteś jednym z nowych?

— Tak, panie.

— Czemuż nie idziesz na «wasze» nabożeństwo na dole?

— Nie wiem, panie, czy mi już wolno wejść, kiedy się tak spóźniłem. Nie wiem nawet, gdzie «nasza» klasa się modli.

— Wszystkie klasy razem na dole. Chodź, to cię zaprowadzę.

Nic już nie rozumiejąc po tej odpowiedzi, obejrzałem się tylko wyraziście na drzwi, po za

którymi rozlegały się chóry uczniów, i poszedłem za nim. Zstąpiliśmy po schodach na dół i w mrocznym wysokim korytarzu stanęliśmy u progu jakiegoś pokoju. Przewodnik mój otworzył drzwi i zlekka mię popchnął do wnętrza, cofając się jednocześnie znowu na korytarz. Na odgłos naszych kroków odwróciło się kilkanaście twarzy ultra-typowych żydowskich... W środku stał mężczyzna w długim, czarnym surducie i czytał z książki głosem monotonnym.

Tym razem byłem już strasznie rozgniewany. Gwałtownie się cofnąłem w ślady dozorca i zawołałem głośno, tonem najwyższej obrazy i wyrzutu, ze łzami w oczach:

— Panie! jestem przecież chrześcijaninem, a pan mię wprowadziłeś na żydowską modlitwę!

I wymieniłem znowu swe imponujące nazwisko.

— Czy tak?! Ach, to przepraszam, przepraszam pana!... Mam krótki wzrok... i zmylił mnie trochę typ... południowy. Teraz, przypatrzysz się zblizka... widzę, że wyglądasz pan raczej na Gruzina — tłómaczył się dozorca klasowy tonem na pozór żartobliwym i swobodnym; w istocie jednak nieco zmieszany.

Wtenczas, gdy matka moja, przejęta ważnością tej epoki życia mego, usiłowała zaznaczyć ją tysiącem względów i łask macierzyńskich — nie mogłem odczuć tego wcale; nie mogłem na-



cieszyć się pierwszym swym powodzeniem szkolnym. Podwójne podejrzenie o żydostwo, ironia i żarty zaćmiły mi pierwsze wrażenia. Nie opowiadałem o przejściach tych, drobnych na pozór, mojej matce, wiedząc, iż uzna «obrazę» taką i smutek za karygodne — i że czemś ogromnie, ogromnie zmartwi się jednocześnie, wbrew niby swym zasadom.

Zostawszy sam w pokoju po powrocie z gimnazjum, zbliżyłem się do lustra i zacząłem przypatrywać się sobie z uwagą i przestrawieniem.

Tak... twarz moja, już jakgdyby nie dziecinna, podłużna i blada, oczy czarne, błyszczące, głęboko i ogromnie ocienione — były tak niepodobne do tych widzianych dokoła; szczególnie te dziwne, gorące oczy — tak bardzo nieeuropejskie. Nos długi, cienki, z niewielkim wprawdzie, ale charakterystycznym, wygięciem, te usta wąskie, zaciśnięte w tej chwili z pewnym wyrazem goryczy — jakież typowe!... i jakżeż często spotykane wśród «nich,» niestety!... Mój Boże, skąd to się wzięło? — pytałem siebie w smutnym zdumieniu, cofając się od lustra, zgnębiony własnym widokiem.

Skąd wtenczas już w młodzińskiej duszy mojej wrzał taki zasób wstrętu i pogardy dla plebienia izraelskiego? Co mogło wpłynąć na mnie? Co było tego przyczyną? Po części może wielka odrębność warunków wychowania, tak bardzo dalekiego od wszelkich nędz i kłopotów

ubogich «braci» moich, a od dążeń i ideałów bogatszych pomiędzy nimi; po części to wszystko, co mogłem ujrzeć i usłyszeć przelotnie i powierzchniowo, jak dzieciak bezkrytyczny; po części to przeświadczenie, że się należy do rasy stokroć szlachetniejszej, którym przepojona była wokoło mnie cała atmosfera.

Widując ich w skupionej ciemnej masie na Południu, gdzieśmy jeździli do kąpiel morskich, zwracałem przedewszystkiem uwagę na ich bijące w oczy brudy, na szwargot niemiły, na komicznie wstrętą odzież. Pod brudnymi chałatami nie spostrzegłem nigdy nędzy — i dlatego jeszcze potworniejszym zdawał mi się ich wyzysk i oszustwa, o których ciągle słyszałem. Niezaprzeczona zaś arogancja, brak smaku, śmieszności warstwy zamożniejszej potęgowały wstręt ten ogromnie... Niestety, pozostał on we mnie aż do dziś, pomimo kolosalnej pracy nad sobą, pomimo otwartych na wszystko oczu — pomimo wielkiej walki i wielkiej rozpaczki mojej... Robota dwudziestu czterech lat życia!... Fanatyzm mój, wrodzony może, plemienny, jak rzeka, której łożo skierowano sztucznie w inną stronę, wymierzył ostrze swe do własnej mojej piersi i do moich współbraci... Renegat nieświadomy...



IV.

Pewien jednak zwrot szlachetniejszy w uczuciach względem Żydów nastąpił niespodzianie po jednym z owych *qui pro quo*, o których wspominałem wyżej. Mając już lat piętnaście, przechodziłem kiedyś w asystencyi służącego przez jedną z uboższych dzielnic miasta, zamieszkaną w znacznej części przez Żydów, aby odwiedzić kolegę. Skręcałem właśnie w jedną z ulic żydowskich, gdy kilku podchmielonych robotników, spotkawszy niewielkiego żydziaka, stanęło przy nim i obsypało go gradem wstrętnych przezwisk i żartów. Gdy zaś przerażone dziecko usiłowało wymknąć się im, przyciskając się trwożnie do muru, jeden z pijaków porwał je mocno za ramię i tak boleśnie przygniótł, że się zaniósł od płaczu. Ulegając popędowi wzburzenia, rzuciłem się do draba i zawołałem:

— Jak śmiesz tak znęcać się nad dzieckiem, szkaradny człowieku?!

Pijane oczy zatrzymały się na mnie wyzywająco i impertynencko.

— A tobie co do tego, pysku żydowski? Z drogi, parchu, bo i ty przy tem oberwiesz!

Niby kamień spadł mi na głowę po tych słowach. Wgryzły się we mnie te wilcze zęby obelgi, których strasznego bólu nie doznawałem jeszcze dotąd. Byłem za młody i za naiwny

abym mógł przyjąć obojętnie wymysły ulicznego pijaka. Schwyciłem go więc za ramię i zawołałem, drżąc z gniewu:

— Nie wiesz sam, co gadasz, nikczemniku! Nie jestem żydem, tylko chrześcijaninem wiele lepszym od ciebie!...

— A w samej rzeczy, gadasz, młody panie wcale nie z żydowska, całkiem po naszemu! — ozwał się z naturalnym zdziwieniem i głosem zupełnie już odmiennym. No, to przepraszam za omyłkę... ale cóż to pana obchodzić miało, żeśmy pożartowali trochę z tym bachorem?

Odwrociłem się pogardliwie i odszedłem, pełen drżenia wewnętrznego, unosząc na zawsze wrażenie tej chwili. Byłem tak dalece pochłonięty własną obrazą, że, wylegitymowawszy się z naciskiem ze swej narodowości i wiary, nie próbowałem nawet ani słowem otworzyć oczu tym drabom na ich nikczemność względem niewinnego stworzenia.

Przez długi czas scena ta była dla mnie wprost męczącą zmorą. Z początku bolała mnie wyłącznie jako wypieszczonego jedynaka i wielkiego panicza, którego dotknięto po raz pierwszy brudami ulicy. Pamięć wymysłów doskwierała mi tem bardziej, że w najlepszej wierze zaliczono mnie do rodzaju ludzi, którym jedynie brzydziłem się na ziemi. Haniebna igraszka losu!

Następnie wspomnienia moje różniczkowały się coraz wyraźniej. Myśl moja, odrywając się



od autokontemplacji, poczynala się zwracać coraz częściej do tego mizernego, wylęknionego dziecka i jego roli w owej scenie.

Dzięki przybranej matce mojej—byłem chłopcem wyjątkowo szczęśliwym; nie wiem czy dzięki jej tylko także, czy raczej dzięki tej innej, wielkiej a nieznannej mojej matce, to jest przeszłości rasy mojej całej, pełnej bólów i mąk jawnych i tajemnych—byłem prócz tego wyjątkowo wrażliwym na niesprawiedliwość i na krzywdę wszelkiego stworzenia. Spojrzawszy w szeroko otwarte źrenice żydziaka, zobaczyłem rąbek jakiegoś straszego świata, i od tej chwili, ukazując mi się w momentach i postaciach rozmaitych, pociągał on mnie i odpychał jednocześnie. Obce te, a mało w gruncie rzeczy znane mi horyzonty dostrzegłem znowu w towarzystwie kolegów żydów, przechowujących nieświadomie tradycyjne instynkty i dążności w mniejszym lub większym stopniu. W towarzystwie, w literaturze—stawały one nieraz przede mną, targając w duszy jakieś dziwne struny, oświecając ją nagle jakby przeczuwanym, niby znanym, a nieznanym, światłem.

Na ogół biorąc jednak, były to tylko nikłe na pozór epizody mego młodego życia, życia «szlachetnego arystokraty,» któryby pragnął wszystkich wydziedziczonych bliźnich wprowadzić do swych złocistych podwoi. Pierwsze lata studiów uniwersyteckich, a więc pierwsze kroki

samodzielnego młodzieńca, dały mi tyle wrażeń nowych, otwały mi tyle perspektyw na rozmaite punkty świata, że dotychczasowe pojęcia moje uległy modyfikacyom większym lub mniejszym, dotychczasowe wrażenia zacierały się pod wpływem nowych wrażeń.

Dzień epokowy w mem życiu jak wielka krwawa łuna stanął przede mną nieprzygotowanym—i tak mię nagle oślepił, że przykleknąłem przed nim bezsilny i ogłuszony, zanim mogłem hardo skoczyć do walki... i do ratowania siebie samego—od siebie samego!

Na progu własnego mego żydowskiego życia obejrzeć się musiałem na dwa stosunki ważne i święte, jak mi się wówczas zdawało. Jeden z nich, do matki mojej, najdroższy-dotąd i zawsze w treści niezmienny, na me wyraźne żądanie zmienić się musiał powierzchownie i w mniej szczęśliwych istnieć warunkach. Natomiast inna miłość moja... raczej romans mój tylko, zwany miłością--zakończył się na zawsze w sposób tak charakterystyczny, a tak niby naturalny w całości tego obrazu, że pominąć go tu nie mogę.

Nie będę zresztą się spowiadał z całego jego przebiegu. Dość, że zdawało mi się, iż kocham i jestem kochany. Było też w narzeczeństwie naszym dużo konwaliowej świeżości i uroku, był wdzięk tych kwiatów, co raz tylko kwitną dla każdego pokolenia, przekwitają z szybkością wiosennych bzów i konwalii, by znowu zakwitnąć na



inne wiosny, dla innych dzieci ziemi. Moje, niestety, zwiędły i uschły inaczej, niż te codzienne kwiaty milionów...

Poznałem chwile i doby przepastne jak piekło...

Zaledwie dni kilka dzieliło mnie jeszcze od podróży do Niemiec. Wybierałem się bowiem na studia dopełniające do jednej ze słynnych starych wszechnic niemieckich. Rozmawialiśmy właśnie z matką o blizkiem naszym rozstaniu, tem pierwszym dłuższym w naszym życiu, i opowiadał nas nastrój bardzo melancholijny, chociaż ze względu na nią starałem się go przezwyciężyć wszelkim sposobem. Pamiętam chwile te doskonale. Biorąc jej rękę, aby ucałować, powiedziałem z uśmiechem:

— Obawiam się, mateczko, byś nie patrzyła na mnie, odprowadzając mnie jutro na statek, jak matka Mojżesza, kiedy puszczała niemowlę swe w koszu na fale Nilu... Z woli Jehowy i twoje «niemowlę» wypłynie jakoś z «burzliwej świata fali...»

W oczach mej matki mignęło błyskawicznie niby trwożne pytanie, niby zdziwienie; ale natychmiast przybrała znowu zwykły swój wyraz i odparła, uśmiechając się smutnie:

— O, tak! wołałabym teraz naprawdę być w roli córki Faraona, aby cię zabrać choć na krótko jeszcze z tego nowożytnego kosza o kotle parowym.

— Zabrałabyś mnie więc już po raz drugi — ale nie jestem Mojżeszem, ba, nie jestem nawet najskromniejszym żydem! A jednak błogo być musi należeć do tej wysokiej a wybranej rasy! — mówiłem dalej wesoło, aby odwrócić jej uwagę od naszego smutku. — Pocieszam się przynajmniej tem, że rysy moje, jeżeli nie pochodzenie, są tak izraelskie. Pamiętasz, jakieś to się gniewała, kiedy się zjawił jako Uryel Acosta pod rękę z piękną hrabianką — Judytą na balu kostiumowym w ambasadzie? Wszyscy przecież przyznawali, że byłem wspaiałym Acostą.

— Masz w ogóle piękny typ wschodni — odpowiedziała niechętnie matka — wyidealizowany i delikatny... Zresztą i Żydzi bywają przecież nadzwyczaj piękni i efektowni.

— Dziękuję ci, mateczko, za tak «pochlebne» uznanie, chociaż nie powiem, aby te moje wdzięki sprawiały mi wielką przyjemność... zwłaszcza ze względu na nieporozumienia, których bywały powodem... Mam nadzieję, że z etycznej strony przynajmniej nie odznaczam się równie łudzącym podobieństwem, bo przecież chciałem, tchórzem, ani arogantem — nie jestem, o ile mi się zdaje... No, jeszcze chyba na zdolności Uryela lub Spinozy zgodziłbym się od biedy!

— W żartach twych — przerwała mi szybko matka, zapalając się nagle w sposób dla mnie niezrozumiały — przegląda uparcie myśl dla mnie przykra, a nawet nienawistna!... Zdajesz się być



poważnie przekonany, że Żydzi należą naprawdę do jakiejś przeklętej rasy, noszącej we krwi swej potworne grzechy ludzkości, że cechy te występują niezależnie od warunków społecznych i historycznych, że powstały, nie od wiecznego prześladowania i tułactwa, inkwizycyi i nędzy, nie od wyjątkowo obronnego ich położenia wobec wrogich mas innych plemion — lecz, że to wina ich krwi «gadzinowej» i ich «żółtego» ciała, jak ciemna tłuszczka powiada.

— Ależ, mateczko, mylisz się, posądzając mnie o jakąś szczególną nienawiść do Żydów! Widać, że jesteś wprost oburzona na ma, jak ci się zdaje, żydofobie. Ależ uwierz mi, proszę, że nic a nic złego im nie życzę. Pozwól mi tylko całkiem spokojnie zaprzeczyć twemu zdaniu, które mi się wydaje zbyt skrajnym w przeciwnym kierunku... Każdy naród bywa zwykle oskarżany o rozmaite przywary. Żydom, co prawda, najhojniej sypią się ujemne epitety... bo... bo też i cechy ich wybitne są z pewnością liczniejsze i bardziej urozmaicone. Nikt o nich nie powie, że są głupi i tępi, ale wszyscy mówią, że są chciwi i podstępni, bo takimi są w istocie. Dlaczego mamy zamykać oczy na ich nerwową tchórzliwość, na ich materializm, na odmienne od naszych pojęcia o całej treści życia?... Prawda, że odmienne też warunki powszechne prześladowanie spotęgowały i wyprowadziły na wierzch brudy właściwe zbiorowej duszy izraelskiej... ale..

ale tkwiły one w niej od wieków i nie bez przyczyny wszystkie narody świata znienawidziły specjalnie ten naród, naprawdę nieszczęśliwy. Od wieków tuła się on i narzeka, od wieków za coś prześladowany. Nie myśl zresztą, że lekkomyślnie powtarzam tylko cudze słowa... Myślałem i czytałem trochę o życiu Izraelitów i między innymi — trafiłem niedawno w Biblii na frazes przypominający bardzo terazniejszość: «Im więcej trapił Egipcyanie lud izraelski, tem więcej się rozmnażał i tem więcej rósł, tak, iż ścieśnieni byli Egipcyanie dla synów izraelskich...» Prześladowani a trapieni byli i rozradzali się zastrasżająco; a jednak nie usiłowali wolności swej wywalczyć mieczem, jak wszystkie inne ludy współczesne według współczesnego ideału. Czekali tylko zmiłowania bożego, cudu, Mojżesza — tchórzliwe niedołęgi! Jak mało mają Machabeuszów w swych długich starych dziejach; za to cudownych Samsonów i Dawidów, podstępnych Judyt — wcale im nie brakuje! Najczęściej walczy złotem okupów i pięknnością chytrych kobiet, nie zaś żelazem miecza.

— Nie bądź-że tak powierzchownym i zechciej sobie przypomnieć, że byli ludem spokojnym, handlowym, którzy wówczas już brzydził się krwi przelewem, gdy my tymczasem zaczynamy tem brzydzić się dopiero w końcu wieku XIX-go.

— Przepraszam cię, mateczko, lecz, pomijając karty biblijne, zakrwawione od dołu do góry



dzielami zemsty i zdrady, zacytuje ci tylko Fenicyan i Kartagińczyków, ludy właśnie spokojne i handlowe, co umierały z orężem za wolność swoją...

— A Jerozolima?

— Tu już poruszasz inną kwestyę: fanatyzmu ich religijnego, — tę siłę złowrogą, straszną, kamieniście niewzruszoną, ciemnych mas, o którą wszystkie chrześcijańskie humanitarne zasady rozbijają się jak o mur nieprzebity i która oddziela ich od wszystkich ludów, świadomie czy nieświadomie dążących do ideału Chrystusowego... Czem-by oni być mogli, gdyby z taką wytrwałością olbrzymią i taką namiętnością uwierzyli byli w Chrystusa i zrozumieli naukę jego!

— Albo, przynajmniej, jakimi-by oni być mogli, gdybyśmy obchodzili się z nimi wedle przykazań Chrystusa, powiedz raczej! Ale czemuż my sami nie hołdujemy tak fanatycznie temu boskiemu Galilejczykowi, który z ich łona wystąpił, jak oni swemu ponuremu, mściwemu Jehowie? Czy myślisz, że i w takim razie pozostawiliby wiernymi grzechom «rasy» i fanatycznej swej nienawiści dla nas i dla naszego mistrza — Boga?

— Ja «nas» nie bronię, najdroższa... Prawda, że często postępujemy z nimi nieładnie, w najlepszym zaś razie z pogardliwą biernością prostych widzów niesmacznego dramatu. Tłómaczę tylko poniekąd, skąd mógł się wytworzyć wstret

między jednym ludem Starego a tak licznymi ludami Nowego Testamentu? Nie chcę tylko przeoczyć znaczenia typu rasowego, dziedziczności i odrębności, przechowywanej, pielęgnowanej fanatycznie, jak ongi mury świątyni jerozolimskiej, a odpychającej tak skutecznie nasze, grzeszne moze, lecz tak bardzo odrębne, dusze!...

— Nie! nie! stokroć nie, nieprawda! Rasa ich, dziedziczność — to właśnie mrzonki pseudonaukowe, fantazje pozytywistyczne! Za długo korzyliśmy się przed ich autorytetem, czas wreszcie zrzucić z siebie ich jarzmo i przekonać się oczywiście, że warunki życia i wychowania są stokroć ważniejszym czynnikiem. Tyle przykładów z życia świadczy o tem.

— Tyle przykładów? Rozmaite co do tego są zdania. Najbardziej z nich rozpowszechnionem jest to, że całkiem asymilowany pozornie żyd — w początku, środku, czy też końcu swej kariery zdradzi jednak z pewnością swe pochodzenie... Zresztą wyjątki wszędzie się zdarzają. Ja mówię tylko o masie dominującej. Wspomniałaś, mateczko, o przykładach. Jednak ciekawy jestem, czy mogłabyś mi przytoczyć choć jednego; lecz przyjmę tylko taki, który byłby wynikiem twej bezpośredniej i stałej obserwacji...

— Wierz mi — zawołała matka, zrywając się nagle z miejsca z gwałtownym drżeniem w głosie i na całym ciele — że mam, mam przykład, którego wymagasz!...



— A więc dobrze, mamo, serdecznie rad jestem z tego. Tylko dlaczego znowu tak się tem przejmujesz? — dodałem, całując jej ręce. Uważam, że sprzeczka nasza za mocno cię porusza: lepiej więc jej zaprzestać. Jeśli chcesz, przytocz mi na ostatek swój rozstrzygający przykład, a umilknę pokorny i zwyciężony. Masz w ręku oręż.

Widząc zdenerwowanie matki, próbowałem w ten sposób urwać spór niespodzianie przedłużony. Przypuszczałem, że matka wymieni mi jakieś nazwisko, miejsce i czas; ja się niby «przekonom» — i zacniemy rozmawiać o czem innym. Spojrzałem więc wyczekująco w jej oczy i... z najwyższym przykrem zdziwieniem szybko spuściłem w dół swoje.

Twarcz jej zmieniła się ogromnie. Biło z niej tak wielkie pomieszanie i przestraszanie, takim wstydem, zdawało się, spłonęły jej policzki, że sam zmieszałem się nad wyraz wszelki, nie wiedząc, co mam począć...

Usiłowałem niezręcznie zmienić przedmiot rozmowy i milkłem, tracąc jej wątek. Wyraz mej twarzy nie mógł jej uspokoić i równowagi jej wrócić, a w głowie mej zawirowały tymczasem w szalonym pędzie najdziwaczniejsze domysły. Przekonany, że stanął wobec tajemnicy, poruszającej, jak się zdawało, najgłębsze i najdrażliwsze uczucia mej matki, puściłem wodze zbudzonej wyobraźni mojej. Przypomniałem sobie gwał-

towne jej wzruszenie z lat mych dziecinnych, gdy mi surowo zakazała źle mówić o żydach, zestawiłem to ze sceną dzisiejszą — i oto w mózgu moim niby koło jakieś, puszczone nagle w obrót — zawirowało coraz gwałtowniej, szybciej, pędząc ku szalonemu, obrażającemu domysłowi... Głośne, choć niby tajne historye różnych pań z wyższej sfery przemknęły błyskawicznie w mej pamięci... I oto podniosłem w górę oczy odgadujące, napół pytania, napół twierdzenia pełne, i... spotkałem się oko w oko ze szczupłą, wysoką postacią młodego żyda o rysach typowych, o wschodnich oczach podłużnie wykrojonych, z których uderzył w tej chwili płomień tak wielkiej grozy tragicznej, jaką tylko cios nagle spadający może cisnąć do oka ludzkiego...

Odbicie to, widziane tyle razy w tej samej ścianie lustrzanej, nic dotąd, nic mi nie mówiło... Aż w chwili tej dopiero pokazało mi wreszcie... mnie samego w świetle właściwym, we własnej postaci.

— Matko! — powiedziałem cicho i równie cudzym głosem, jak cudzem mi się zdawało to dziwne nowe istnienie, występujące przede mną — Matko! — zawołałem po raz drugi, sztywniej pod ogromem wrażenia i czepiając się rąk jej kurczowo. — Jestem rodzonym synem twoim i... jęgo... ojca... żyda?!

W tej chwili ona sama, jej wstyd, cierpienie czy poniżenie — nie istniały dla mnie wcale. Wi-



działem tylko przed sobą to... to nowe... to cudze, to wstrętne i straszne!

«I przyłączon do ludu swego...» przyłączon [eszcze za życia...

— Szalony! szalony! co ci się roi?! — odpowiedział mi głos jej nie uspakajający, nie przeczący w brzmieniu, które chwyciłem chciwem uchodem, lecz tylko usiłujący ukryć... rozpaczliwie ukryć... a pełen męki i strachu, aby nie wyjawić tego, co obawiałem się usłyszeć, a co było... i jest już... i będzie już zawsze, będzie bezpowrotnie, zrośnięte ze mną, jak piętno galernika.

— Walterze mój drogi! synu najukochańszy, jesteś naprawdę przybrany synem moim! Czyż mi nie wierzysz, mnie, która nic nigdy nie skłamała przed tobą?!—ciągnął dalej ten sam pokorny, żebrzący głos, urywany, wstrząsany płaczem spazmatycznym.

— Jestem i byłem zawsze uczciwą kobietą i przeszłość moja była czysta!

Teraz głos zabrzmiał inaczej. Błysnęła w nim chwilowo duma i prawda, nieulegająca wątpliwości.

— Więc może nawet i napół «gojem» nie jestem? — spytałem z dziwną goryczą, rozpaczliwie czepiając się ostatniego wątko nadziei, że choć połowa krwi innej płynie w mych żyłach.

I nie słyszałem już głosu. Jakiś bezdźwięczny szept, niby przeczący, zamierał na wargach mat-

ki, ale odpowiedź niekłamająca wyjrzała jej mimowoli z błagalnych, łzawych oczu.

Ściany żółtego buduaru poczęły dziwnie się pochylać i spaczać ze zgrzytem. Białe japońskie ptaki zamiotały się na nich konwulsyjnie, łamiąc skrzydła w jakiejś walce śmiertelnej. Z pomarańczowych draperyi zionęły duszące, skwarne powiewy — oddech mi spłonął w piersi—i runąłem.

## V.

Jestem więc żydem. Spróbuję być żydem uczciwym: a więc spróbuję nie wstydić się samego siebie — nie będę renegatem. Zrywam gwałtownie tę wrosłą w ciało maskę, pomimo zaklęć mej matki, pomimo rozpaczliwego jej oporu, pomimo tej strasznej pokusy, że wszystko nadal pozostanie, jak dotąd było — tajemnicę wdusimy znowu w swoje wnętrza.

— Nie lękaj się — powiadam z tem samym nowem a bezwzględnem okrucieństwem dla niej i dla siebie — potrafię być całkiem «correct» jeszcze przez dni ostatnie, wyjadę jeszcze z miasta; jako pół-hrabia, oszczędzę ci wstydu; ale potem ślad mój zginie w jakiejś legendzie. Obawiać się być żydem—byłoby to «po żydowsku!»—kończy z ironicznym uśmiechem.



Rozstania tego z nią i ze szczęściem, które z rąk jej spłynęło na mnie, opisać nie jestem zdolny, chociaż nie było ono ostatniem, chociaż dano mi ją było widywać póki... żyła... dość długo jeszcze,— ten skarb najwyższy życia mego. Nie byłem z nią tak nikczemnie okrutny do końca jak w pierwszych tych chwilach rozpaczliwej goryczy. Pożegnałem ją całym sercem u nóg jej złożonem.

O innym za to rozstaniu mogę już teraz mówić spokojnie i obiektywnie — o rozstaniu z tą «kochającą» a ukochaną narzeczoną. Gdy stanął przed nią, wrzała jeszcze w całej istocie mojej okrutna walka pomiędzy tym dawnym «ja,» co ustępowało powoli, gniecione, ranione, deptane przez nieznanego jeszcze przeciwnika, a tym przeciwnikiem, który się hardo wpierał do duszy, jak nienawistny władca, pewny swego łupu. Ten nowy pan wydawał się jej jeszcze tak obcym i... tak strasznym. Wszystko, co do niej wprowadzał, było tak nowe dla niej jak świat męcząco dziwny, co po raz pierwszy ukazał mi się wśród dusznych żółtych zasłon i ścian drgających kurczowo od stóp do sufitu w buduarze mej matki.

Powtarzam jej, narzeczonej mojej, raz, drugi, trzeci, kim jestem—mówię seryo, wyraźnie przekonywająco. Lecz ona na to śmieje się i śmieje... Śmiech ten łaskocze nerwowo me serce, mdło mi się robi koło niego. A ona dalej się

śmieje wdzięcznie, kokieteryjnie — rozkosznie, słuchając tego żartu «swego ukochanego Waltera.»

— Tak ładnym i interesującym jesteś żydem, że chętnie z tobą gotowa jestem podzielić królewski splendor należenia do ludu wybranego i na skroń swoją wdziać ciernie, którymi go zasypują chrześcijańscy barbarzyńcy!

— Chwytam cię za słowo — powiedziałem smutnie. Przyszedłem cię właśnie zapytać: czy zechcesz podzielić ciernie?—bo o splendorach mowy być nie może...

I ze ścisłością matematycznego dowodzenia opowiedziałem jej z kolei wszystko, com wyrwał... z pod serca tej drugiej kobiecie. I widzę odbite na niej blado, lecz jeszcze aż nadto silnie, własne me męki z przed dni kilku, kiedym dowiadywał się o swej przeszłości.—Chwyta się z całej mocy rękami za poręcz fotelu, drży cała od stóp do głowy—i powtarza machinalnie, bezmyślnie, jak piękna woskowa figura w tragicznej roli:

— To być nie może! to być nie może!

A ja, podrażniony i wzburzony, podkreślam swoje słowa, powtarzam epitety dotyczące «moich rodziców.» Zresztą nie dziwię się jej w tej chwili i nie potępiam jej wcale. Owszem, rozumiem ją, a jednocześnie czuję jak głucha złość zalewa mi piersi. Wiem jednak, że kocha mnie naprawdę, głęboko, szczerze kocha.



— On!... Żyd?!

Kiedy wreszcie staje się zdolną słuchać i mówić, pytam ją: czy uważa odkrycie to za ciężar tak wielki i wstrętny, że unieść-by go nie mogła, stając się żoną moją?

Odpowiada mi z łuną krwi na twarzy:

— O, nie myśl, nie myśl, że tak gardzę... żydami!—Urywa zmieszana, wylekłym, nieznanym mi wzrokiem patrząc na mnie. Czuję, że w tej chwili *Żyda* już widzi przed sobą. I odpowiedź ta uderza mię wprost w serce. Doznaję wrażenia takiego, jak wtenczas, gdy posadzano mię niesprawiedliwie niby o żydostwo—wstydu i obrazy, a jednak czuję się już zarazem dotknięty jako żyd. Odpowiadam więc chłodno, z odcieniem ironicznym, tonem wykładu:

— Przypuszczam, bo musiała pani słyszeć, że i pomiędzy żydami zdarzają się rzadkie wyjątki. Naprzykład—choćby ja—nie mogłem przecież nagle się zmienić dlatego tylko, że ujawniłem i uświadomiłem sobie od dni kilku swoje pochodzenie autentyczne. Warunki i wychowanie — dodałem surowo i bezdźwięcznie, konstatuując w swej myśli własnej nowość tak nagle zmienionego zdania—czynią żydów takimi, jacy bywają po większej części. Moje zaś warunki i wychowanie były takimi jak twoje... jak naszego, to jest... «waszego» świata całego; jestem też niewątpliwie do «was» podobny.

Wydalo mi się, że miłość jej przemówiła narzeczcie bez porównania skuteczniej, niż ja to mogłem uczynić; gdyż oto po raz pierwszy rzuca mi się na szyję w tej chwili, z uczuciem tak idealnie rzewnym, tak tryskającym tkliwością, jakby mię chciała nagrodzić za krótką mimowolną słabość swoją, za przelotną krzywdę mi wyrządzoną. Przygarniam ją szczęśliwy i dumny, mówiąc z gorącą wdzięcznością i miłością:

— Rozumiem, najdroższa, chwilę przykrego zdumienia i walki twojej, lecz byłem tak pewien ciebie...—mówię swym dawnym głosem swobodnego szczęścia, zapomnianym już od dni kilku.

A ona, podnosząc na mnie oczy, skrzące się łzami, rozmiłowane nad wyraz, mówi z przejęciem:

— Taki Żyd! Nic, nic niema w tobie żydowskiego. Owi uczniowie pańscy tyle zapewne mieli wspólnego ze swemi współplemiennikami, co ty, mój luby, mój najmilszy! Czyż można wyrzec się takiego?!

Mówi te słowa z dziecinną przesadą i zaślepieniem kochającej bez granic kobiety. Ale wślad za tem dodaje cicho i dyskretnie:

— Dziękuję ci, najdroższy, za tve zaufanie. Czyż potrzebuję obiecywać ci i przysięgać, że nigdy, nigdy nie zdradzę twej tajemnicy, tak samo jak matka twoja ukochana...

— Nie zdradzisz tajemnicy?! — wołam, wyrwijając się gwałtownie z jej objęć i nie chcąc



wierzyć swym uszom.—Jak to, przypuszczasz, że mógłbym zataić pochodzenie moje? mógł kraść nikczemnie wasze przywileje? Ależ przenigdy! Byłbym właśnie tchórzem, gdybym się wyrzekł dla nich samego siebie! Dowieść chcę właśnie światu, że nie gorszy od was, chrześcijan z pochodzenia. Podniosę śmiało to czoło z piętnem Izraela!

— Na miłość Boga, przestań! Zastanów się co mówisz! Jakie szaleństwo chcesz popelnić! Toż trzeba wyrzec się wszystkiego... czem dotąd żyliśmy oboje... Jak oni wszyscy spojrzą na to — rozumiesz chyba dobrze! I po cóż, po co?! Co komu z tego przyjdzie, oprócz mąk poniżenia dla nas obojga? O, nie zaciekaj się, na miłość Boga! Nie gub i mnie i siebie! zlituj się!...

Błagała i rozpaczała, to znów oburzała się i przekonywała mnie jak mogła. W słowach tych, szybkich, namiętnie rwących się z ust rozpalonych bólem — przeglądała miłość jej dla mnie jako chrześcijanina, jako człowieka łudzaco wcielonego do jej narodowości, i cały ogrom tradycyjny pogardy i wstrętu dla Żydów, mych współbraci. Milczałem, jakby stanąwszy nad trumną zamkniętą na zawsze, której żadne słowa, ni jęki nie otworzą...

— Żegnaj! — szepnąłem tylko, a potem wybuchnąłem śmiechem i śmiałem się tak długo, tak długo i tak głośno, że z ulicy przemocą wprowadzono mnie do lekarza...

W uszach mi brzmiał jednakże przez lata całe błagalny, złamany głos jej od progu:

— Wróć! och, wróć! Wracaj, na miłość boską! Niechże tak będzie, jak każesz!

Nie powróciłem, bom wiedział, czem-by to było dla niej, gdyby się stało naprawdę.—A więc sam jeden!

## VI.

Zawisłem w przestrzeni pomiędzy dwoma światami. Do jednego przyrosłem dzieciństwem i pierwszą młodością, sercem i pojęciami. Ku drugiemu, ciemnemu i nieznanemu mi wcale, a tak, zdaje się, wrogiemu całej mej jasnej przeszłości — potężnie mię popychał wyrozumowany obowiązek i coraz wyraźniej występująca cześć krwi. Jako żyd stawałem się fanatykiem honoru i zaparcia się siebie.

Nie będzie żadnym przykładem, ani też żadną zasługą, jeśli wyposażony hojnie w pieniądź miłosiernego goja, przekupiony tem miłosierdziem jego, wystąpię do łatwej walki. Żydzi-kapaliści, tak stosunkowo nieliczni, z wysokiej, bezpiecznej baszty swej złotej obojętnie się przypatrują zamętom na padołach. Antysemityzm, brzemienny w skutki dla ciemnej, nędznej rzeszy żydowskiej, dla nich jest tylko przykrym brzęczeniem komara. Abych mógł zgłębić warunki życia *mojego* naro-



du i ciężar ich wypróbować na sobie, muszę się stać Żydem ubogim i zarobkującym. Wprawdzie z łaski chrześcijan miałem wykształcenie, a także, ubłagany przez matkę moją najdroższą, wziąłem od niej grosz na drogę i pierwszy miesiąc samodzielnego życia — ale poza tym rozpoczynałem już żywot samodzielny. Więc też, zamiast udać się za granicę, jak zamierzałem poprzednio, wyjechałem do jednego z tych miast, w których, jak mi było wiadomo, żyły tysiące braci moich, korzystających w całej pełni z wyjątkowych praw, ofiarowanych im przez państwo z jednej strony — i przez własną tradycję z drugiej. Postanowiłem poznać bliżej tych smutnych bohaterów chwili, poznać sferę, do której należałem z urodzenia... i rzucić w nią nowy, odradzający posiew.

Zdecydowany i roznamiętniony — a jednak sam siebie niejasny, stanąłem na wstępie do nowego życia przed pytaniem, które wydało mi się z początku nieledwie formalnym tylko i powierzchownym, a które rosło i olbrzymiało we mnie z taką niespodzianą szybkością, że w końcu zasłoniło przede mną wszystkie dalsze i bliższe perspektywy. Czy mam pozostać i nadal chrześcijaninem — czy też stać się wyznawcą prastarych ksiąg Jehowy — czcicielem groźnego Ojca, miłującego Izraela? Czy i pod tym względem mam się złąć z ludem moim? wszczepić się w jego organizm?... Ale uczułem zbyt wyraźnie,

jak tajemnie a cicho ubóstwiałem i miłowałem Tego, który nowe prawdy przekazał, uczułem, że wyrzec się Go, zdradzić chociażby tylko pozornie, formalnie nie mógłbym za żadne skarby najwyższych idei i celów.

Dziecinna wiara moja przygasła i omdlała pozornie podczas mych studyów uniwersyteckich, otrząsając się zwolna ze strojnej szaty obrządków. Lecz został mi nietknięty przepiękny posąg ideału, który się z niej wyłonił. Był czas przejściowy, gdym mu hołdował jako marmurowemu bóstwu greckiemu — dla piękna etycznego. Ale ten posąg mój zaczynał nabierać coraz więcej życia z błahych na pozór powodów. Oto malarz oryginalnym i wzniosłym zrozumieniem typu boskiego Mistrza rozpałał ku Niemu moje serce, poeta strofami szczerze natchnionemi prowadził mię do Niego, wiodła mię ku Niemu błękitna noc gwiazdzista...

W czasie rozmyślań tych nad sobą przyszedłem do przekonania, że pomiędzy mną a wielkością mych kolegów uniwersyteckich istniał przedział duchowy znacznie większy, niż sam przypuszczałem. Ich zuchwałe negacye nie obaliły wiary mojej bynajmniej — tylko odsuwały ją w najgłębsze sanktuaria duszy: żyła tam zawsze, przybierając coraz nowe, a coraz silniejsze formy. Znałem i ja zresztą mękę zwątpienia, szpony rozumu i krytyki. Z rozpaczłą bezsilnością stałem przed zagadką boskiego wszechmiłosier-



dzia i ziemskiego wszechmęczeństwa, lecz ze wszystkich tych cierni wykwiłał zawsze zwycięsko płomienisty kwiat miłości. Dusza szła dalej ciężką, niepewną drogą, szukając śladu Chrystusowego.

Pozostałem chrześcijaninem.

Nie mogąc wbrew prawu zmienić urzędowo nazwiska, przybrałem sobie tylko nowe miano: jako *Ismaël* wstępowałem na nieznany mi grunt bezbrzeżnej pustyni nowego życia.

## VII.

Sądzę, że każdy misjonarz afrykański przychylniej bywa przyjęty i «milej» wysłuchany przez swe buszmeńskie czy kafryjskie «owieczki», niż ja słuchany byłem przez braci moich z krwi i kości we wschodniej Europie, nad morzem kłębiącym się od okrętów wszelkich cywilizowanych narodów. Zapewne niemało w tem było i mojej winy... Chciałem zbliżyć się do nich i zyskać ich zaufanie. Szedłem szukać ich dobrych stron, tłumaczyć i przebaczać złe. Lecz gdy mię badać poczęli, wypowiedziałem odrazu, a w sposób dla nich przystępny, wierzenia i przekonania moje. Wtenczas część znaczna ich traktować mię poczęła jako szaleńca i komedyan-ta; inni zaś powiesili mię moralnie na jakimś drzewie-pregierzu, jak afrykańczycy — i zamknęli

oczy i uszy, aby nie widzieć i nie słyszeć mojej ohydy odstępczej. Najfanatyczniejsi schowali się przede mną w wysokich murach jerychońskich, kryjąc zapewne za nimi nieznanne skarby duchowe, a pozostawiając za to widomą tylko wstręt-ną powierzchowność, dawno, niestety, mi znana. Teraz i żal i wstręt mój przeminał. Nie mogę i nie śmiem — ja, syn tej rzeszy nieszczęśliwej, czernić jej w zwykły sposób na tych kartach. Podejrzliwość jej lepiej już teraz rozumiem, tak samo jak jej ślepotę i niesprawiedliwość. Zrozumiałem też dzisiaj, iż mniej niż każdy inny nadawałem się do tej próby—arystokratyczny młodzieniec, marzyciel i idealista.

Przez czas niemały oblegałem tę twierdzę, ale nie rozpadały się jej mury od moich nawoływań. Przemagając wstręt, próbowałem się dostać do jej wnętrza jako rzecznik współczesnych europejskich ideałów; ale zagradzano przede mną wszystkie przejścia, albo zbywano mnie lada jakim wykrętem i szychem. Nareszcie z głębokim bólem skonstatowałem marność moich wysiłków i odszedłem pełen goryczy i—powiem szczerze — wzmożonego wstrętu. Oskarżałem w myśli te ciemne, brudne massy, wynajdowałem coraz nowe teorie postępowania, a rzeczywistość, zamiast nas zbliżać, stawała zawsze pomiędzy nami.

Nie odwróciłem się jednak od nich całkowicie. Nie mogąc pracować wpośród nich—z nie-



mniejszym idealizmem rzuciłem się, by pracować dla ich sprawy. Pragnąłem wywalczyć sprawiedliwość dla tych, którzy względem mnie byli niesprawiedliwi.

Wstąpiłem do redakcyi pisma biernego dość w kwestyi żydowskiej, jako tłumacz posiadający dobrze parę języków. Ze stanowiska tłumacza miałem nadzieję przenieść się z czasem na stanowisko czynnego członka redakcyi i jako publicysta oddziaływać na kierunek wpływowego dziennika, aby z biernego stał się bezstronnie sprawiedliwym. Lekceważąco podejrzliwy ton moich nowych kolegów, znających tylko mój pseudonim—Ismaël, choć łagodzony do pewnego stopnia obejściem mojem i wychowaniem, poczynał mię jednak z dniem każdym coraz nieznośniej drażnić i rozluźnione już nerwy poprzednimi eksperymentami rozchwiewać coraz bardziej. Czułem, że chłodny takt mój przy ciągłem akcentowaniu godności mej osobistej i plemiennej staje się coraz mniej naturalnym; czułem, że nadejście chwila, kiedy wybuchnę i zrujnuję całą mą pracę mozolną. Ale dość długo stosunkowo nie miałem bezpośredniego powodu do obrazy — i zdawało się nawet, że wywalczyłem sobie pewne uznanie w redakcyi po kilku samodzielnych artykułach. Przekonałem się jednak dość wczesnie, jak słabą była oporność moja — i jak oczekiwałem pierwszej lepszej sposobności—«by ująć się za sobą» lub «rzucić wrogom rękawicę.»

Pewnego razu siedziałem schylony nad nowym artykułem, gdy frazes powiedziany półgłosem przez redaktora wstrząsnął mną od stóp do głowy:

— A to prawdziwie po żydowsku! — rzucił jakby do siebie po odczytaniu jakiegoś ustępu w gazecie.

Zerwałem się nagle i stanąłem przed nim, prawie nie zdając sobie sprawy z tego, co robię.

— Co, proszę pana, jest «po żydowsku» — i co pan przez to rozumiesz?

— Na zapytanie pańskie, a zwłaszcza na *ton* zapytania nie czuję się obowiązany odpowiadać! — odparł mi chłodno ten jegomość, wzruszywszy ramionami.

— Przepraszam pana — żądam i mam prawo żądać tej odpowiedzi, jako Żyd tu obecny — żądam jej, zresztą, w formie grzecznej — proszę!

— Cóż za typowa arogancya w tej natarczywej czepianinie, mój panie! Nie odpowiem—i rzecz skończona.

— «Typową» arogancyę zrozumiałem doskonale i tem bardziej pozwałam sobie wymagać pańskiej odpowiedzi. Wymuszę ją na panu.

— A więc bardzo pięknie—zmusiłeś pan, to odpowiem: po żydowsku to znaczy podle, nikczemnie, po tchórzowsku! — mówił, kierując się do swego gabinetu.

Szalejąc z gniewu — jak ranne dzikie zwierzę — podbiegłem w mgnieniu oka do tego czło-



wieka i wymierzyłem mu policzek. Pozwoliłem sobie na to wstrętne i brutalne zadośćuczynienie, o którym dawniej słyszeć nie mogłem bez drszczu obrzydzenia. Sekretarz rzucił się na mnie; otrząsałem się z ogromną siłą nerwową i, zatrzymawszy się we drzwiach wchodowych, rzuciłem:

— Pojedynek!

— Pojedynek?! Z tobą, plugawy Żydzie?!  
Cha, cha! — śmiał się i kłął zarazem mój przeciwnik.

W przedpokoju jeszcze słyszałem ten wstrętny, wzgardliwy duet śmiechu. Policzek jednak żydowski tak piekł widocznie tego pana, że, chociaż zwyciężyłem pokusę i nie odkryłem prawdziwego swego nazwiska, pojedynek się odbył. Zraniłem go mocno, chociaż nie śmiertelnie, i musiałem odbyć kilka miesięcy ciężkiego więzienia. Przed matką moją, bawiącą wówczas na południu Francji, ukryłem, naturalnie, rzecz całą, jak i wszystkie wogóle przykre strony nowego życia mojego.

### XIII.

Po wyjściu z więzienia wszystkie miejscowe redakcyje znalazłem zamknięte przed sobą. Nie miałem ani grosza. Ogłosiłem więc, że poszukuję guwernerki z cenionym tu więcej niż gdzie-

kolwiek językiem angielskim — i oto otrzymałem zaproszenie do pobliskiego miasta portowego, do domu jednego z głośnych finansistów miejscowych. Uczepiłem się tego skwapliwie. Nie mogłem znieść już więcej pierwszego pola prób moich, a próby te mnożyła bezwarunkowo nadzwyczajna wrażliwość i podejrzliwość moja. Za byle co już gotów byłem miecz wydobywać z pochwy. Pomimo jednak najwyższego podbudzenia nerwów zrozumiałem, że grozi mi choroba psychiczna, jeśli nie zmienię trybu życia. Dwadzieścia i cztery lata, przeżyte w atmosferze pieśzczoł i łatwych tryumfów towarzyskich, szacunku i służalstwa warstw niższych, nie mogły mię przygotować do terażniejszych doświadczeń, nie mogły mię tak oswoić z warunkami życia, jak mych cywilizowanych i niecywilizowanych współbraci. Burzyłem się więc, cierpiałem i chorowałem moralnie, a nawet fizycznie.

Przyjmując posadę w domu milionera-greka miałem nadzieję udać się za grosz u niego zarobiony za granicę, by uspokoić się i wyleczyć w cichych murach jakiegoś uniwersytetu. Nie wiem, czy było to oszukiwanie samego siebie, lecz tak wydała mi się ponętną nadzieja, że w spokoju, w ciszy wywalczę sobie na tej drodze uznanie, wpływ i powagę... a może, może praca moja, głos mój zaważy z czasem i na tej szali, o którą chodziło mi przedewszystkiem. Wyjechałem tedy na nową posadę.



Po kilku miesiącach bytności w domu finansisty moc woli mojej i hart mych nerwów na nowo poddać się musiały próbie... i znów jej nie wytrzymały.

Podczas pewnej uroczystości domowej licznie zebrane towarzystwo wyszło do parku, zwisającego tarasami nad morzem, aby się przyrządzić widokowi rozpoczynającej się właśnie burzy. Stałem już tu oddawna, rozmawiając i paląc papierosa z kilku młodymi mężczyznami, dosyć uparcie szukającymi obcowania ze mną, jedynie tylko dla pewnej doskonałości mojej w sporcie, którego ja niegdyś, oni zaś obecnie zwolennikami byli.

Zapamiętałem mimowoli groźny ten obraz nadmorski, gdyż był on dekoracją do własnej mej tragicznej pantominy... Morze mocno już było zorane potężnym pługiem północnego wichru. Na niebie ciężko się fałdowały masywne draperye chmur, jakby utkane z czarnego aksamitu o granatowo-stalowych połyskach. Wypukłe czarno-płowe bałwany o białych kędzierzawych runach uderzały ze zgrzytem w twarde, stromo wzniesione wybrzeże; w oddali zdawało się, że całe stada lewiatanów splatają w dzikiej bitwie błyszczące a ślizkie grzbiety na pół smocze, na pół rybnie—i gryzą się białymi wyszczerzonymi zębami... U stóp naszych miotła się i skowyczała na łańcuchu piękna łódź żaglowa, używana przez nas często do morskich spacerów. Na tle

ponurym otoczenia dziwnie zdrobniałymi i wydelikacjonnymi kształtami odbijało rozbawione jasno-szatne grono kobiet; z pod koronkowych zarzutek, któremi kokieteryjnie osłaniały się od wiatru — ukazywały się ich twarze i szyje jakby filigranowe, jakby z miniatur wyjęte. Na tym tle wycia i zgrzytu—sopranowy szczebiot kobiecey i flirtujące dźwięki męskich głosów brzmiały jak piski karłów przy basach tytanów.

W strojnej tej grupie pań wyróżniała się ładna, wysoka dziewczyna, córka potężnego współnika mego chlebowdawcy, królująca niewątpliwie na raucie. Gdy mię jej przedstawiono, z kolei spojrzała na mnie z uwagą i jakby zaciekawianiem i powiedziała z lekkim naciskiem w głosie, chociaż głos ten umyślnie był przyciszony:

— Mam przyjemność oddawno znać pana ze słyszenia. Nasz wspólny znajomy, wielki pianista C., mówił mi dużo o ukochanym synu hrabiny R...

«Historia» zaczyna być głośną!—pomyślałem z niesmakiem, odpowiadając jej z najgrzeczniejszą sztywnością:

— Pani, jestem prawie pewny, że tu zachodzi jakieś nieporozumienie. Nie przypominam sobie, bym kiedy spotykał syna hrabiny R., a gdyby nawet tak było, nie miałbym żadnego powodu odnawiać tej znajomości...

Pomieszanie i cień obrazu przemknęły w jej ładnych i śmiałych oczach.



— Przepraszam, wiem, że to jest tajemnica, i milczeć o niej potrafię—odrzuciła mi ciszej, kiedym się skłonił przed nią, odchodząc.

— «Tajemnica!» za romantyczne i za stare słowo na nasze czasy — powiedziałem, opuszczając ją z głębokim ukłonem.

Kląłem w duchu pewnego artystę, zresztą prawdziwie niepospolitego, dość częstego gościa w salonie mej matki, który, spotkawszy mnie przypadkowo w owym nienawistnym mieście przed kilku miesiącami po głośnej awanturze w redakcyi — podziwiał «marzycielstwo» moje i «niepotrzebny heroizm». Wybadał wszystko bardzo szybko i dokuczał mi radami, abym wracał do «swego» świata. Prosiłem, żeby milczał, ale widocznie na nic to się nie zdało.

Burza tymczasem gwałtownie się wzmagala.

— Sądze, że żaden Odysseusz nie podołałby takiej Scylli i Chaŕybdzie, jakie płaśają teraz na naszym Euksynie — odezwała się do kogoś znowu uśmiechniona i królująca strażniczka mej tajemnicy, tuż w mojem sąsiedztwie.

— I żaden też Odysseusz nie zdobył by się na tyle zapalu dla swej staruszki-Penelopy, czekającej nań lat dwadzieścia — odparł żartobliwie jeden z młodych gości — ale jakiś rozmiłowany Leander dla swojej Hero może-by się odważył zmierzyć z falami swe siły, przynajmniej na przestrzeni od brzegu do latarni morskiej...

— No, jak na nowożytnego Leandra, zwłaszcza przy takim «zefirku,» to nie mało! -- powiedział ktoś z otaczających.

— A jednak to możliwe!

— Przy spokojniejszej pogodzie, być może. Ale w każdym razie dałby temu radę chyba jakiś specjalista konkursowy. A przy tej fali?!

— Puściłby się przy tej fali Amerykanin lub Anglik, gdyby chodziło o gruby zakład pieniężny. Zginałby prawdopodobnie, z czego zresztą cieszyliby się liczni wygrywający ziomkowie jego.

— Szukamy tak daleko odważnych sportmenów, a mamy przecież w swoim gronie doskonałego specjalistę — odezwał się, zwracając się ku mnie jeden z młodych ludzi, którzy najwcześniej przyszli tu wraz ze mną.

Wiele spojrzeń utkwilo w mojej twarzy i widziałem, jak zapalały się w nich stopniowo ironiczne błyski.

Wyraźnie drwiący uśmiech spostrzegłem na ustach jednego ze złotych młodzieńców, i to złotych podwójnie — bo trybowi jego życia odpowiadała milionowa kieszeń, a po chwili usłyszałem i jego słowa.

— Byłem właśnie świeżo w Paryżu świadkiem pewnego zakładu sportowego, i to ryzykownego, a więc bardzo grubego pomiędzy dwoma członkami naszego *cercle*, który skończył się jednak niespodzianie komicznie, dzięki raso-



wej odwadze jednego z uczestników. Nie potrzebuję państwu mówić, że ów jegomość, aczkolwiek pozornie *pur sang* paryżanin, miał w swoich żyłach błękitną krew... biblijną...

Jak niewolniczy automat, popchnięty mocną dłońią, już mu odpowiadałem z pozornym chłodem, a jednak płonąć wewnątrz i, jak dziś widzę, wyrывая się całkiem niepotrzebnie z pod władzy myśli i rozsądku.

— Chociaż nie wątpię, że Paryż wzbogacił znacznie doświadczenie życiowe szanownego pana, to jednak chciałbym dorzucić do niego cegielkę ze swej strony... Pomimo to, że w żyłach moich ciecze również «błękitna krew biblijna,» wsiałam właśnie do łódki, czy też wpław nawet się puszczam. Eksperyment mój będzie zresztą o wiele mniej dla państwa interesującym, bo ani grubego zakładu, ani uścisku żadnej bulwarowej Hero o miedzianych włosach — nie mam w perspektywie.

Słowa te wypierała z ust moich jakaś nerwowa zła siła, pomimo iż wymawiając je nawet kombinowałem przelotnie, jak mało cenię siebie i swe zadanie, broniąc w ten sposób żydowskiego honoru. Lecz była to jakaś moc żywiołowa i dzika, której stawałem się ofiarą.

Zimny ukłon był mi odpowiedzią i sztywna uwaga tego pana, że przez myśl mu nie przeszło stosować opowiadania swego do któregośkolwiek bądź z członków zebranego tu towarzystwa.

Tymczasem, za ledwie padły z ust moich te nieszczęśliwe wyrazy, a już rozbrzmiała dokoła delikatna, jakby przyćmiona wrzawa zaciekawienia i niespodziewanego efektu. Oczy zabłyśły, ożywiając się raptem, młode kobiece twarze zarumieniły się ogromnie, tak jak ongi może w amfiteatrach cyrkowych, gdy ukazywał się nagle interesujący gladyator. Jeżeli tam pójdzie... co za szczególne widowisko! Jeżeli zaś nie starczy mu odwagi — jakież to przykry zawód! Jakież pole do naigrawania się z chełpliwego a tchórzliwego Żyda!

Mózg mój świdrować poczęła dziwnie dręcząca i smutna myśl, że uczyniłem krok fałszywy, że własną godność zdeptałem tylko, zamiast podnieść godność naszą zbiorową... Po co, dla kogo mam igrać z życiem, tracić je nawet z pewnością? Dla podniecającej zabawy tłumu, głodnego, jak zawsze, *circenses*? Dla przekonania kilku złych głupców, którzy pomimo to twierdzić będą, z uporem osłów, że jestem albo wyjątkiem albo mieszańcem?

I oto po raz pierwszy, zamiast bojującego rozdrażnienia i uporczywej zaciekłości jakiejś — żal, wielki żal nad sobą rozpostarł się w duszy mojej... żal nad tą bezustanku już teraz gnębiącą, a niegdyś tak bezgranicznie rozkoszującą się młodością moją... Pożałowałem kaleczzonego nie-miłosierdzie młodego, bujnego życia... Lecz pochwycałem siebie natychmiast na uczynku: a więc



i ja, Żyd lękliwy, zląkłem się wczesnej, pełnej męki śmierci w paszczach tych czarnych lewiantów?... Potoczyłem okiem dokoła po tych twarzach, twarzach przeważnie kobiecych... czy też choć jedna zaprotestuje przeciwko temu «widowisku,» słowem chociażby jednym, a nawet tylko wzrokiem? Czy nie wyrwie się z piersi którejkolwiek z tych istot wołanie:

— Nie chcę, nie mogę patrzeć na niewątpliwe samobójstwo!

Ale nie. Usta milczały, oczy, pełne gorączkowej ciekawości, mówiły, rozkazywały... Tak! one śmiały i mogły mi już rozkazywać w tej chwili:

— Pędźże do tej otchłani po śmierć swoją! Obiecałeś! Nie darujemy ci tego!

Strach przed tym sądem przeważał jednak strach śmierci. I oto, wezwawszy całą wolę i męstwo, na jakie tylko zdobyć się mogłem, zdołałem ubrać twarz w maskę obojętności i zapytałem z ironią:

— Czy płynąć mam, jak Odysseusz, w łodzi żaglowej—na dystans większy, czy też, jak Leander, wplaw—na mniejszej przestrzeni?

Podzielono się na partye.

— Żagiel! żagiel! wplaw! wplaw! — wołały «srebrne» głosiki, a uroczym ich dźwiękiem towarzyszyły gdzieniegdzie tupnięcia drobnych stopek...

Mężczyźni byli przeważnie za łodzią, rozumiejąc, że w przeciwnym razie widowisko było-

by za krótkie i za nikłe... Odrazu traci się z oczu zuchwalca.

Przerwałem niecierpliwie spór, który już trwał za długo.

— Radzę państwu wybierać żagiel. Wszak lepiej widać będzie statek o dużym białym żaglu, tonący wraz z człowiekiem, niż małego człowieczka, niknącego natychmiast pośród bałwanów, chociażby nawet utonął nie odrazu.

— Utonął, pan powiada?! — zaprotestowały niby naiwnie zdziwione głosy.— O, w takim razie cały ten projekt inaczej się przedstawia! Sądziłszy, że pan pływasz tak świetnie i tak świetnie żaglem kierujesz, iż nie możesz utonąć!—Zapewne, że jest to odwaga, ale też sztukę posiadasz pan nielada! Czyżbyśmy mogli narażać pana, nie będąc przekonanymi, że zwyciężysz?

— Dziękuję za uznanie i za troskliwość! — odparłem z otwartą już drwiną i poszedłem przebrać się i przygotować, jak mi się wówczas zdawało—na śmierć pewną.

Odchodząc, usłyszałem, śpiesznie formujące się zakłady o to, czy się stawie, czy też nie stawie do swego *salto mortale*.

Po chwili stałem już w łodzi, w trykotowym kostiumie, jak pajac w cyrku. Lżej będzie w nim walczyć czas jakiś z falą, gdy łódź zatonie; trudniej za to, bo dłużej, umierać!

Pełen tych «słodkich» myśli, nie spostrzegając niby przyjaźnie, «en bon camarade», wyciągnę-



tych ku mnie męskich dłoni na «do widzenia, naturalnie!»—i wiewających «jak białe gołębie» chusteczek, wszedłem do łodzi i miałem napiąć już żagiel, gdy razem z zimną kaskadą piany morskiej uczułem czyjeś ciepłe dotknięcie. Do łodzi wskoczył mój uczeń, dziecko dziesięcioletnie, i, objawszy stan mój szczupłemi ramionami, zawołał z takim przestachem i żalem, jakiego wcale nie spodziewałem się po tym chłopcu, mało w gruncie rzeczy mi znanym.

— Nie puszczaj się pan, na miłość boską, na to morze, to straszne, czarne morze! Utoniesz pan, utoniesz!

— Puść, moje dziecko kochane! — powiedziałem, dziwnie radośnie wstrząśnięty tym postępkim, tak, żeby on tylko mógł słyszeć. — Muszę tam iść, chociażbym miał nawet umrzeć. Dziękuję ci za serce. Żegnam cię, żegnam, kochany chłopcze!

A on uczeplił się tak, jak się czepia ktoś swój, ktoś kochający kogoś blizkiego, żegnając się na zawsze, i krzyczał, zalewając się łzami:

— Nie puszczę, nie chcę widzieć, jak pan utonie!

A, przecież znalazło się serce, o które mi chodziło przed chwilą... Przycisnąłem do piersi to drżące stworzenie, które mi się wydało życiem, żegnającym mię na tym brzegu. Przycisnąłem do ust tę drobną rączkę, czepiającą się mojej szyi, i przerzuciłem szybko płaczącego mal-

ca na ręce obecnych mężczyzn. Ci, żartując poczęli go uspakajać, a ja zerwałem łądz z łańcucha — i odrzuciła się ogromnym susem na ogromne fale.

Nie nadzieję, bo tej prawie nie miałem, lecz tylko uwagę całą, napiętą jak biały żagiel, zawiesilem na wicherze. Na komendę tego władcy morza i mojej istoty zarazem, manewrowałem jak zręczny, błyskawicznie orientujący się majtek, ślepo posłuszny groźnemu kapitanowi.

Boże! jakimi olbrzymimi skokami przesadziłem potworny szereg spiętrzonych wodnych garbów, który tam, z brzegu, zdawał się niemożliwym do przebycia... aby zapaść w bezbrzeżną a bezpowrotną przestrzeń otwartego morza! Wiatr znęcał się nad mą łodzią, to kopał ją w bok, ze złością, to, jakby dla igraszki, przetaczał ją przez wodną górę, jak konającego łabędzia. Nikły maszt zgrzytał i jęczał rozpaczliwie. W stronę otwartego morza, do tego kresu... bezkresowego, po czarno-sinych falach leciała z jękiem żalonym skrzydlata łupina moja!

Minałem wreszcie znaki umówione, zwyciężyłem jeszcze żyjący, a teraz... teraz wolno mi już myśleć o ratunku. Wracać do brzegu nie mogłem. Nie puściłby mię do niego huragan, co pchał mię coraz dalej i dalej. A więc dokąd mam dążyć? Chyba ku tym statkom, które z takim mozołem płyną do portu. Jeden z nich, na prawo, wydaje mi się nawet stosunkowo bli-



z kim. Pełźnie po fali, jak stary żółw bezsilny, to znów jak niesforny delfin wyprawia dziwne jakieś skoki. Tymczasem kóź moja wyteża ku niemu orle skrzydła. Ile mi mocy starczy, kieruję na prawo, prosto i naprzód. Zwijam żagiel; przeciągły okrzyk raz po raz wzbija się z mej piersi falującej jak morze — i oto mię usłyszano, rzucono linę. Jestem na pokładzie. Wszystko wiruje wraz ze mną.

Po kilku dopiero godzinach, już o północy prawie, przekonałem się, że jestem w porcie, wraz ze zbawcami moimi. Pełen pogardy i niechęci dla widzów mojej produkcji, niesmaku i wstydu, wracałem wprost do swojego pokoju, okrywszy się grubym płaszczem marynarskim, pożyczonym u jednego z majtków. Lecz, ku zdziwieniu memu, raut poobiedni przeciągnął się aż do nocy. Nie przypuszczałem, aby kto z gości oczekiwał na mnie, a jednak tak było. Na werandzie, przez którą przejść musiałem, stała jeszcze, szczupła co prawda, grupa młodzieży, i usłyszałem zmieszane, jakby sprzeczące się, głosy. Przystanąłem, niezdecydowany co robić, bo ukazywać się gawiedzi tej nie miałem wcale ochoty.

— Ależ, proszę pani, czekać tu dłużej byłoby nierozsądnie! Niestety, gdyby miał wrócić wprost do domu, już-by był wrócił oddawna! — mówił jakiś głos męski. — Może się schronił na

statek lub przybił do brzegu gdzieś dalej, a w najgorszym razie... zapewne... szkoda go, ale...

— Jakto? Więc nic a nic nie dowiedzieli się panowie w porcie?! — pytał z gniewem prawie znany mi już głos kobiecy.—Okropność! będziemy go mieli wszyscy na sumieniu! Jak mogliśmy dopuścić do szaleństwa? Całą noc oka nie zmrużę. Będzie mi stał przed oczyma jak upiór — ciągnął dalej głos pięknej panny, «znającej mię oddawna ze słyszenia.»

— Proszę, jakież to delikatne sumienie! — pomyślałem wcale niewzruszony. Jednocześnie wydało mi się, że słyszę jakieś ciche szlochanie. Po chwili przekonałem się, że był to płacz mego ucznia, tulącego się gdzieś w kącie werandy. To mię zdecydowało natychmiast. Wbiegłem szybko po kamiennych stopniach, aby przywitać i uspokoić malca.

— Oto jestem, mój maleńki! A ty dotąd nie śpisz? — mówiłem cicho, tuląc go do siebie, i zapominając całkiem o innych. — Nie zabiło cię widowisko? — dodałem nieco głośniej, widząc się już otoczonym przez kilka osób wśród wykrzykników i powinszowań.

— Nie była to zabawa, lecz męka! — zabrzmiał tuż przy mnie jakiś głos ławo-namiętny.

Obejrzałem się i spotkałem gorące wilgotne oczy «perły naszego grodu,» jak ją tu nazywano.



— Czy tak? — spytałem obojętnie. — Czyż-by tak pani żałowała, że zamiast łódką nie popłynąłem wplaw po morzu? Może-by to było i więcej zabawne?

— O, proszę tak nie ironizować! Wiem, że zawiniłam ogromnie wraz z innymi, ale też żaluję tego rozpaczliwie po tym widoku strasznym i po tych godzinach czekania.

Pochyliłem zlekka głowę z takim uśmiechem na ustach, jaki mieć musiał ów rycerz z Rękawiczki Schillera, gdy stanął po próbie przed swą damą — i skierowałem się szybko ku wejściu do domu.

Słyszałem już nawoływania stangretów i rozjeżdżanie się pozostałych powozów, gdy nagle zapukano zlekka do drzwi. Otworzyłem je i ujrzałem jeszcze raz mego malca, który naprzód rzucił mi się na szyję w radosnem podbudzeniu, a potem zaczął szeptać, z wyrazem zabawnie tajemniczym, chociaż byliśmy sami:

— Ktoś bardzo, bardzo prosi, aby pan zeszedł na chwilkę jeszcze na dół. Ma coś bardzo, bardzo ważnego do powiedzenia.

— Cóż to za tajemnica? — spytałem, rozśmieszony miną puciołowatego spiskowca. — Wiesz co, mój drogi, bardzo senny jestem i myślę też, że i ty dziś bardzo i bardzo późno spać się kładziesz. Idźmy więc obaj do łóżka.

— Nie, panie, w żaden sposób! Tam niecierpliwie «czekają» na nas z panem! — zawołał malec uroczystym głosem.

Widząc, że się go łatwo nie pozbędę, i przypuszczając, że ktoś natarczywie domaga się szczegółów mego powrotu, poszedłem za nim, aby jaknajprędzej skończyć tę męczącą sprawę. Uszedłszy kilkanaście kroków, zatrzymaliśmy się przy otwartym powozie. W mroku zarysowały się niewyraźnie dwie postacie kobiece: pięknej Greczynki i towarzyszącej jej starej damy.

Egzaltowana piękność, gdyż znowu była to ona, po wstępie pełnym nieśmiałego wahania, napół zrozumiałych przeprosin, powiedziała mi wreszcie urywającym się co chwila głosem:

— Nadzwyczajne, niespodziewane postęпки wywołują mimowoli nadzwyczajne i nagłe uczucia... szacunku i podziwu... Znam nieco przeszłość pańską... a więc jest dla mnie jasnem, że dzisiejszy czyn pana nie był pojedynczym tylko wybuchem heroizmu, lecz, że jest właściwością stałą wysokiej natury jego... Jeżeli-by pan raczył zaszczycić dom ojca mego... i mój... dom nasz... bytnością swoją, sprawiłby pan nam wyjątkową przyjemność. Korzystam z przywileju... gospodyni domu (ojciec mój jest wdowcem), aby pana zaprosić... na nasze dni przyjęć.

Pełen niesmaku i zdziwienia wobec objawów tej nagłej słabostki dla «odważnego gladyatora», «zajmującego dziwaka», który się wyrzekł dóbr i rozkoszy ziemskich dla «oryginalnego kaprysu» — stałem przykro zmieszany, przecząc kompli-



mentom i podziwom. Wreszcie, podziękowawszy chłodno i oficjalnie za zaprosiny, dodałem:

— Jeżeli pani życzy sobie wiedzieć jak się rzecz ma naprawdę, to mój postępek dzisiejszy, którego zresztą mocno żałuję, był tylko wybrykiem... upokorzonego Żyda... wobec opinii obecnych, aż nadto wątpliwych Katonów. Stąd aureola, którą mnie pani łaskawie darzy, nie należy mi się wcale. Za wielką wobec tego a całkiem niezasłużoną nagrodą byłoby uczęszczanie do domu szanownego rodzica pani...

Skłoniłem się i odszedłem, nie podnosząc oczu.

Słabostka jednak mojej Hero, jak wkrótce poczęto ją złośliwie nazywać, przybrała niespodzianie dla mnie wcale poważny charakter. Piękna panna, przywykła od dzieciństwa rozkazywać ojcu i całemu otoczeniu, nie mogła widocznie zrezygnować tak łatwo z nowego rodzaju zdobyczy, która się jej opornie wymykała. Opór ten tłómaczyła sobie zapewne fanatyzmem idei, prawie chorobą psychiczną—i nagle postanowiła mię uleczyć za pośrednictwem... matki mego ucznia. Jakim sposobem potrafiła ją zdobyć — nie wiem dotychczas i niewiele mię to, co prawda, obchodziło. W każdym razie, pośredniczka acz niewyraźnie, nadmieniła mi o korzyściach ze wszechmiar ogromnych pewnego związku małżeńskiego, o szczęściu nadzwyczajnem, które spotyka zwykle tych, co nie potrafią go ocenić... Mówiła

tonem królowej, otwierającej łaskawie wrota... do cudzego skarbcza, nie kryjąc prawie przymusu, z którym się tego podjęła.

— Dziękuję pani uprzejmie za tę zajmującą historję o kimś, kto tak hojnie... sypać chce szczęściem i złotem — i o kimś innym, kto tego nie wart z pewnością. Co do mnie, prędzej byłbym po stronie tego niedołęgi, bo także w... «żydowskie geszefta» się nie bawię.

W podobnym stanie rzeczy myślałem coraz częściej o blizkim już wyjeździe za granicę. Niezadługo też przed nim otrzymałem taki list bezimienny:

«Jeżeli się cierpi na manję rujnowania własnego życia, to niema potrzeby podciągać innych osób pod jedną tylko, upatrzoną z góry, kategorię. Ktoś złośliwy mógłby naprawdę zauważyć: «a jednak to charakterystyczne — dojrzał «geszeft» nawet tam, gdzie o nim mowy nawet być nie mogło.» Na osobę nie zwrócił nawet uwagi, a kto wie, czy, poznawszy ją bliżej, nie usunęłoby się na dalszy plan wszelkich pseudo-geszefciarskich skrupułów.

«Niezasłużony ból, niezasłużone słowa...»

Finał tej pięknej i romantycznej historii był nawet dla mnie niespodzianką, dla mnie, który od czasów swego «żydostwa» nauczyłem się wszystkiego spodziewać. Nazajutrz po owym liście zaproszono mię do gabinetu pana domu.



Zbliżając się do drzwi, usłyszałem donośny głos męski:

— O, ja się z nim rozmówię!

Był to ojciec «ofiary mego okrucieństwa.» Uderzył na mnie bez ceremonii, z góry. Nazwisko córki jego śmia splatać w mieście całym z mojem. Widocznie daje do tego powody, a on nie dopuści, żeby to dłużej trwało. Zaprowadziłem nad sobą.

— Powody? Jakie powody?

— Czy ja wiem, jakie? Jeden z nich widziałem na własne oczy: owo efektowne puszczenie się na morze, które zawróciło głowy naszym egzaltowanym, a... posażnym pannom.

Mówił nie tylko z impertynenckim gniewem do robkiewicza, lecz i z wyraźnym rozżaleniem i boleścią, jakgdybym naprawdę usiłował zawrócić głowę jego jedynemu dziecku. Te echa smutne hamowały z początku moje wzburzenie. Powiedziałem więc także z pewnym żalem i tłumioną ironią:

— Więc pan uważasz, że moja wycieczka na morze była prostym wyrachowaniem?

— Tak jest, nie inaczej! — wykrzyknął, uderzwszy w stół pięścią i błyskając oczyma.

Wtenczas porwała mnie wreszcie długo zwalczana pasya. Stary był i nędzny: nie wymierzyłem mu policzka, ale cisnąłem mu w twarz prawie świeżo otrzymany list córki.

— Zapytaj pan córki swojej, dlaczego list ten był pisany?! — rzuciłem już we drzwiach.

Tego wieczora jeszcze, chory na duszy i na ciele, jechałem za granicę.

Uzbrojony od stóp do głowy, jak Don Kiszot, poganiając, ile mocy, nieszczęsną Rosynantę, wpadłem w zamęty antysemitcko-parlamentarne i prasowe środkowej Europy, przykuty przez tę burzę do jednego z większych jej centrów. Zatrzymała mnie ona w drodze do spokojnego miasta, w którym szukać chciałem nauki i wypoczynku. Pociągnięto mnie do współpracownictwa w nowym dzienniku, który usiłował płynąć sam jeden przeciwko fali antysemitkiej. Walczyłem więc jak mogłem — słowem i piórem, z ogniem entuzjastycznego nowicyusza w sprawach publicznych, tak wyjątkowo mi blizkich, lecz i sam paliłem nieustannie w ogniu tym serce moje, i krew, i nerwy. Rozkosze te dzieliłem ze szczupłą garścią podobnych mi Żydów... asymilowanych?... czy postępowych?... czy odstępców?... Nie wiem doprawdy, jak mam ich nazwać właściwie. Dzieliłem je także z garstką chrześcijan, pragnących głośno wyrazić swój wstręt do szalejącego żywiołu nienawiści plemiennej, w swym pochodzie zwyciężkim rzucającego nasiona zbrodni w ciemne masy ludowe. Staralem się wprowadzić trzymać oczy otwarte na nasze grzechy rzeczywiste, tak świetnie hodowane przez — «mistrzynię życia» — historję, ale wiłem się w beznadziejnej



rozpaczy i gniewie, przekonywając się na każdym kroku, jak dopatrywano się grzechów tych i ich następstw tam nawet, gdzie ich wcale nie było. Musi pan dobrze wiedzieć jak pełnym, to jest jak męczeńskim, życiem żyją ci, do których wówczas należałem... Była jednakże pomiędzy mną i mymi nielicznymi towarzyszami pewna różnica na mą niekorzyść. Jedni z nich przywykli odrębne to i wyjątkowe życie brać tak, jak ono jest, jak zwykli ludzie—nie Żydzi—biorą swe zwykłe ludzkie życie z koniecznymi jego ciężarami. Przyzwyczaili się do niego i oswoili tak, jak, na przykład, Kamczadali oswoili się ze swą jurta cuchnącą, jak koń—z nieodłączonym od siebie ciężarem i biczem... Ja zaś z pałacu życia wstąpiłem do jego podziemia, pełnego nieznanych zasadzek, pełnego trujących krew moja wyziewów. Cierpieli wprawdzie i oni także, gdy ich palono co chwila w tem ulepszonym, cywilizowanym *auto-da-fe*, lecz żaden z nich nie męczył się w tym stopniu, jak ja się męczyłem. Nie mogłem też z żadnym z nich związać się przyjaźnią osobistą. Odcienie zapatrywań naszych były tak odrębne. Życie moje dawniejsze zostawiło głębokie ślady,—ich życie rzeźbiło ich po swojemu. Jedni z nich pragnęli wpleść się w nieznanym pasmem w odpychające ich społeczeństwa i rozplątać się wraz z tem przekleństwem, które na nich ciążyło. Inni pragnęli wzrastać pocichu w sile materyalnej — pieniąż-

nej — skupiać wrodzone zdolności przeważnie w tym kierunku—i siłą tą dźwigać i siebie, i pozostałych nędzarzy. Trzeci, najmniej liczni, marzyli o własnej dalekiej ojczyźnie bez złych, wzdurliwych sąsiadów... marzyli, wiedząc aż nadto dobrze, iż marzą beznadziejnie. Z tymi ostatnimi idealistami zbliżyłem się łatwiej nieco, chociaż luźne te węzły niewiele przynosiły mi ulgi. Było nas za mało, dążenia nasze były zbyt trudne do spełnienia, abyśmy mogli coś zdziałać; a z drugiej strony było nas dość na to, aby się wzajemnie podbudzać i denerwować. Zarażaliśmy się jeden od drugiego—i z iskry tworzył się wulkan cierpienia, z kropli—morze goryczy.

Pismo nasze, jak nagle powstało, tak i też runęło niespodzianie z braku środków. Bogaci ostrożni i praktyczni ludzie — nic przecież wiedzieć o nas nie chcieli. Zresztą chodziło nam o to, żeby pismo istniało i rozwijało się o własnych siłach bez jałmużny i zapomóg jakiegoś kapitalisty, ale... po pewnym czasie musieliśmy się rozpierzchnąć.

Złamany fizycznie i moralnie, z chorą, ubezwładnioną wolą, rzuciłem się do ostatniego przybytku mej nadziei—do pracy naukowej. Niestety, w małym, obcym, ubogim mieście uniwersyteckim — ja, Żyd, usiłujący się utrzymać z własnego tylko zarobku i żyjący samotnie, począłem ginąć z głodu. Umysł mój, rozgorączkowany i znużony, mało się mógł naginać w tej



porze strasznego wyczerpania do studyów poważnych i systematycznych pod twym kierunkiem, panie. Wpływu orzeźwiającego, chłodzącego żal serca i mózgu — nie mogłeś wówczas wyrzucić na mnie, bo przyszedłem do ciebie w złej chwili, straciwszy nadzieję i wiarę. Wówczas jeszcze nie umiałem się pocieszać, nie tyle przekonującym, ile poetycznym proroctwem mego biblijnego króla:

«Sprawiedliwy — jako palma zakwitnie, jako cedr na Libanie rozmnoży się.»

My! mogliśmy być niegdyś królami?! My!...

## X.

Słaby charakter mój nie wytrzymał. Podwójna choroba duszy i ciała wciąż rosła. Uczułem się wreszcie nędznym, zmiażdżonym robakiem, którego życie na nic nikomu już zdać się nie mogło, a tem bardziej... śmierć jego i męczarnia. I teraz właśnie, — czyż to nie dziwne? — duma moja egoistyczna, wiecznie deptana duma moja unosić głowę poczęła, buntować się i sarkać. Litość nad sobą, nad człowiekiem marniejącym beznadziejnie, wdarłszy się do duszy w chwili słabości, zagarnęła ją całą w upragnioną i słodką niewolę. Wyznaję, bijąc się w piersi, żem wyciągnął z rozkoszą ręce po te złote kajdany.

Otrząsnąć kurz ze stóp swoich i odejść. Ha! uciec... uciec, jak «Żyd prawdziwy,» jak tchórz nikczemny! — mówiłem sobie czasem... a może, może tylko, jak człowiek, który zapłacił już życiu zbyt krwawą daninę za resztę życia bez męczarni. Matka mówiła mi niegdyś, że mam naturę Don Kiszota raczej, niż Hamleta. Czyliż mam dalej jak rycerz z La Manchy tłuc biedną głowę o mury, mury nieprzebite, gdy wieki jeszcze całe muszą przeminąć, zanim oba te mury, pośród których stanąłem, skruszeją i światło wielkie przez swoje luki wpuszczą!?... Dziś, biedny, słaby, pragnę tylko ukojenia, spoczynku i ożywczego balsamu na rozpaloną duszę, jak ongi Ismaël pragnął potoków wody na rozpalone usta i ciało...

Uciec tam, kędy wszystko jest ciszą, spokojem i naturą — chociaż-by była to martwa cisza, martwy już spokój, natura pustyni i kamieni...

A jest kraj taki na świecie... Cichy i martwy. Olbrzymi rozpadający się pomnik największego życia na ziemi. Kraj niegdyś obiecany Ludzkości, ukochanie, ojczyzna ludu wybranego, rozścielająca złote swe pola pod stopy cedrów niebotycznych, ciesząca oczy Jehowy dwoma jeziorami-morzami, tkwiącymi w niej jak dwa ogromne turkusy.

I tu, w blaskach i żarach słońca, w chłodzie gór, w zielonych aksamitach dolin, w niezłomnych murach twierdz, w dymach kadzidel zło-



tych świątyń — panował jedyny wywyższony ponad wszystkie majestaty król-naród, dziś wzgardzony, oplwany, zdeptany naród-wyrodek! Uprawiał tę ziemię silną a pracowitą ręką, wieńczył ją w kędzierzawe girlandy winnic, ożywiał życiem niezliczonych stad — i wypraszał dla niej wyłączone tajemnicze łaski od swego tajemniczego Boga. Po stopniach wieków stacza się lud wybrany coraz niżej, lecz tak mocne zadzierzgnęły się ogniwa pomiędzy nim a Jehową, że nie zdołały rozerwać ich i te najśłodsze, a zarazem najsilniejsze, ramiona, które świat cały przytuliły do piersi Zbawcy i Odrodźciela.

On nie wzdrygał się wcielić w lud ten, a ziemi tej nazwać ojczyzną swoją.

I oto wzrokiem rozpalonym niewinną męką moją przez niezmierzone przestrzenie i czasy doszedłem prosto do bliskości jego — i ujrzałem światło, gotowe rozświecić mroki moje — cień gotowy objąć płonąca głowę moją, murawę zieloną dla zdartych, osłabłych stóp moich... Raj mój bezchmurny, bezierniowy. Dawca żywota, anioł wielkiej rady wołał znowu ku sobie potomka Galilean...

Cicho tam. Teraźniejszość drzemie i śni o cudach przeszłości. Niema tam dzisiaj prześladowających i prześladowanych, gardzących i wgardzonych: jest martwa dolina Jozefata, na której zejdą się kiedyś oni wszyscy — wrogowie i sojusznicy wszechwieków i wszechświatów...

Prastara, jedyna ojczyzna Żyda — i tu jedynie tylko nie jest Żyd na wygnaniu. Podnosi śmiało czoło, oddycha szerokim powietrzem własnego kraju... Tu tylko dotąd niczyich oczu nie razi, z biblijną dotąd twarzą, w biblijnej dotąd szacie — w biblijnym tym, cichym kraju. Jest nawet główną postacią na wielkim tym starożytnym obrazie.

## XI.

A więc jak Żyd — tak, właśnie jako Żyd — śpieszyłem do ziemi obiecanej, a chora dusza moja rozwijała skrzydła do tego zamorskiego lotu. Nie liczyłem, ile dni, czy lat, czy miesięcy przeszło od czasu «powrotu» mego; dziś dusza moja smętna, ale cicha — odpoczywa... i śpiewa...

Stanałem na ziemi świętej, jak żeglarz po walce z burzą dążący do dzikiej skały, wiedzący to tylko, że fale go tam nie zmoją... a nie myślałem o głodzie, nie bałem się samotności, bo tej właśnie pragnąłem.

Zrzuciwszy z siebie powłokę europejską, piłem chciwie, namiętnie z tego pułahu swobody, wróconej godności i spokoju, z uświadomionym szczęściem odradzającego się życia. Gałązka jerychońska, zmartwiała i zeschnięta w Europie, tu puściła zielone listki... Jak w szaty wschodnie me



ciało, tak w nową formę oblekła się dusza moja—senna, leniwa, marząca.

W całej tej opowieści nie wspomniałem jeszcze ani razu o jednym wielkim ukochaniu młodości mojej—omuzyce. W najgorszych chwilach życia mego pozostałem jej wiernym, bo, głodny nieraz i żądny zarobku, nie chciałem jednak nigdy zabawiać cudną wiolonczelą mą wrogięgo tłumu, choć pamiętałem dobrze entuzjazm profesorów i kolegów w domu matki mojej i zachęty ich do występu w stolicy... Byłem zaś już tak zdenerwowany i chory, że nie mogłem znieść fałszów i skrzypienia uczniów. Późniejsze walki, spychając w otchłań mnie całego, zepchnęły w jakieś głębie i te rozśpiewane fale, które od dzieciństwa dźwięczały i szeptały we mnie i koło mnie... Staralem się zapomnieć o sobie—i o nich—przystały też wreszcie drażnić mię i wydzierać się z duszy mej na świat boży.

Ale oto w jedną z tych pierwszych nocy gwiazdzistych, gdym leżał na arabskim kobiercu płaskiego dachu arabskiego, do uszu mych poczęły płynąć powoli dźwięki jakieś nieśmiałe zrazu a ciche, potem zaś akord po akordzie... brzmienie strun śpiewnych... i głosy... głosy nieznanne dotąd mi nigdy i nigdy dotąd niesłyszane. Obce i dziwne brzmienia harfy jakiejs wielostrunnej, cytary czy lutni... harf, cytar, lutni tysiące... Niebiańska burza akordów rozrasta się coraz-to

szerzej, już mię okala, zawisa już nade mną... A głosy! głosy... niby zmieszane i tłumne, a tak zgodne i harmonijne, jakgdyby z jednej olbrzymiej śpiewaczej piersi płynęły, pomimo melodyjnego rozdźwięku mnóstwa, mnóstwa głosów...

Chóry... chóry nadziemskie... trzepotanie srebrno-śnieżystych skrzydeł... krzyżujące się promienie boskich oczu... światło białych twarzy... i aureole splecionych gwiazd w lazurze... różane i srebrne od jakichś zórz niebiańskich pióra obłoków... kaskady róż i lilij i wonie róż i lilij... I w skrzydeł białych bezbrzeżnym a melodyjnym szeleście, i w głosów hymnie ginących w przestrzeniach nieskończoności, przy cichym wtórze srebrnodźwięcznych lutni — rozbrzmiewa nagle jeden głos. A oto wszystkie hymny i pieśni cichną i gasną w słońcu głosu tego. Król pieśni! król pieśni z piersi swej czarodziejskiej—śle pieśń swą ukoronowaną nad wszelkie inne, królewską pieśń nad pieśniami...

Kolana moje zgięły się, ramiona się wyciągnęły z namiętym ubóstwieniem i szczęściem—wszelkie szczęścia ludzkie przechodzącym... Oczy podniosły się ku obłokom i w pośród nich dojrzały srebrny cień archanielski, unoszący się nade mną nędznym—z orszakiem swym srebrno-skrzydłym, srebrnogłosym, srebrnostrunnym!...

— Izrafil! Izrafil! Izrafil!

W tę noc księżycową zstąpił do mnie ten, co wodził po złotych strunach palce Dawidowe,



co zawiesił na wierzbach babilońskich nieme lutnie Izraela — zstąpił do mnie geniusz ziemi mojej, archanioł pieśni hebrajskiej!...

\* \* \*

Wiesz teraz, panie, kim jest ów «Ismaël,» co się wsłuchuje w nadziemskie głosy — i śle wam potem swoje «Melodye Hebrajskie» i «Psalmi Dawidowe,» symfonię «Izrafil» i «Chrystus na jeziorze Genezareth...» Wywiódł pan z ciemnicy duszę moją — i na ziemi pańskiej śpiewam o drogach jego... Zrozumiesz też dlaczego ich twórca, dziwny, ukryty twórca — nie przychodzi po te oklaski i laury, które sypiecie, dzięki jemu, orkiestrom i śpiewakom, — dlaczego utwory te sprzedają «gojom» nędzarze bracia moi. Są one manną niebieską dla nich i dla

Twego wiernego

Ismaëla.

## PO WYROKU.

(Fantazja na tle prawdziwym).

Bądź co bądź człowiek ten był męczennikiem idei — i dla niej umierał. Idei — dla mnie, dla ogółu niesympatycznej, której-bym nic osobście poświęcić nie mogła, gdybym nawet moc w sobie znalazła ku temu... Lecz niepodobna było zaprzeczyć, iż z jego strony była to ofiara ogromna, bezinteresowna, w najszerszem i najgłębszem znaczeniu tego wyrazu; bo przecież nie był nawet członkiem żadnego stronnictwa, które-by oklasnęło krok jego, hołd mu złożyło, współczuło mu, cierpiało jego cierpieniem, a potem pamięć o nim przechowało potomności, — ofiara heroiczna, gdyż wiedział, iż śmierć nieunikniona go czeka. Zapragnął być jednak ukrzyżowanym apostołem — apostołem błędzącym, fałszywym w oczach ludzi, — lecz, w swoim przekonaniu, apostołem prawdziwym.



Odosobniony, samotny szedł ku ofierze, żeby w kierunku swych dążeń myśl ludzką zwrócić, martyrologią niechybną wzrok świata skierować na swą postać — nie dla niej samej, ale dla tego, co przedstawiała w swym czynie. Oryginalny i rzadki sposób głoszenia prawd nowych! — Oryginalny zaprawde — i dobitny!

Kiedym odczytywała skwapliwie suche oficjalne sprawozdania z jego procesu i dowiadywała się o samej istocie rzeczy od ludzi prywatnie poinformowanych, czułam się głęboko udrezczoną i przygnębianą tym niesłychanym postępkami — nie admirującą, nieprzejętą — o, nie!... Bywałam wzruszoną nieraz w innych wypadkach podobnie się kończących, lecz całkiem odmiennej kategorii. Teraz z niesmakiem, prawie ze wstrętem i gorzką jakąś, gryzącą litością — pytałam siebie w duchu: po co to? na co? Cel ten jest tak sporny, tak oddalony, — a środek niby prowadzący ku niemu — tak okrutny, bezwzględny i niezręczny! Uwagę wprowadzie na sprawę ową zwróci niechybnie; przekonać nie zdoła nikogo. W rezultacie bezcelowo i marnie giną dwa życia ludzkie. Mogło ich zginąć daleko więcej, gdyby chciał tego wypadek.

Ale jest to fanatyk niezaprzeczenie szlachetny, opanowany myślą, którą tak nieprzeparcie i namiętnie narzucić chciał światu całemu, tak nieprzeparcie namiętnie, iż krwią swoją męczeńską

zapraǳiał ją nakreślić w mózǳach i sercach ludzkości...

A jednak życie widocznie kochał i żał mu się było z niem rozstać. Gdy zapytano go, jak zwykle po zapadnięciu wyroku — czyby nie zechciał błagać o złagodzenie kary — ozwał się do swego nominalnego obrońcy, iż tego zrobić nie może, nie powinien, choć nie chce tego ukrywać, że mu żał życia ogromnie — i trudno będzie umierać... Zbyteczną była otwartość taka, lecz pohamować jej nie mógł.

— Napróżno-by się zresztą fatygować — rzekł na to półgłosem przydujący do innych członków wysokiego sądu.

Okrutny ten frazes, powtórzony przez jednego z obecnych dostojników ojcu mojemu, stał się przyczyną tych paru nocy i dni fatalnych... Gdyby duchowe życie moje dało się przedstawić graficznie — stanowiłyby w niem doby te wyjątkowe linje tak ostrą i wygiętą, jak owa legendarna fala dziewięta w porównaniu do pogodnego przestworu morza...

Pojąć teraz nie mogę jak to się stało. Gdyby mi wówczas kto przepowiedział, że może być ze mną coś podobnego, że zdolna jestem świadomie to uczynić, albo też uledez nastrojowi tak chorobliwemu, nie protestowałabym nawet słuchając podobnych przypuszczeń. Wzruszyłabym tylko ramionami. Byłam jeszcze wielką egoistką, gdyż byłam jeszcze bardzo młodą.



Wiek dojrzały dopiero uszlachetnia nas stopniowo, ograniczając coraz bardziej wybujały egoizm i rozwijając miłość dla ludzi. Wobec więc wysokiego jeszcze stopnia egoizmu — dbałam troskliwie o spokój własny, o nastrój niezmacony cudzem cierpieniem... Naprzykład, widując od pewnego czasu katowanego konia, który ciężaru udźwignąć nie był w stanie — wpadałam w pierwszą przecnicę, w pierwszą spotkaną bramę, aby uniknąć tego widoku, by mózż spokojnie spać w nocy. Widując na spacerach niańki i bony, obchodzące się po zwierzęcemu z drobnymi dziećmi (gdy czułe mamy tymczasem robią im szydełkowe ząbki do majteczek — lub doglądają legominy...) — przebiegałam obok nich z oczami spuszczone, krokiem śpiesznym, by ofiarom tym nie rzucić się na pomoc, nie wszcząć niewątpliwego skandalu i zbiegowiska nie sprowadzić... Staralam się, słowem, trzymać w karchach swoje przenikliwe oczy. Chodziło mi wprawdzie i o to, żeby nie być wydziwianą i wskazywaną palcami, lecz też i o to przedewszystkiem, żeby się nie denerwować, nie dostać znanego mi dobrze bólu serca. Kiedy dawniej — brałam parę razy w obronę dręczone dziecko, — lub takiego konia, dostawały mi się za to wyrazy obelżywe, od których krew ścinała mi się w żyłach. Lecz trwało to najwyżej do lat dwudziestu mego wieku. Potem «porozumiałam»: to jest, truchlejąc przed skutkami altruistycznych

swoich wystąpień, zaczęłam sobie tłumaczyć z racją niezaprzeczoną: furman, znęcający się nad koniem, nawet zapłaciwszy grzywnę, lecz zaledwie zniknąwszy z oczu policyanta na zakręcie — nie tylko powtórzy, lecz spotęguje nawet przez zemstę znęcanie się nad zwierzęciem. Niańka, co najwyżej, straci miejsce i z rąk wypuści ofiarę swoją obecną, lecz znajdzie wkrótce miejsce nowe i nowe ofiary. Ograniczyłam się więc gremjalnem przekleństwem władz i towarzysztw opieki nad zwierzętami, których działania i mocy nigdzie dostrzedz nawet niepodobna. Przeklełam też w uniesieniu gorącego serca i te matki i opiekunki, które przez głupią naiwność lub niedbalstwo, puszczają diatwę niešťęsną z «dobremi dziewczętami» i «przywiązanimi bonami» na długie spacery, lub pozwalają w odległych pokojach dziecinnych pod okiem tych samych istot najętych tworzyć się garbom, chorobom mózgu od strachu i innym kłęskom dziecinnego wieku!... Och, napatrzyłam się na to tyle i nacierpiałam tyle, że mówiąc o tem, przeżywam znowu te bóle... a słowa, pełne goryczy, ulatują z ust moich, jak sama czuję — niepotrzebnie, zbytecznie...

Miałam to tylko zaznaczyć, że w dwudziestym pierwszym roku życia poszedłszy za mąż, starałam się, o ile mogłam, miarkować już popędy serca swego — przeczulonego i extatycznego, zdaniem ludzi — normalnego tylko według mnie



samej. Poczynalam się nawet godzić, choć z wielkim wstrętem, ze światem, jakim on jest, niestety. Poszukiwalam jaśniejszych stron życia, a unikałam ciemniejszych, o ile one nie wtłaczały się same na moją drogę. Dotychczas jednak nie wtłaczały się zbyt natarczywie... i stosunkowo byłam zadowolona z własnego losu, na losy innych przymrużając złknięte już oczy...

I w tym nastroju, rozmyślnie spokojnym, zastał mnie fatalny ów proces. W mieście naszym był on pierwszym kończącym się w ten sposób. Gdy wyrok zapadł i miał być w ciągu dni najbliższych nieodwołalnie spełniony, gdy powtórzono mi słowa skazańca: «żał mi życia i trudno będzie umierać» — poczęło się na mnie nasuwać jakieś okrutne udrczenie. Opanowywało mnie ono z potęgą snu straszego, odejmującego człowiekowi ruch i mowę, i wszelką nadzieję... Zdawało mi się, że serce moje włożono pod ciężką prasę i naciskano je powolutku, żeby odrazu nie pękło, lecz rwało się stopniowo i tliło męczeńskim życiem ognikiem.

Niewyraźne zrazu cierpienie potęgowało się jednak z zastraszającą szybkością, objawiając się naprzód w gorączkowem i trwożnem zaciekawieniu. Popychana jakąś przemożną siłą, rozpytywałam o najmniejsze szczegóły procesu, zachowania się, wyglądu, sposobu mówienia tego człowieka. Interesowała mnie przeszłość jego, rodzi-

na, otoczenie dawniejsze. Aż zapragnęłam wreszcie całą duszą zajrzeć za mury więzienne, przekonać się naocznie — co tam się z nim dzieje? jak znosi on to oczekiwanie straszliwe nagłego, niechybnego końca? Boże, jakiego końca!

\* \* \*

W pierwszą noc po wyroku spałam jeszcze, ale już niespokojnie. Sen się przerywał i wtenczas myślałam nieustannie o skazańcu. Co robi on tej nocy?

Wiedziałam, że ogromnej większości podobnych jemu nieszczęśliwców polyskuje nędzna jakaś, słaba iskra nadziei, która jednak w czasie tym wyjątkowym — jest dla nich mocą i skarbem nieprzebrany. Majaczenie o jakimś jeźdźcu z wysoko wzniesioną, bielejącą kartą, o jakiejś nagłej a wszechpotężnej protekcyi, przemagającej wyroki... wyzebranej przez rodzinę... czy ja wiem wreszcie jakie wysiłki gorączkującego umysłu zsyłają im błogosławioną chwilę snu w przededniu kary, chwilę ciszy wśród chorobliwych marzeń o zachowaniu życia... Innym znowu skazańcom śmierć przychodzi na pozór tak łatwo, jakby samobójcami byli. Umierają oni z tak zwaną «rezygnacją», z bohaterską śmiałością — w takim szczególnem podbudzeniu, jakby śmierć sobie zadawali sami, z własnej woli... Szczęśliwy, błogosławiony rys ich natury, dar wyższy, tak od nich niezależny — jak blask geniuszu



szu od genialnego człowieka. Ludzie tacy, gdy giną bohatersko w swem poświęceniu się za ludzkość, wzbudzają cześć naszą, podziw i zachwyty; gdy zaś są złoczyńcami o silnej woli, z brawurą, piosnką lub żartem wstępującymi na rusztowanie — w tłumie wzbudzają nawet wesołość—u ludzi z sercem—zabijają litość. Jeżeli dla bohaterów ginących wspaniale mamy cześć i entuzjazm, to dla tych, co słabną na widok szubienicy lub gilotyny, co się kurczą ze strachu jak zabijane zwierzęta — mamy tę przejmującą litość, która napęlnia serce aż po brzegi. Monmouth u stóp Jakóba rwący się do życia — więcej za serce nas chwytą, aniżeli hrabia Argyl mężnie i dumnie na śmierć kroczący, rzuciwszy swą pogardę temuż oprawcy—Jakóbowi.

Człowiek, o którym mówiłam, nie mógł mieć żadnej, chwilowej nawet nadziei, gdyż brakło mu do niej najwęższej nawet podstawy. Nie należał do żadnej organizacyi; żaden wysoki protektor nie znał go nawet z imienia; rodzina, niedająca żadnego znaku życia w chwilach tak ważnych—albo wymarła, albo się go wyrzekła... I oto, wobec beznadziejności tej kompletnej — człowiek ów sam się przyznaje, iż «trudno mu będzie umierać».

Trudno umierać... Czyż niema naprawę środka — choć odrobinę ulżyć tej trudnej śmierci? Ulżyć gorszemu stokroć od niej — oczekiwaniu?

Myśl moja, pchnięta raz w tym kierunku, pracowała w nim przez cały dzień następny, a w miarę tego i podbudzenie moje wzrastało nieustannie. Serce mi biło nierówno, twarz płonęła, oczy gorzały też mocnym blaskiem od ognia wewnętrznego, co w piersi mojej coraz się szerzej rozpałał. Dowiedziałam się wreszcie na pewno i o tem, co mi więcej jeszcze dodało gorczy, że nikt z rodziny nie zgłaszał się do «przystępcy», nikt nie przybywał, by go odwiedzić — i raz ostatni wziąć go w ciepłe, dobrze znane ramiona, mocy, otuchy mu dodać — kojący żal i smutek przynieść mu w ofierze... Tak, w tem tylko jedyna mogła być ulga dla niego — i tej jest on pozbawiony! Nieszczęsny wyjątek nawet wśród skazańców! Bo przecież i ów zbrodniarz z głośnego niedawno procesu paryskiego, zbrodniarz nikczemnego gatunku—miał jednak listy pełne żalu od córki— i te, jak sam jej odpisywał, miały go całkiem pokrzepić i tyle siły mu dodać, iż gotów był iść śmiało na spotkanie śmierci... Ten jeden jest wyjątkiem — i wyjątkowo też katusze cierpieć musi.

Nie mogłam wprost dłużej zostawać na miejscu. Zdawało mi się, iż świeże powietrze orzeźwi mię i usunie ten nastrój dolegliwy i ciężki. Odczuwając wprost bóle we wszystkich nerwach, rzuciłam się w wir miasta i przebiegałam ulice, trwożliwie za siebie się oglądając i nasłuchując machinalnie.



W chłodny, lecz jasny dzień jesienny — wy-  
legły tłumy na ulice i bulwary. Niebieski Adrya-  
tyk pieścił oko majowym błękitem — w listopa-  
dzie... Publiczność wydawała się nadzwyczaj  
ożywioną i podbudzoną. Przekonałam się też  
niebawem, iż źródło podbudzenia tego było to  
samo, co i dla mnie,—lecz jakże różną była treść  
jego!

Na pierwszy plan wysuwała się olbrzymia,  
potworna ciekawość, objawiająca się w chęci  
wygadania się o «sensacyjnym, szczególnym wy-  
padku» — i jego oczekiwany «skutku». Poda-  
wano sobie najrozmaitsze szczegóły czynu i pro-  
cesu — i starano się o jak największe efekta  
w odmalowaniu obrazu, mającej się odbyć «egze-  
kucyi». Wydało mi się, iż wyraz ten, mrozący  
krew w żyłach, wymawiano z pewnym rodzajem  
smakoszostwa. Podśledzałam go razy kilka przed  
jakąś wystawą sklepową w ustach nędznego  
młokosa w uniformie wojskowym i otyłego ku-  
pca, stojącego w progu sklepu. Jak furye jakieś  
straszliwe goniły mnie dnia tego frazesa w rodza-  
ju następujących:

— Widziałem sam cieśli zamówionych do  
sporządzenia «instrumentu».

— Telegrafowano już do stolicy, by kata  
przysłali, bo żaden z kryminalistów tutejszych  
podjąć się tego nie chciał..

— «Paczka» znajomych moich wybiera się

pójść na dworzec kolejowy, aby zobaczyć przy-  
bywającego oprawcę...

— Czy można być obecnym przy egzeku-  
cyi?—pyta jakaś strojna jejmość towarzyszącego  
jej jegomości o zamożnym wyglądzie i wstętnie  
grubym karku.

— O, i owszem! dla czegożby nie? Słysza-  
łem jednak z pewnego źródła, iż ma być to ja-  
koś o świcie, — ale czy jutro, czy pojutrze, czy  
jeszcze później nawet—nie można wiedzieć z pe-  
wnością. Trzymają to w tajemnicy. Do dyabła!  
Toż-to nad ranem człowiek śpi zawsze najsmac-  
czniej! Jakże tu się zrywać, chociażby i dla tak  
rzadkiego widowiska, skoro się nie wie nawet,  
czy naprawdę uda się co zobaczyć?

Nikt mię tak jednak nie przeraził, jak pewna  
potworna staruszka (może ona, zresztą, nie wy-  
glądała potwornie, lecz wówczas wydała mi się  
taką), która, sunąc przede mną drobnym kro-  
czkiem, mówiła wychodzącym z bezzębnych ust,  
ekliwym, pieszczonym głosem:

— Gdybyż to zdobyć choć kawałeczek po-  
wrózka po nieboszczyku! Ta rzadka pamiątka  
po wisielcu szcz...ę...ście przynosi! Wierz mi,  
kochana moja, — tak dawniej mądrzy ludzie po-  
wiadali...

To pełne poezyi i serca wierzenie ludowe,  
zaiste, pełne naiwności i uroczej prostoty! — roz-  
goryczyło mię do ostatecznych granic. Jakaś  
obca siła popychała mię nieprzeparcie do murów



więziennych. Szłam tedy szybkim krokiem, to znów stawałam, wahająca się, cofająca, — lecz w końcu dażyłam dalej i dalej — za miasto — ku białemu czworobokowi. Stałam wreszcie na wielkim placu przed murami ciężkiego budynku, lekliwym wzrokiem mierząc zakratowane okienka.

Może on stoi przy którymś z nich i gorączkowym wzrokiem przebija kraty żelazne i zamglone szyby? Może spojrzenie to wyteżone tkwi nawet w tej chwili na mnie?! I może myśli, nieszczęsny, że i ja, podobnie jak inni, błędę tu w słodkiej nadziei dowiedzenia się o czasie «egzekucyi» i podsłuchania — czy już nie wznoszą szubienicy? Ohyda!... cofnęłam się przerażona... Mój Boże! gdyby on wiedział, że ktoś tak mocno cierpi nad jego losem, nad tem, że ma być wykonana kara śmierci nad człowiekiem — i że, w danym razie człowiekiem owym jest on!... może-by mu nieco lżej się zrobiło, choć na krótkie мгновение oka! Katusze podzielone, cierpienia jego odbite, odzwierciedlone w sercu pełnym żalu, ludzkim i litościwem!... Boże, gdyby się znalazł jaki środek do przesłania mu tego współczucia — mój Boże! gdyby się znalazł środek taki! — Zupełna beznadziejność przykuwała mnie wprost do ziemi. Siły nie miałam stąd odejść: tak przygnębiła mnie nagle myśl owa...

I oto raptem musiałam komuś usunąć się z drogi. Brama więzienna otwarła się szeroko i ukazał się w niej oddział żołnierzy dość szybko

maszerujących. Gdy mnie mijali, jeden z nich, czerwony i wąsaty — obrócił się, wpatrując się we mnie ze zdziwieniem. Potem nieznacznie skinął mi głową i zlekka się uśmiechnął. Z nagłą jakąś, niewytłómaczoną radością, poznałam w nim starego Piotra, podoficera, dawniej ordynansa ojca mojego, kiedy był jeszcze lekarzem wojskowym. W dzieciństwie huśtał mnie i uczył maszerować, a teraz każdego święta przychodził do nas w gościnę.

Więc Piotr tam bywa? Więc należy do straży, która pilnuje tego wyjątkowego przestępcy. Możeby więc Piotr mógł dopomóc?... Nadzieja słaba, ale—kto wie... może?... gdyby?...

Więc... więc, gdyby nawet można było przez Piotra z nim się skomunikować... to cóż-bym ja... cóż-bym ja mogła uczynić?... Ha—trzeba nad tem się zastanowić... Usiłowałam myśli swoje bezładne wziąć w kluby, uczynić je posłusznymi swej woli.

Nie! jest to szaleństwo! cóż-bym ja do niego mogła napisać (gdyż tylko taką drogą najwyżej mogłabym się z nim skomunikować) — ja, obca, nieznaną—tylko litująca się nad nim bez granic! Gdybym nawet w wyrazach najgorętszych usiłowała mu wypowiedzieć swój żal i pragnienie, by się pokrzepił i spotkał los swój z mniejszą choć w części rozpaczą — może-by nie mógł nawet zrozumieć moich chęci... Wziąłby mnie może za istotę lubującą się w wyjątkowo silnych wraże-



niach (bo i ten sport przecież się uprawia), egzercytującą się w kunszcie wywoływania ich nawet takimi listami... Wzięłyby mię może za rodzaj psychopatki... I w takim razie byłaby to, naturalnie, chybiona, dziwaczna jakaś próba, co by nie tylko celu swego dopiąć nie mogła, ale przeciwnie, do wszystkiego, co przecierpiał — do dałaby mu jedno jeszcze przykre i niesmaczne wrażenie...

Ale nie! cóż znowu?! mylę się, zapędzam się zadaleko. W najgorszym razie wydałoby mu się to, przy jego terazniejszym usposobieniu, jakąś drobnostką, o tyle nikłą i małą, że po chwili-by o niej zapomniał... Za to jeżeli.. jeżeli choć odrobinę pocieszy go to i uspokoi?...

Ależ pragnę, muszę spróbować, bo potem.. kiedy już wszystko się skończy, czuję, że darować-bym sobie tego nie mogła. Mam jakiś instynkt, jakieś poczucie nieokreślone, iż powinnam to uczynić, jeżeli zdołam tylko. O, gdybyż! Boże, gdyby się udało!

A więc rzecz postanowiona ostatecznie. Poczekajmy,—raz jeszcze zbierzmy te myśli błędne, rozstrzelone, wzburzone... Tak!... muszę iść zaraz do koszar i zdobyć u którego ze starszych oficerów pozwolenie widzenia się na chwilę z Piotrem. Wiem, że to możliwe. Posyłałiśmy już nieraz z poleceniami do niego. Wolno mu było zawsze wyjść i rozmówić się z przychodzącymi.

Po chwili już byłam przed koszarami, dowiedziałam się od kogo to zależy, zdobyłam pozwolenie—i oto jestem z Piotrem o parę kroków od budynku, przy drzewach alei, które także, zda się, wyprostowanym, żołnierskim szeregiem zmierzają ku miastu.

— Mój Piotrze, mam czasu mało, a ważną do was prośbę. Bardzo ważną!...

— Do usług pani. Jeżeli tylko będę mógł i potrafię, to przecież zrobię z pewnością, Jakże-bym mógł odmówić?

Przychodzi mi w tej chwili błyskawicznie do głowy pewne kłamstwo, za pomocą którego mogłabym coś wskórać.

— Czy byliście przy skazanym?

— Tak jest. Przed chwilą ukończyliśmy nasz dyżur. Tylko dwie zmiany wybranych żołnierzy go pilnują.

Pochyla się do ucha mego konfidencyjnie i mówi cicho:

— Niech pani tylko nikomu nie mówi, bo to kazano zachować w sekrecie... Ale, ja wiem, że pani nie taka, żeby powiedziała. Pojutrze o czwartej zrana egzekucya... I wtenczas znów nasza kolej pilnować i prowadzić go na śmierć.

— Ach, Boże miłosierny! więc jeszcze ta noc i dzień jeden... Ach, Boże miłosierny!

— Czy pani go żałuje?! Toż to zabójca i zbrodniarz!

— Ja go nie uniewinniam, mój Piotrze...



Po chwili namysłu — mówiłam śpiesznie:

— Powiedzcie mi — czy istotnie jesteście dobrym chrześcijaninem? Czy słyszeliście o tem, że i sami grzesznicy winni się modlić za siebie i że nam wszystkim należy zanosić modły do Boga, by im odpuścił, jak Chrystus czynił na krzyżu, gdy za złoczyńców się modlił?...

— Jużci, to rzecz wiadoma... Czytuję przecież każdego święta księgi nabożne — i księży o tem prawią.

Więc o to mi właśnie chodzi, z tem się do was udaję, mój dobry Piotrze... Czyby się sposób jaki nie znalazł, żeby ten grzesznik nieszczęsny odczytać mógł słowa, dla takich przestępców ułożone? Nie myślcie, że to mi samej przyszło do głowy! Wiem o tem od księdza Stefana, zacnego i świętego staruszka, którego sami dobrze znacie. Chory jest... Sam-by chciał może przestępcę odwiedzić i dać mu tę pociechę... ale zaniemógł. To też, zobaczywszy was, pomyślałam że mi dopomóżecie — i poleciałam was szukać. Wiecie, jakie są srogie przepisy więzienne... dadzą wprawdzie nieszczęśnikowi spowiednika... lecz są i ludzkie pociechy, idące wprost do serca... Pewnie też sam Pan Bóg dopomógł mi was spotkać... Ojciec Stefan z pewnością kazał by wam tak zrobić! — mówiłam błagalnie, wpatrując się w spokojną żołnierską twarz jego.

— Więc jakże to? nie rozumiem... Czy mam pójść do pana komendanta i powiedzieć...

— Broń Boże! broń Boże, mój Piotrze! Oni zaczną pisać rozmaite papiery, zapytania, odezwy — a nim decyzja przyjdzie, będzie już późno. Rozumiesz?

Długo przekładałam, prosiłam i tłumaczyłam, że przecież nic karygodnego w kartce tej nie będzie—prócz słów pociechy i nadziei na niebo. Nareszcie dopięłam swego. Stańło na tem, iż «modlitwę», spisana na drobnym świstku drobnem pismem — poniesie Piotr w dłoni zaciśniętej jutro, o czwartej zrana, gdy pójdzie znowu na zmianę. Wręczy ją skazanemu, wchodząc, jak zwykle, dla posług do celi jego więziennej, ponieważ jako starszy i podoficer zaufany, on funkcyje te wypełniał na dyżurze.

Chciał mi coś o nim opowiadać, lecz zatknęłam uszy, drżąc cała. Czułam, że nic już teraz słyszeć o tem nie mogę. A jednak było już za późno, bo słuch mój pochwyił mimowoli:

— Chodzi z kąta w kąt jak szalony... płacze.. nic nie mówi, o nic nie prosi. Młody, mizerny, jak mara...

Smagana słowami temi, rzuciłam się do domu. Po dwóch godzinach już miałam być w kaplicy katedralnej. Piotr miał przyjść tam także aby list mój zabrać.

Zamknęłam się na klucz (choć to było zbyt techniczne, mąż mój całe dnie spędzał w podmiejskich fabrykach) — i dostawszy z biurka zwoitekieniuchnego papieru chińskiego, oderwałam ka-



wafek, rozciąłam go wzdłuż na dwoje — i na tej długiej, wąskiej wstażce poczęłam pisać szybko, bez namysłu miniaturowym ołówkiem, wydobytym z notesu. List ten dyktowało mi wyłącznie serce tylko. Roboty myśli nie odczuwałam wcale.

Pisałam:

«Ośmielam się pisać do Ciebie, cierpiący, biedny mój bracie, gdyż taką czuję potrzebę tego, jak gdybym była matką, siostrą lub żoną twoją... Piszę dla tego też tylko jedynie, że listów od swej rodziny, jak mi wiadomo, nie otrzymałeś dotąd. Wierzę zaś mocno, że listy takie w smutnych godzinach, chociażby od obcych, lecz współczujących ludzi—ulgę przynoszą. Nie dziw się, nie dochodź, jaką drogą wpadłam na myśl napisania do Ciebie. Tylko się dowiedz i uwierz głęboko, że tak boleję nad twym losem, tak nad nim cierpię straszliwie, jak gdybym знаła Cię i kochała jak brata najmilszego. Żał mi Cię niewypowiedzianie, okrutnie... I gdybym mogła, byłabym teraz przy Tobie, dłonie bym Ci ścisnęła, płakałabym i pocieszała Cię gorąco. Pokrzepiałabym Cię może nieumiejętnie, niezręcznie, jak i w tym liście, ale z oddaniem się serdecznem, z pragnieniem gorącym, by Ci lżej było, spokojniej. Wydaje mi się, iż wciąż błagałabym Ciebie, ażebyś los swój zechciał uważać, jak tylko nieco przyspieszony, lecz ten sam koniec nieunikniony, który nas wszystkich czeka, — któ-

rego lepiej nawet może dosięgnąć wcześniej, niż bnać ku niemu stopniowo przez błoto ziemi i potok własnej krwi serdecznej... Jedna to krótka, błyskawiczna chwila, bez porównania lżejsza od tego, coś teraz już przecierpiał i cierpisz! Nie męcz się więc dla niej już więcej! Przypomnij sobie, jeżeli możesz rozmyślać, o wszystkich, co przyjmowali losy podobne twojemu z obojętnością i mocą. Wystaw też sobie, iż każdy moment na ziemi — jest hasłem śmierci dla mnóstwa istot innych, dla całego świata, z którym los swój dzielisz, na pozór tak wyjątkowy...

Jeśli Cię mimowoli listem swym zranie, jeżeli Cię oburzę śmiałością tego wystąpienia — wybaczone i nie myśl o tem ani chwilki, — zapomnij. Tylko mi zechciej uwierzyć, iż zawiniłam nieświadomie — i że powoduje mną chęć niezwalczona przynieść Ci ulgę, wyrazić Ci żal serdeczny istoty obcej lecz blizkiej Ci uczuciem...

Jeżeli... może zechcesz... spojrzeć przed siebie... wtenczas... by mieć gdzieś blisko... twarz czyjąś przyjazną i... taką, jaką-by musiała być w takiej chwili twarz siostry twojej — rozkaż — a przyjdę. Żebyś mię poznał, włożę na szyję szarfę białą z końcami do samej ziemi.

Jeżeli uznasz list mój za wystąpienie szalonej, nie odpowiadaj na niego. Jeżeli zaś zrozumiesz go i odczujesz — odpisz choć jeden wyraz. Od dawcy zaś powiedz, że to dla ojca Stefana...»



Skończyłam, i nawet nie rzuciwszy okiem na ową wstążkę cieniuchną, urwałam drugą podobną, złożyłam razem je obie i poczęłam obwijać niemi szczerbnie drobny ołówek z notesu, natemperowawszy go uprzednio ze szczególną starannością. Ręce mi drżały, głowa pałała, ale czyniłam to przytomnie i rozważnie. Nareszcie papierowe wstążki przyłgnęły jak wklejone do ołoweczka—i szczupły miniaturowy rulonik, przypominający bilet loteryjny — znikł w mej drobnej pięści kobiecej.

Drząc na całym ciele—czy to od zimna chłodnego wieczoru, czyli zaś prędzej od zimna przenikającego i drętwiącego duszę moją—dobięłam wreszcie do kaplicy. Przybyłam na miejsce umówione o parę minut wcześniej od Piotra, i przytulona do muru, drżałam dalej w ciemnościach i w owym dziwnym chłodzie zewnętrznym i wewnętrznym. Odetchnęłam, gdy nareszcie Piotr ukazał się we drzwiach i znalazł się niebawem przy mnie. Cicho wprawdzie, lecz dobitnie i wyraźnie—choć głos i usta mi drżały, dawałam mu instrukcje: oddać zwitek natychmiast po przyjściu, gdyby go zastał czuwającym, gdyby zaś spał, broń Boże snu nie przerywać. Wejść po jakimś czasie, przy pierwszej sposobności—i gdyby chciał doręczyć odpowiedź dla «ojca Stefana», wziąć ją i odesłać mi jak najprędzej.

— Ojciec Stefan—człek święty, to prawda,—rzekł pokiwawszy głową podoficer. — Świstek to

taki mały, że oddać go będzie można, i ja to zrobię, kiedy już pani tak prosi... Choć, gdyby tamten skazany mnie zdradził, to nietylko podoficerstwo moje zginie, ale coś znacznie gorszego mnie spotka... Ale swoją drogą wszystko to na nic się nie zda. Dziwaczy staruszek świętobliwy. Ani książdz, ani pani—nic na tem się nie znacie. Dobrze to się modlić do Pana Boga w pięknym kościele, lub w swoim domu spokojnym przy ciepłym piecu—na woli, bez troski... Ale kiedy oczekuje niebawem znajomość z katem i powróż...

— Przystań! na miłość Boga przestań!... jęknęłam ze spazmem bólu w ściśniętym gardle i sercu. — Ja o tem słyszeć nie mogę! Idźcież i nie zapomnijcie, zaklinam was na wszystko, zrobić, coście nam przyrzekli! Bo, gdybyście o tem zapomnieli, sami-byście potem spokoju nie zaznali... I ojciec Stefan nigdy-by wam tego nie przebaczył!

— Oszalał stary! — burknął już teraz Piotr, splunawszy gniewnie.—Szczęście, że trafił na takiego! Inny-by może doniósł na klechę! — A pani niech wraca do domu, kładzie się i wypoczywa, — bo tak pani wyglądasz, jak gdybyś miała gorączkę... Posyła stary na zimno, pędza tak delikatną osobę — ze swymi tam jakimiś «pociechami!» Coś-ci zanadto miłosierny u licha — tam gdzie nie trzeba!... Tfu!...



Schwyciłam go za rękę, jeszcze go raz zakle-  
łam, aby oddał—i uciekłam.

— Oddam już niezawodnie — ale, co prawda,  
to prawda! — mrucał wślad za mną podoficer.  
Święty, a w głowie mu się pomieszało. «Spoko-  
ju nie zaznasz!» proszę. A przecież nie każdy-by  
to zrobił... Bzik—i basta!

Objaw dziwny i niewytłómaczony. Gdym  
uciekała od mrużącego żołnierza, ogarnął mnie  
śmiech tak szalony i niepowstrzymany, iż rady  
mu dać nie mogłam. Hamowałam go ile mocy,  
dusiłam się od niego, — ale pomimo to wciąż  
śmiać się musiałam i drżeć na całym ciele, zno-  
wu się śmiałam i znów dygotałam. W tym na-  
wet stanie bolesnego podniecenia, niedoznawa-  
nego nigdy w podobnym stopniu, wydawało mi  
się nad wyraz komicznym owo mruczenie Piotra  
na niewinnego ojca Stefana, który o tyle tylko  
brał udział w znakomitym procesie, że ofiarował  
się zawczasu zmówić za grzeszną duszę prze-  
stępcy stosowną modlitwę... gdy wszystko się  
skończy.

Dalej nie mogę już tak dokładnie zdać sobie  
sprawy ze swoich wrażeń ówczesnych, bo zwią-  
zek ich i charakter poczęło gmatwać ogromnie  
niezdrowie fizyczne. Były to w chaotycznej  
mieszaniu: dotkliwy ból moralny, strach, oczeki-  
wanie na skutek listu—pełne wzruszenia i trwo-  
gi... Potęgujący się stan gorączkowy wywo-  
ływał też jakąś oporność pobudzonej woli — by

ogarniającej mnie słabości nie uledez, nie paść na  
łóżko, nie zamknąć oczu na wszystko—nie pod-  
dać się ciału. Chodziłam, nasłuchiwałam — *czeka-  
łam* strasznej tej cudzej przyszłości, która dziwni-  
mi pętami okuła ducha mojego. Była to osta-  
tecznie gorączka duszy i ciała — początek tego  
tyfusu i tej psychozy zarazem, co w ciągu kilku  
miesiący potem dręczyły mnie jednocześnie. Tak  
mogę to teraz wytłómaczyć sobie. Wówczas zaś  
nie przychodziła mi do głowy analiza psychiczna  
samej siebie. Męczyłam się tylko i upadałam  
pod brzemieniem niespodzianych katuszy. Do-  
szłam wreszcie do tego, że kiedy jeszcze przed  
południem stanął przede mną żołnierz z białą  
kopertą, — nie mogłam pojąć na razie realności  
posłańca tego i listu. Porwałam kopertę słab-  
nącymi palcami, zamknęłam drzwi machinalnie—  
i rozpięczętowałam...

Mój chiński pasek papierowy powracał... za-  
pisany... zmięty... nadwreżony w swej delikatnej  
tkaninie zagłębieniami, zmarszczkami... bo był  
niedawno jeszcze wilgotny—od łez!

Czytałam go także zalana łzami gorącymi.

«Siostrze nieznaną, dobrą i szlachetną! Dzięki  
za serce, za pomocną dłoń twoją, którą wycią-  
gasz do mnie w ostatnich chwilach życia. Od-  
czułaś w swej duszy, iż głos twój będzie wszyst-  
kiem, wszystkim dla nieszczęsnego skazańca,  
który pożądał żałującego słowa ludzkiego — po-  
żądał go jak powietrza, którym-by mógł ode-



technąć po raz ostatni, dusząc się już i teraz na szubienicy oczekiwania. Żal, łzy i boleść twoją—uważam za skarb mój ostatni, za skarb najdroższy i błogosławiony. Tuląc do piersi ten skrawek papieru, mam błogie złudzenie, że ręka słodka, kojąca, niby matki najdroższej, którą straciłem oddawna, — leży na sercu moim, które niebawem bić przestanie, — na czole moim, które niebawem siność śmierci oblecze...

Piszę tak szczerze, bo znajduję w tem ulgę niewypowiedzianą: kładę mą głowę chorą na twych kolanach, jak-bym dzieckiem był jeszcze jak niegdyś u kolan matki mojej. — dłonie twe cisnę do piersi, wsłuchując się w głos twój — i myślę o słowach twoich...

To prawda! dla czegoż mam się uważać za wyjątek, kiedy dotyka i mnie męka, trzymająca świat cały w okowach w tej albo innej formie? Nie myśl, że smutki innych mogą mi być pociechą. Całe me krótkie życie i sam zgon mój nawet świadczą przecież wyraźnie; że nie o własnym szczęściu myślałem tu na ziemi; ale mówię sobie w tem osamotnieniu, że czeka mnie to samo tylko, co wszystkich bliźnich moich: tu powróż, tam suchoty, dyfterya i t. d... Nie jestem opuszczony i wzgardzony, bo nieprzejrzany legion dusz wolnych wraz z moją ku górze się wzbije, cisnąc się do niej siostrzanie, miękkim obłokiem ją pieszcząc!... Depcemy katusze przedśmiertne i unosimy się lekko nad wszystko, co

było męką, było bólem... Precz z ziemią! Już do niej nie należę, już o niej myśleć nie mogę.

Papier się kończy. Boże! ileżbym pisał do Ciebie, najszlachetniejsza, bliska, serdeczna moja!... Pisałbym tyle bez przerwy, ile mi żyć jeszcze zostaje. Dzięki Ci, dzięki—i żegnaj! Całuję ziemię, po której stąpasz i stopy twoje. Obecna bądź przy śmierci, jeżeli możesz... Prawda, za wiele wymagam! lecz odmówić sobie tego nie mogę... Tak słaby jestem... Wspomożesz mię, dodasz mi siły. Wybacz, przybądź—i poświęć się, siostrzo nieznaną! Szarfy twej białej będę szukał oczami... Nie zdradz-że — przybądź!»

Duszę moją przepełniło teraz rozrzewnienie i boleśna tkliwość! Pierwszy raz w życiu rozplywałam się w łkaniu, w przeciągłych jękach. Już nie miotałam się niespokojnie, nie dręczyłam się jakąś nieokreśloną, poprzednią rozpaczą. Tylko tak litościwie, miłośnie płakałam nad nim...

I wówczas serce moje poczęło nagle wzbierać pragnieniem nieokreślonej jakiejś modlitwy, i oddałam się jej całkowicie.

Modliłam się duchem na nowo wskrzeszonym, pełnym utraconej prostoty dziecięcej,—bez słów, bez klęczek, — myślą tylko zwrócona do Boga, którego tak wyraźnie kochałam i odczuwałam w tej chwili... Była to zapewne jedna z tych ekstaz, które przypinały skrzydła do ramion średniowiecznym ascetkom, a jednak spłynęła ona i na mnie—istotę wątpiącą, chwiejną, o nieokre-



ślonych i błędnych pojęciach religijnych końca XIX wieku. I ja czułam, że przestępuję granicę tego, co widome, że cały raj ulgi niebiańskiej spływa na mnie z góry.

Ekstazę tę jednak w końcu przerwało i pokonało znużenie, poczynająca się wielka słabość — choroba. We łzach, gorączkująca — usnęłam.

Kiedym się obudziła — zegar wydzwaniał drugą. Porwałam się przytomna i orzeźwiona. Pomimo, iż płonęłam cała od mocnej gorączki, zachowałam pamięć o wszystkim. Spojrzałam na list, leżący na stole.. Drgnęłam i rozszerzone oczy zwróciłam na zegar. Przed chwilą drugą wydzwonił.. Jest to noc więc ostatnia — za dwie godziny... koniec. Uprzytomniłam sobie wszystko w pamięci, a jednak ten ciężar i ból głowy, puls szybki, ciało słabe i jakieś rozluźnione — stały się środkiem przytępiającym i łagodzącym cierpienie wewnętrzne. Jakby nimi balsam jaki szczególnie ukoił serce moje — ból jego stał się mniej ostrym i palącym.

— Być chciałam — być muszę! — mówiłam to sobie przytomnie, rozkazująco, walcząc z ogromną słabością, która skuwała mi członki.

Z ciężkim westchnieniem odeszłam od łóżka, do którego się rwało chore ciało moje. Zwalczyłam je resztkami słabnącej woli.

Nagle doznałam jakby wstrząśnienia elektrycznego, przypomniawszy sobie o błahym szcze-

góle, o tej bagatelce w porównaniu ze wszystkim innym — o szarfię białej. Muszę się przybrać w białą szarfię, żeby mię widział.. i iść. Zkąd wezmę tę szarfię? nie mam jej. Obejrzałam się z sercem bijącym już mocniej, jak-by się bojąc spóźnić, spotkać przeszkodę z tej strony... Ale uspokoiłam się po chwili. Pochwyciłam wiążące przy umywalni dwa długie białe ręczniki, związałam ich końce — i narzuciłam na szyję. Końce zwisały mi aż do kolan. Drobnym na pozór wypadek ożywił czucie moje, wzmógł me uśpione wzruszenie — i spotęgował ogromnie bicie rozbudzonego do cierpień serca.

Włożyć okrycie, ubrać się cieplej — wydało mi się w tej chwili czemś uwłaczającym temu... czego niebawem miałam być świadkiem. Co znaczy zaziębienie, choroba — wobec tego, na co będę patrzała!

Mąż mój nocował na fabryce u kolegi, jak zwykle, gdy więcej pracy było. Służby się pozbyłam z łatwością — i oto już wychodzę z domu.

Idę już, idę!

Pamiętam tylko, iż przebiegałam miasto z szybkością gnanego zwierzęcia, — że wreszcie stanęłam przy murach więziennych, na placu do nich przylegającym.

Nagle nogi mi się zgięły i upadłam raptem na kolana. Na placu słabym światłem tliło się kilka latarek i poruszało się w cichości kilkunastu ludzi. Błady pas czegoś zakrawającego na



świt ledwo odznaczał się na wschodzie. Wszystko dokoła pogrążało się jeszcze w mrokach nocy. Pośrodku placu, na dole, odcinając się jasniej od ziemi w czerwonym świetle latarek — występowały grube podstawy dwóch grubych słupów. Podnosząc się ku górze, słupy te znów zatapiały się w ciemności. I tam też, w górze, głucho uderzał o drzewo młot ciężki...

O, śmierci! jakżeś ohydna, gdy na tym tronie potwornym, wspartym na słupach tych strasznych—co ludzkie płazy ci wzniosły, — jak głośny wampir zasiadasz! gdy sina i krwiożercza dusisz w swych szponach ofiary!

Podniosłam się z ziemi, i cisnąc ręce do serca, tłukącego się w piersi, jak ptak w konwulsjach, ledwom się przyczołgała do ogrodzenia jakiegoś. Tam, odwrócona od placu, usiadłam na ziemi i wsłuchiwałam się w złowrogie dźwięki, nie mogąc i nie chcąc iść dalej.

Tam, za murami, on *tego* słucha — on na *to* czeka!... i pewnie więcej się męczy, daleko więcej jeszcze niż ja! O, cóż to za straszna musi być męka!...

Czyżbym tak samo nie słyszała uderzeń młota katów, gdybym nawet uciekła za miasto, gdybym uciekła jak najdalej... Niech więc tu w pierś moją uderza. Zostanę—i wytrwam! wytrwam!...

Zahypnotyzowana wciąż jedną tylko myślą, że uciec nie mogę, że chcę i muszę tu zostać,

zamarłam w jednej pozie, cisnąc rękami serce. Przyszedł czas wreszcie, gdy brudny mrok, wyłoniony z ciemności głębokiej — stał się ostatnią jutrzenką dla nieszczęsnego skazańca.

Głuchy szmer głosów i ruchu ludzkiego kazał mi głowę raptownie wzniesić i odwrócić... ku miejscu. Latarnie zgasły. Czworobok żołnierzy otaczał... miejsce śmierci.

Słuch mój zanikł w tej chwili; pozostał wzrok tylko i jeden rozkaz potężny, nieublagany, brzmiający w mej duszy:

— Idź! wysuwaj się naprzód! stawaj tak, by cię widział!... Zataczając zygzaki i koła—doczołgałam się znów do czworoboku żołnierzy — wśród martwej i uroczystej ciszy. Kilku zaledwie obcych jakichś ludzi, może tych co młotem pracowali, stało opodal.

Tyle poczucia rzeczywistości we mnie zostało, iż mogłam stanąć tuż zaraz, przy żołnierzach — naprzeciwko... miejsca. Dolna szczeka drgała mi konwulsyjnie, zęby dzwoniły, dygotałam jak liść miotany przez wichurę, lecz nie padałam przynajmniej, trzymałam się na nogach.

Oto otwiera się brama—i znowu oddział żołnierzy. W pośród nich dwie postacie posuwają się krokiem nierównym, — to dosyć szybkim, to znowu ustającym prawie. Czasem nawet jedna z nich zgina kolana, chyli się ku ziemi. Druga podnosi ją niby troskliwie, powoli, ostrożnie — i idą dalej. Postać ta, chyłaca się i znów się



podnosząca — jest szczupła, wiotka, bezsilna. Ta co ją wspiera i podnosi — barczysta i mocna.

I oto wszystko znikło mi z przed oczu, oprócz tej szczupłej postaci, wspartej na drugiej, barczystej. Stałem blisko, tak blisko!

Wtem nagle od tej postaci ludzkiej, którą jedyną tylko widzę, — uderza we mnie spojrzenie wielkich, przejrzystych, otoczonych dziwną jakąś sinością źrenic — spojrzenie przerażonego dziecka o jasnych oczach niewinnych. Tkwią one w twarzy znękanej i wynędzniałej, jak twarz starca, co wiele wycierpiał — w twarzy żółtej, z krwawymi plamami na policzkach. Kosmyk włosów zawisł nad samym okiem, czapka trochę krzywo na lewą skroń zsunięta.

On patrzy! patrzy na mnie! Nagle odrywa ramię od barczystego żołnierza — i obie ręce wyciąga ku mnie... Mówi coś! mówi! porusza ustami! Nie słyszę! nic nie słyszę! Tylko gorący strumień ścieka mi po twarzy, szczeka drży, zęby dzwonią... I on ma łzy na policzkach, wciąż jeszcze rusza ustami i ręce jeszcze wyciąga — i rzuca nimi w powietrze, wpatrzony we mnie, jak w tęczę. Podnoszę i ja ramiona, z takim wysiłkiem, jak gdyby były kamienne — i także wyciągam je do niego, ledwie je mogąc utrzymać w powietrzu...

Lecz znowu postać barczysta bierze go pod ramię... On się pochyla, ogląda, jeszcze coś mówi, wciąż patrząc na mnie... Spuszcza wreszcie

głowę i poczyną wstępować na coś wysokiego, unoszony prawie przez barczystego chłopca. Oto raz jeszcze usiłuje wyciągnąć ręce... już je podniósł!... Lecz coś spada na niego! białe to... straszne!... straszne!! Ty, straszny Boże! nie dopuść!...

Nieludzki krzyk pierś mi rozdziera. Padam twarzą ku ziemi.



# LENORA.

(Na temat Bürgera).

Nie południe to Francyi — i nie Włochy, przepelnione takimi gośćmi — jak oto ten podróżnik, przybijający już do portu. Jest to północ surowa i mroźna, ale dla niego już wszystko jedno, biegun czy równik, lody czy kwiaty, tundra czy Meran — grożą mu, czy promienieją po za osłoniętymi szybami sypialni.

Wieczór już późny — noc raczej. Zwiędła postać młodzieńcza rozpościera się bezwładnie na jakimś wydłużonym siedzeniu... Obawa śmiertelnego łoża... Przyćmione światło słabo oświetla twarz piękną przed chwilą zaledwie, teraz kościstą i długą, raptownie zestarzałą. W głębo- kich niszach ocznych goreją wielkie źrenice, omszone rzesą przepyszną. Ramiona, niby zeschłe lodygi, opadają na poręcz; pod lekkim przykryciem ostro się zaznaczają kontury wynędzniałego ciała. Chrapliwy oddech i kaszel wysoko i często podnoszą jego pierś.

Lecz owa zimna, zważona łodyga-ręka obwija się dokoła ciepłej, różowej dłoni. Płonące oczy pochodnie szukają chłodu w kryształach przejrzystych, chociaż znużonych źrenic. Usta spalone i bolesne szepcą urwane słowa, aby z tych świeżych ust różowych zdobyć odpowiedź pożądaną.

To życie rozkwitające dopiero i śmierć już prawie zwycięska — rozmawiają z sobą.

— Dziś może jeszcze... nie?...

— Ani dziś, ani nigdy, nigdy!... kiedyś, razem... w późnej starości!

— Ani ty, ani ja nie wierzymy w to, co mówisz, a jednak niewątpliwe to kłamstwo chwilo- wą ulgę-ułudę daje nam obojgu. Mów, mów, dalej, zmyślaj, pocieszaj — uwierzę we wszystko, w cud nawet... Bądź wróżką, kabalarką, lekarką chłopską... zamawiaj, kochanie ty moje!... Nie puszczę cię dziś od siebie... bo lękam się... wy- daje mi się... że «to» się już przyczaja... tuż bli- ziotko... podkrada się w tych mrokach.

— Nie, ja nie kłamię! nie zmyślam! ja się nie łudzę! Wierzę — ja wierzę całą mocą najgorętszej wiary, — że ty nie możesz umrzeć! Każdy — tylko nie ty! W tobie tyle potęgi życiowej, tyle energii życia, że żadna śmierć pozorna jej nie zabije — ona zwycięży ciało, chorobę i śmierć... i samą śmierć nawet przemoże!...

— Ha — tak! masz rację — mój «wielki» duch pokona nędzne ciało... Nie umrę, natural-



nie! O, nie! lecz «tylko się otrząsnę z marnej powłoki ziemskiej... tylko z tej podłej gliny—nie prawdaż?! Cha, cha — to bagatela! Wspaniały duch mój wyzwoli się ze swych pęt — i z góry spoglądać będzie na padół ziemski—i na ciebie? czy tak?... A kto wie jednak... być może naprawdę «atomy ducha mojego» mocniej niż inne są «zlepione» — i nie rozpierzchną się tak łatwo. Analogia ze świata materialnego — żelazo i powietrze! Pocieszajmy się więc, że nie stanę się przecież rozdmuchniętym po świecie materiałem do tworzenia się nowych foremek dla dusz, tylko w postaci poetycznego widma z cmentarnych bajek, ponad ziemią unosić się będę. Może zostałem wykrojony z mocnej materii duchowej «w dobrym gatunku», nie łatwo rwącej się na strzępy. Wypadnę z twardej skorupy prześlicznie zachowany—niby udatne «gélé»—z blaszanej foremki!... Cha, cha... cha..

— O, nie śmieję się tak! nie śmieję, mój jedyny! Kaszel cię dręczy, a ja już znieść nie mogę gorczy tych wyrazów!

— A więc «gruchajmy!» Mówmy — «ach!» mówmy «o... miłości». «Ty mi na zawsze pozostaniesz wierną, kochanko moja!» Będziesz «wianeczki» kładła na mym grobie — a w końcu umrzesz z rozpaczy—i pochowają nas «w jednej mogile, a brzoźki zaszumią nad nami». Przecudownie! Och—jakże mię to zachwyca!

— Zamilknij, na miłość Boga! ucisz się! uspokój! spocznij! pozwól mi lepiej coś opowiadać, coś czytać...

— O, nie zapraszaj mnie całym szeregiem tych synonimów do spoczynku wiekuistego! Straszno... Tak! tak — umilknę już, spocznę niebawem... a i ty wtenczas spocziesz po wszystkich nocach bezsennych w wygodnym, ciepłym łóżeczku!... Wiem dobrze, że i mnie przecież ani zimno, ani ciemno być tam nie może... a jednak mimowoli dreszcze przechodzą... Brrr... Chłód, noc... robaki!... sąsiedzi... sąsiedzi! Mów mi, o, mów mi, że nie umrę jeszcze tej nocy.

— Noc ta przyniesie ci z pewnością dobry, kojący sen... uciszy ból, zaczniesz uzdrawiać chorą pierś twoją... zaczniesz cię wskrzeszać dla mnie, dla życia młodego, długiego... dla szczęścia, które przygasło tylko na chwilę... Najdroższy mój... biedny mój... miły, miły — mój! Połóż głowę na mem ramieniu, przymknij znękaną oczy... i odrzuć te myśli gorączkowe... odrzuć wszelką myśl niespokojną — a sam się poddaj sennemu znużeniu, które przecież oładnie toba, które cię ukołysze!

— Mów mi tylko jedno — słyszysz? jedno: — «nie umrzesz jeszcze tej nocy!»

— Nie umrzesz, nie umrzesz, biedaczku mój najukochańszy!

Ciepła i drżąca rączka przesuwana się pieszczośliwie po pysznych czarnych kędziarach, które



teraz tak bujnie się rozrosły, jak gdyby kiedyś jeszcze, po długich lat dziesiątkach, miały osiwieć i zbieleć. W ogromnych, rozżarzonych żenicach łąza błyska. Szarpana ciężkim kaszlem pierś tuli się do słodkiego ramienia. Potem znów płyną i płyną szybkie wyrazy, to żalonym, rwącym się półgłosem, to szeptem omdlewającym na ustach...

— Powiedz mi, jedyna, czy ty... byś... także— jak wszystkie inne... mogła mnie zapomnieć... zdradzić po śmierci? Stara, banalna to śpiewka,— ale jest w niej coś zaraźliwego! Przed chwilą śmiałem się... słowami... z sentymentalnych kochanków, miłujących się do śmierci i po śmierci... a współczułem im całą dogorywającą istotą moją... Rzecz dziwna, że w tej... z pewnością przedśmiertnej już niemocy — im bliżej ciała do śmierci, tem więcej życie ducha zdaje się wzrastać, potężnieć!... zaostczać się, subtelnić! Uczucia i pragnienia, szczególnież żal i rozpacz, wrą niby w piersi spętanego tytana!...

— Czy mogłabyś mnie zdradzić?... Czy możesz nawet zbliżyć się myślą do czegoś podobnego?... Zdradzić takiego, jakim byłem dawniej... którego kochałaś nad miarę... pierwszą miłością dziewczęcą, pełną szalu i uniesień... i szczególnież takiego, jakim dziś jestem, kiedy mnie otacza anielska, bezgraniczna litość twoja, gdy tyle dla mnie poświęcasz?!...

— Nie zapomnę cię i nie zdradzę chociażby dlatego tylko, że cię nie przeżyję zapewne. Pójdę za tobą — jeżelibyś odszedł naprawdę przede mną.

Tego już nadto, dla niej nawet nadto już tej nieustannej, tragicznej komedyi. Wyczerpana, zwyciężona—składa leciutko, ostrożnie bladą głowę swoją na jego chorem, jego nieszczęśliwym ramieniu, szukając tam nawet opory — i ciche łkanie wstrząsa jej ciałem.

Po zaostzonych rysach chorego przelatuje jakby cień zwycięskiego zadowolenia. Zaczyna mówić, zrazu powoli, zatrzymując się i namyślając, potem już z coraz większą szybkością i gwałtownością.

— Czemu, czemu nie mam wyznać przed tobą... szalonego pragnienia, które mnie teraz jedynie już pali — wszystkie inne już odstąpiły, pragnienia, które wydaje mi się nie wykonalnym, jak i pragnienie życia... Powiem, bo rwie mi się ono na usta, bo mi rozsadza pierś bolącą! Pewny jestem, że nie będziesz mogła spełnić mej prośby, bo to niepodobieństwo, bo za okrutna jest i za egoistyczna! Sprzeciwia się naturze samej, wyrazem jest najpotworniejszej niewdzięczności! A jednak osądź mnie, jak na to zasługuję... poznaj takim, jakim się stałem—teraz pod koniec, bo przecież takim nie byłem. Długa męka i wreszcie skazanie na śmierć niechybną a niesłuszną, wpośród najlepszych chwil życia—



mogą przecież zdemoralizować człowieka ostatecznie!

Dziewczyna unosi głowę—i z okiem suchem, przytomnem, pełnem apatycznej już prawie rezygnacji, czeka na nowe wybuchy, na nowe skargi nieszczęśnika, na nowe udręczenia, których powstrzymać nie znajduje już mocy. On zaś mówi dalej, walcząc z ciężkimi napadami kaszlu.

— Gdybym mógł... ubłagałbym cię... zabroniłbym ci... gdybym mógł rozkazałbym ci, abyś już nigdy... nigdy już więcej nie kochała — chociaż rozumiem aż nadto dobrze, że miłość jedyna w życiu—to nonsens i nieprawda! Ale... trudno uwierzyć... abyś ty... po mnie, nieszczęsnym skazańcu, wdowa — mogła się kiedykolwiek uśmiechnąć do... zalotnika. Ty!—po mnie!... Niepodobieństwo! nie—to niepodobieństwo. Tak samo — jak ty nie możesz wyobrazić sobie, bym «ja» mógł umrzeć — choć przecież umieram niewątpliwie — tak i ja nie mogę wyobrazić, abyś ty przeniewierzyć się mogła pamięci mojej,—przestać rozpaczać... a jednak zdradzisz mnie... najpewniej... niewątpliwie...

— Nie może być — aby po ciebie, tak młodą i piękną, nie wyciągnęły się znowu chciwe ramiona — by się nie zapaliły dla ciebie żadne serca. Powtórzą się zapewne te czasy, gdym musiał stawać w całym szeregu, by cię wywalczyć. Nie może być, by cię pozostawiono w spo-

koju! O, zaklinam cię, zaklinam — odepchnij-że od siebie napastników, których ja już nie będę mógł odepchnąć!

Głos jego staje się żebrzącym, jak gdyby chciał przyciągnąć całą jej litość z najgłębszych duszy zakątków.

— Zaklinam cię mojem błaganiem ostatnim, wzrokiem mym gorejącym, całą rozpaczą bezdenną! wzrokiem strasznym — sam czuję! strasznym, jak ginącego na rusztowaniu katowskim! Sam się obawiam wzroku tego, gdy się odbija w zwierciadle... Niech ci się zdaje, że te nieszczęsne oczy moje zawsze na ciebie patrzą, zawsze błagają ciebie, zawsze ci nawet rozkazują mocą, która ciało me przetrwa! o, przetrwa, przetrwa!

Chrapliwe łkanie wstrząsa członkami jego. Dziewczyna, chwiejąca się i wyczerpana, blizka omdlenia prawie — nic już nie mówi. Dłonie jej tylko usiłują pochylić jego ramiona i zmusić go, by się położył. Ale on nawet silniejszym jest od niej w tej chwili; gwałtownym, nerwowym ruchem odsuwa jej drobne, słabe ręce — i mówi znowu coraz szybciej, coraz burzliwiej, choć z każdą chwilą trudniej i znojniej oddychać mu i mówić.

— Potworny jestem, nieprawdaż? Ależ i potwornie nieszczęśliwy! Wymagam wierności dla trupa! Bo nie śmiem marzyć o wierności narzeczonemu-duchowi, któryby pragnął unieść cię, ukochana, na lekkich skrzydłach w przestworza,



gdy także wyzwolonym duchem się staniesz!... Wiesz, że bywały takie chwile złowrogie, gdy stawałem się wprost strasznym — a tyś nie podejrzewała nawet niebezpieczeństwa, które ci wówczas groziło. Gdybym mógł wierzyć, że nie rozproszę się w jakimś wirze duchowym — jak ciało moje w pyłe ziemskim, że nie wsiąknę w zbiorową mgłę nieśmiertelna, własnymi drobnymi cząstkami własnej mej mgły nieśmiertelnej — to-bym cię może... zabił! podstępnie zwłóknę się z tego łoża śmierci i zabił cię, wyęzając te marne resztki sił! — ciebie, znużoną i bezsilną po długich dniach i nocach czuwania! Zabiłbym — aby cię unieść z sobą, mój ty raj... i moja ty rozpaczy zarazem!

Mimowolne drżenie wstrząsa nią od stóp do głowy i budzi z bezsilnej, martwej apaty. Odzywa się błagalnie i słodko:

— Czego tylko zażadasz — wszystko ci przyrzeknę, na wszystko się zgodzę, ale miejże litość nad sobą nareszcie! Wyczerpujesz się, zabijasz się niemiłosiernie... szalone myśli cię męczą! Spokoju trochę, spokoju — litości nad sobą, nade mną!

— Nie przerywaj mi, nie przerywaj, bo nie zdążę nic już powiedzieć! — woła on gniewnie, jeszcze gwałtowniej unosząc się na posłaniu. — Kilka minut więcej czy mniej — wszystko już jedno! Mogę nawet przytomność stracić w ostatniej chwili!... Gdybym więc mógł wiedzieć czy

jestem tylko błotem ziemi i mgłą mgły jakiejś duchowej — czy tym błękitem nieba, w który i ty i inni wierzycie pomimo wszystko... Cha, cha! pomimo wszystko, jakby tego jeszcze było wam za mało!... Posłuchaj — jest to zapewne i chorobliwe majaczenie spalonego gorączką mózgu. Ale zaczyna mi się wydawać, z coraz większą siłą i z coraz większą pewnością nieświadomego przekonania, że tam... naprawdę jest jakieś życie indywidualne. A jeżeli jest jakaś chociażby iskra jego — to ją rozdmucham w płomień potęgą mej natury, mej namiętej miłości do życia w jakiejś formie! A jeśli żyć tam będę — to znajdę moc chociażby chwilowego powrotu na ziemię! Wierzę w to, wierzę, bo dotykam już granicy świata nadziemskiego... bo już przeczuwam, odczuwam — obejmuję już prawie potężnym wzrokiem obszary jego, kraj pobratymców moich, umarłych! Ja... ja «będę» tam i będę «sobą!» A jeśli tak, — to wyrwę się do ciebie, to wyrwę się po ciebie, jak rycerz ów poległy po swą Lenorę! Przemogę moce niebieskie czy piekielne! Uniosę cię do nieba czy do grobu! Ja przyjdę! przyjdę po ciebie!

Głos jego, rwący się dotąd nierówno, burzliwie i gwałtownie — umilka nagle, jak płomień świecy zdmuchniętej. Tylko ogromne żrenice, płonące w niszach głębokich, wśród kości zaledwie skórami powleczone, nie gasną, nie wilgotnieją ani na chwilę. Błagają one i rozkazują



zarazem, pieścżą i grożą. I zdaje się w tej chwili zamierającemu z cierpień dziewczęciu, że dziwny wzrok ten wyciska jakieś piętno ogniste na mózgu jej i na sercu, że płomień wzroku tego zapala w mózgu jej i sercu jakieś żarzewie złowrogie — i że to coś na zawsze tam pozostanie — ta iskra zła, pałaca.

— Nie groź mi tak, nie błagaj mnie tak... strasznie! — mówi głosem złamanym. — Przypuszczenie nawet... zdrady — bluźni nam obojgu.

Wzrok jego pod smutnym drżeniem jej głosu mięknie i mgłą się powleka. Wspiera się na spiętrzonych poduszkach i po dłuższej chwili spoczynku i ciszy znów się odzywa zaledwie dosłyszalnie. Tylko subtelne ucho dziewczyny w omdlewającym tym szepcie chwyta dla niej jedynej dostępnej modulacye cichej boleści, potem jakby rozmarzenia nawet... potem ekstatycznego zachwytu dla wizyi upragnionej.

— Masz słuszność! nie powinienem się obawiać żadnych rywali ziemskich — ja — mieszkaniec już prawie świata wyższego nade wszystkie! ja — posiadacz już prawie wielkiej tajemnicy, którą przez całe życie człowiek usiłuje przeniknąć! ja — nadziemski królewicz z zaczarowanej krainy odwiecznej baśni ludzkości!... Jako nadziemski królewicz, przybrany w urok czarownicy oslepiającej urody, w ślubną koronę z gwiazd i promieni, w srebrzysty chiton Antinousa.. na jasnych skrzydłach serafina... przy dźwiękach cytr i harf

zmarłych geniuszów pieśni... w królewskim ślubnym orszaku zmarłych mocarzy ducha — przybędę ja po ciebie, oblubienico moja! Wszystkich zagaszę i zaćmię! Olśnię cię czarem bajecznym! Uniosę cię na mocnych skrzydłach — dla niewyśnionych rozkoszy, o których wasza ziemia nikczemna marzyć-by nawet nie potrafiła! Wprowadzę cię do mego rajy — rajy mój ty, ziemski rajy jedyny!

Uśmiech pełen zachwytu rozchyła jego usta, perlista łez zasłona spada na oczy... Trwa to jednak przez krótką chwilę zaledwie. Męczeński kurcz przebiega nagle po jego twarzy, złowroga łuna we wzroku znów się roznieca: podnosi się gwałtownie z posłania i chwyta obie ręce dziewczyny w swe dłonie. Dłonie te, twarde i sztywne, usiłują przyciągnąć ją do chwiejącego się ciała. Nie sprzeciwia mu się, pochyła się kornie całą postacią ku niemu. Owiewa ją oddech chrapliwy, wstrętne cuchnący... Twarz jego mieni się dziwnym, nieznanym dotąd wyrazem. Przeraza ją ten dziwny, dziki wyraz — i wtenczas usiłuje już wyrwać się z kościstych kajdanów, skuwających jej dłonie, by nieść mu pomoc, by wołać o ratunek... Lecz on bez porównania silniejszym jest od niej w tej chwili. On jej nie puszcza. Przebija ją tylko znowu okropnym wzrokiem, który śmierć zdaje się widzieć wyprostowaną w całej grozie — szepcący syczący wpada raz jeszcze do jej ucha:

— Pamiętaj! tyś moja! moja tylko!



Pada na wznak ciężko i sztywnie, tak nagle, i tak kamiennie, że ona ze skutymi wciąż jeszcze w jego dłoniach rękami pada z nim razem, uderzając głową o straszną pierś rzeżącą. Zanim zdążyła nareszcie wyrwać się z tego uścisku, miotająca się pierś nagle ucicha. Z krzykiem się cofa — i znów się rzuca ku niemu. Na twarzy jego drga jeszcze wyraz przedśmiertnej męki. Dziewczyna nie zdaje się z początku rozumieć szatańskiego grymasu, co rysy te wykrzywia. Nieprzytomnie, machinalnie prawie rozgląda twarz tę rękami, przesuwa dłonią po oczach dzikich, okropnych... I oto powieka opada na nich zwolna pod tem dotknięciem drżającej dłoni... A ona się wpatruje wciąż jeszcze nieprzytomnie, z nadmiernym jakimś zdziwieniem w te rysy zamarzające, wyglądające się powoli. Wspaniałe, czarne rzęsy rzuciły już z pod powiek łagodne cienie jedwabne. Zwarte klasyczne usta nie wydają już więcej ani wyrazów szalonych, ani oddechu cuchnącego...

Dopiero teraz poznaje «jego.» Widzi go wreszcie uśpionym, pięknym, cichym, dawnym.

— To on! to on!... to jego, jego już niema! Pada u stóp tych zimnych i bije, bije głową o ziemię — bez jęku, bez wyrazu. Wtenczas rzucają się ku niej ludzie, których on dotąd gniewnie odganiał od siebie i od niej.

## II.

— Nie odchodź jeszcze! jeżeli możesz, nie odchodź dziś wcale!

— Niepodobieństwo! muszę już odejść, dziecko drogie. Już późno. Wszystkie usypia — usnij-że i ty, kochanie moje. Rzadka to chwila piękności niezrównanej. Wiosna i spokój. — Zanurz się cichą duszą w te fale bżów liliowe, w te śniegi srebrnych konwalij... i usnij myślą na ich posłaniu. Wszystkie usypia prócz słowików — zanuć ci kołysankę.

— O, nie! nie kołysz mnie słowami, ale pozostań ze mną... Dziś czegoś lękam się znowu... Dziś znowu się obawiam długich godzin nocnych.

— Czyż możesz się obawiać tej słodkiej, cichej nocy? Jej mroki, jej aksamitne cienie głaszczą tylko i pieszczą,—a hardej myśli nasuwają raczej szalone sny o niedostępnym szczęściu... ale nie zmory chorobliwe. Pożegnaj więc mnie z rozjaśnioną, spokojną twarzyczką... Znowu ten twój szept gorączkowy, te oczy przerażone, — nie rozumiem, mów wolniej, mów głośniej, aniołku!

— «On» lubił tak jak i wszyscy noce takie. Jak tylko mnie opuścisz, z pewnością przyjdzie do mnie! Nie odchodźże, nie odchodź! Obroń, wyratuj, bo czuję już bliskość jego, czuję, że już nadchodzi...



— Mój wielki Boże! czyż znów wracają przywidzenia twoje? Czyż dotąd nie zapomniałaś tych snów dziwacznych, tych smutnych hallucynacji, zrodzonych z chorych nerwów i w mózgu, rozpalonym gorączką? Lecz teraz nerwy twe nabrały już mocy i spokoju, główki twej nie trawi żaden już płomień — tylko serce twe, słabe jeszcze, wymaga wielkich starań. Pamiętajże o niem! nie szkodź sobie, poddając się bez oporu ślepemu prądowi trwogi. Miejże choć trochę woli! odpędzaj podszepty szalonej wyobraźni. Coraz już rzadziej dokucza ci ona. Gaś ją do reszty, a nie rozdmuchuj samowolnie tlejących gdzieś na dnie iskier — choroby. Paroksyzm może się powtórzyć — oszczędzaj serce! No, uspokójże się, uspokój wreszcie, ptaszyno biedna moja! Pójdźmy już do twej matki kochanej. Uśniesz przy niej niebawem, — ona przy tobie czuwać będzie, a sypia przecież tak czujnie.

— On uśpi matkę moją. Jednego ciebie tylko uśpić nie może, ty jeden mu się opierasz. O, gdybyś mógł na zawsze zostać przy mnie! We dnie mogę już teraz, chociaż z trudnością, obejść się bez ciebie. Ale bywają jeszcze noce! straszne noce, kiedy wprost ginę wśród męki!... Obrońco mój! zbawicielu jedyny! Rzadziej, powiadasz? Zapewne... może już rzadziej... ale tem straszniej i tem zdaje się bliżej... bliżej... końca tego — czy też początku innego życia. O, przyjdź! przyjdźże mi dziś z pomocą!

— Nie drżij i nie tul się tak do mnie, dziecko, bo nie chciałbym uleść słabości — i znów się cofać, i znów rozpoczynać to, co zdawało się być już na zawsze skończonym. Pozostanę jeszcze na chwilkę, zanim się uspokoisz i zapanujesz nad sobą. Znowu uciekaś od nich wszystkich i pociągnęłaś mnie tutaj, na ten balkon odludny, gdy właśnie powinien cię otaczać gwar młodych głosów, śmiechy i śpiewy, światła i kwiaty, od których skrzy się ten jasny salon. Odzwyczajaj się, odzwyczajaj się już ode mnie, życie ty moje!... bo i ja przecież... chwiać się zaczynam... ja panowanie tracę nad sobą!... Czy ty... nic dotąd nie pojmujesz? Czyś jeszcze nic nie dostrzegła?

— Owszem, dostrzegłam, niestety! Dostrzegłam, że jesteś śmiertelnie już znużony, że ci już cięży nad wszelką miarę pielęgnowanie dwuletnie prawie, takiej jak ja istoty, i dotąd napół jeszcze chorej, któraby ciebie całego, ciebie na zawsze chciała zatrzymać przy sobie. Dawniej czuwałeś przy mnie przez całe długie doby, zapominałeś dla mnie o wszystkim i o wszystkich... Teraz przybywasz na krótkie chwile tylko. Uciekasz, wyrwasz się ode mnie! utrzymać cię nie mogę — ciebie — życie, siłę, przytomność moją!... Uważam, że z kolei staję się — ja — zmorą twoją! Ja, która myśleć i żyć nanowo, nawet uśmiechać się i cieszyć — mogę tylko przy tobie! Im więcej twarz moja zabarwia się i wypełnia, tembardziej twoja zaostrza się i chudnie. Im żywiej krew moja



kraży, im szybsze i mocniejsze ruchy moje, tem ty zdajesz mi się być słabszym, i cichszym, i nie-szcześliwszym! Tak, — okrucieństwem jest trzymać cię dłużej przy sobie! ciebie, uwielbianego lekarza, upadającego pod ciężarem pracy i poświęcenia... Tobie nie dawać spoczynku! odbierać ci krótkie godziny snu krzepiącego!... Mój Boże! idźże, już idź jedyny, jedyny mój!... Co powiedziałam?... jak mogłam «tak» powiedzieć... Prawda, że chora jeszcze jestem... i że tobie... że panu... zawdzięczam zbawienie moje... Ta wdzięczność bez granic... uczyniła cię... panie, blizkim i... drogim dla mnie. Wybacz to zapomnienie form wszelkich. Nie wiem sama, jak mówić... co czynić... jak nazywać?... Naucz mnie, drogi... panie!...

— Dziecię — wyzdrowiasz dopiero — i mówisz do przyjaciela, lekarza, opiekuna twego. O formach mowy być nie może. Stałem się blizkim dla ciebie — a więc zwracaj się jak do blizkiego... póki przy tobie pozostaję — póki cię nie opuszczę. Ale staraj się odzwyczajać ode mnie, usiłuj zapominać o mnie w godzinach mej nieobecności. Wkrótce nie będę ci już potrzebnym, a więc odejdę do tych, którym potrzebniejszy dziś jestem. Czy wiesz, że ludzie się dziwią, wsłuchując się w pogodne nasze rozmowy... że wciąż przychodzę do ciebie... bez potrzeby wyraźnej. Ludzie sądzą, żeś zdrowa zupełnie... że ja nie jestem już lekarzem twoim... tylko... tylko przyjacielem... że... że ja pragnę wynagrodzenia za kurację! Cha, cha!

poczciwi ludzie wszędzie przyzwyczaili się wie-  
trzyć — zyski... Ale dość o tem wszystkim.  
Słyszysz? Ztamtąd już dolatuje szmer nut zwija-  
nych, ostatnie zwrotki pieśni, cichnące fale śmie-  
chu dziewczęcego. Muszę już odejść. Pożegnaj  
mnie spokojnie i wesoło — i uśnij mocno i słodko  
przy matce. A teraz pójdźmy jeszcze na chwilę  
do nich.

— Wszystkie te światła, głosy, wonie wio-  
senne, życie występujące z brzegów — to wszystko  
tylko ułuda, zradne sidła na mnie! Po chwili  
już nastąpi mrok i cisza, głęboki sen — i noc,  
królestwo «jego.» I oto «on» stanie się znowu  
panem moim. I tylko wówczas, kiedy w tych  
cieniach ręka moja spoczywa w twej dłoni, kiedy  
me ramię dotyka twego ramienia, gdy słyszę cię  
mówiącego — tylko gdy ty, jedyny, jesteś przy  
mnie — moc «jego» bezsilną się staje.

— A więc! a więc! każże mi zostać przy  
sobie naprawdę już — na zawsze! Rozkażże mi  
zostać, bo chyba zginiemy już oboje! To prawda,  
że i ja już upadam, że tracę siły w walce z sobą —  
a że jedno, jedno tylko wyjście widzę przed  
nami!... Ja przecież kocham cię, kocham i ko-  
cham! kochałem cię, zanim «on» tu jeszcze przy-  
był i porwał cię dla siebie! Miłość ta tylko  
ogromna natchnęła mnie mocą uleczenia ciebie.  
Dajże mi prawo ostatecznego ratowania ciebie...  
i siebie, jeżeli wolno mi wspomnieć już teraz  
o sobie, — albo odepchnij raz na zawsze —



i gińmy! Czuję, rozumiem, że kilka tylko miesięcy nieustannego czuwania nad tobą uleczy już do reszty twój wstrząśnięty umysł, troskliwość całego życia, zachowa nadwyreżone serce twoje! Nie, wymagam... tymczasem... nic, nic od ciebie, nawet czulszego wyrazu, spojrzenia... nawet, by usta twe ukochane nazwały mnie mężem... tymczasem... tymczasem... tylko może... kochanie moje?... Muszę być albo mężem — albo już odejść od ciebie... O, pomyśl! o, chciej zrozumieć! — krótka już tylko ceremonia — i nic już, nic, nic nas nie rozdzieli! Wyratujemy się może nawet... dla szczęścia... szczęścia wielkiego! jeżeli tylko sama zechcesz... sama zezwolisz... uświadomisz w przyszłości to, co może i teraz już odczuwasz nieświadomie...

— Chcesz, bym została żoną twoją?!

Szepce te słowa, jakby się obawiała ich brzmienia, jak gdyby były one pełne zdrady i świętokradztwa. Pociągła, blada twarzyczka srebrzy się w księżycu wyrazem nadmiernego lęku i zdziwienia. Przygasłe, ciemne źrenice ciskają nagle płomień zgrozy.

Oparty o przeciwległą ścianę — stoi przed nią wysoki, szczupły, młody jeszcze mężczyzna. Ręce skrzyżował na piersi i mocno je przycisnął, tłumiąc pożar czy burzę, szalejącą w jej wnętrzu. Rysy, nawykłe do przybranego i do wywalczonego wyrazu spokoju — na pozór wydają się tylko poważne i skupione, lecz nie zdradzają

namiętnego wzruszenia, które wstrzymuje oddech jego. Rozumne, smutne oczy pełne są tylko pytania:

— Życie czy śmierć?

— Nie. Żoną twoją być nie mogę. Kochałam... i kocham tylko «jego.» Niewolno mi kochać nikogo — i nie chcę, nie chcę tego. Mogłam wprowadzić, złamana, tak mocno wesprzeć się na tobie, żeś i ty nawet się zachwiał!

— Chora — wyzyskałam tylko twą pracę, siły i zdrowie — tyś już prawie zachorzał. Pełna nieszczęścia i niepokoju — zanieciłam nieszczęście i niepokój w twej wielkiej, twej cichej duszy... Ja tylko zabierać, rujnować, niszczyć na drodze swej potrafię, ale nie uszczęśliwiać, nie obdarzać radością, nie rozjaśniać czyjegokolwiek bądź życia. Opuść mnie więc, uciekaj — póki cię jeszcze nie zabiłam do reszty! Pozostaw mnie temu, do którego należę. On żyje i słyszy nas w tej chwili, choć tobie i ludziom się zdaje, że umarł. Żyje, czuwa nade mną... Czyha na mnie!

Z głuchym jękiem przyciska dłonie do czoła — i znowu potok słów z oddechem rwącym się, przyspieszonym wybiega na jej usta.

— Kochałam jego tylko — i kocham dotąd takim, jakim był niegdyś, przed strasznym swoim końcem. Szlachetnym, dobrym i pięknym był — i pełnym świeżego życia — jak burza młodej wiosny. I jako burza ta cudna otrząsa pierwsze kwiaty — porwał i uniósł serce moje. I mawiał



wtedy do mnie: «jeśli spostrzeżesz, że miłość twoja zaczyna blednieć i gasnąć — powiedz mi, a wyrzeknę się ciebie, chociażbym się wił z rozpacz. Nie chcę ofiary i poświęcenia — chcę ognia, a nie popiołów! Chcę darzyć po królewsku, sam po królewsku obdarzony.» A potem tak szybko, tak nagle naleciało straszliwe nieszczęście. I ciało jego i dusza, gorejąc w ciągłych cierpieniach — ciemniały wciąż, łamały się, zmieniały w oczach mych do niepoznania... I wtenczas miłość ma stała się — litością już prawie, litością rozdierającą, bezbrzeżną. A potem nastąpiły ohydne... ohydne chwile! gdy ja wobec ciała tego, rozkładającego się już za życia, wobec rozkładu tej duszy, miotającej się w rozpacz... czułam czasami i wstręt, i strach bez granic! Przy nim, jedynym moim! przy nim, ubóstwianym. Jam go nie poznawała już więcej. Czuwając nad nim, widziałam w nim w ostatnich strasznych chwilach jakiegoś chciwego skapca obcego, który — konając nawet — nie wypuszcza jeszcze z rąk skarbu. Tym skarbem jego ziemskim — ja byłam — i nie chciał mnie on oddać nikomu. I groził mi tak strasznie i błagał mnie tak wstrząsająco, bym pozostała mu wierna, że nawałnica tych gróźb i błagań, tych spojrzeń, to klnących, to żebrzących — tych szarów odlatującej już duszy i tych miotań się... cuchnącego już ciała — w przepaść mnie pograżyły, w tę przepaść ciemną, z której dwa lata próbujesz mnie wyciągnąć —

w przepaść... innego świata!... Nie wiem, czy tylko «on» jeden posiadał moc podwójnego żywota przez wielką miłość dla mnie i dla żywota ziemskiego? czy inni także tę samą moc posiadają i tylko gardzą ziemią z nadziemskich swych wyżyn? Wiem tylko, że kiedy zechce — obcuje ze mną. Obcował dawniej ciągle, nieustannie! Teraz, jak niby zagniewany, i groźny, i mściwy — rzadziej przybywa w odwiedzin... I widzę «go» i słyszę. I lękam «go» się, jak ciemna tłuszczka lęka się bajecznych nieboszczyków! Drzę przed «nim» — tem jasnym słońcem niezapomnianej przeszłości. Wydaje mi się, że dłoń jego zimna wciąga mnie w jakieś nurty bezbrzeżne innego świata, nieobjęte śmiertelnem mem okiem. I dusza moja, ta jeszcze ziemska dusza moja — wzdryga się w obecności przeobrażonej śmiercią, wszechwiednej, bezbrzeżnej duszy jego — jak drżałoby ciało moje od dotknięcia martwego ciała. Progiem, który nas dzieli — śmierć moja. Gdy go przebędę — ustanie może strach mój i boleść — i wrota szczęśliwości otworem dla nas staną... Lecz teraz już nie posiadam spokoju waszej nieświadomości, ale i nie posiadam, tak jak on, wszechwiedzy świata tamtego. Zalękła, drżąca, złamana i samotna, stoję na dzikim jakimś rozdrożu — pomiędzy nim a wami!... A teraz — opuść mnie natychmiast! Teraz już pragnę sama, żądam tego!... Nie chcę, byś cierpiał w mych oczach, gdy cierpieniom twym ulżyć nie mogę...



Ty zaś... tyś się pozbawił prawa — ulżyć moim, gdyś odkrył mi duszę twoją... Dzięki za wszystko — coś uczynił... Daj mi dłoń ucałować, pozwól! — i odejdz!

— Lilijko moja złamana, jaskółeczko moja ranna, sarenko moja przestrelona!

Nizkie, melancholijne dźwięki jego głosu brzmią nieprzebraną czułością i rozplywają się w żalu namiętym...

— Zostawaj w spokoju!

Cichną powolne, ciężkie, chwiejące się kroki. Rozmijają się z niemi szybkie, lekkie i pewne.

— Mateczko! on odszedł już na zawsze?! Na zawsze? Och... bo on chciał zostać przy mnie na zawsze! — szepcą bolesne, blade usta.

Drżące ramiona oplatają szyję matczyną, rozpaczliwe łkanie rozlega się w cichości.

— Odszedł! a «on» przybędzie!

### III.

Na białym tle posłania ciemne, splątane pierścienie rozplyniętych warkoczy — okalają bladą twarzyczkę niby fantastyczny wieniec cierniowy. Zdaje się być uśpioną. Przenikliwy, ale znużony wzrok matki bada jeszcze przez chwilę spokojne już na pozór, wypogodzone w cichym śnie rysy. Zdudzenie prawdy zdumiewające. To też pogoda i spokój wybijają się coraz wyraźniej na smutną

twarz kobiety, a sen zagłada coraz-to natarczywiej do tych wyblakłych oczu, w których oddawna już tylko blaski łez gościć mogły. Jeszcze chwila oczekiwania, jeszcze parę spojrzeń badawczych, i oto podnosi się z miejsca, wstrzymując oddech — i, stąpając na palcach, oddala się w głąb pokoju.

Komedia więc skończona. Wielkie otwarte źrenice, dziecinnie przerażone — niby pisklęcia spadającego z gniazda — odprowadzają cichy cień matki. Przykrywają się jednak śpiesznie powieką — i pozostają zamknięte, dopóki lekki szmer w głębi nie ustaje i cichy oddech śpiącej nie rozlega się w przyciemnionym pokoju. I wtenczas znów te ciemne wielkie oczy zakreślają błyskawicę płomienną w mrokach, dzierzganych gdzieś światłem miesięcznym i nikłym blaskiem przysłoniętej lampki. Z białego łoża porywa się gwałtownie precudna postać dziewiczka — i, przykleknawszy, otula się z pośpiechem w szerokie, ciężkie fałdy płaszcza, zawieszzonego na poręczy. I tak schylona, korna, drżąca na całym ciele, na klęczkach, zamiera w oczekiwaniu.

Oto potężny i dziwny jakiś powiew, niby wielkich skrzydeł puszystych i lekkich, niby ogromnych rozkołysanych gałęzi, kąpiących kwiatem — raptownie gasi nikłe światelko sztuczne.

Przy samem uchu klęczącej rozlega się głęboki, cichy głos.



— Na ziemi godzę się tylko na słońce lub na księżyc. Widzę cię jednak nawet i w mroczkach najgłębszych... Nareszcie jesteśmy sami. I ty drżysz znowu, bo «upiór» przyszedł do ciebie, «widmo,» «strach nocny,» «nieboszczyk!» Cha, cha, cha! A wtenczas przemawiałaś — jak «biała gołąbka:» Nie wierzę, abys mógł umrzeć zupełnie! duch twój przemoże śmierć twoją! dusze nasze poślubią się i porozumieją się zawsze i wszędzie!» Gdy zaś naprawdę, silny miłością i wolą, duch mój się otrząsł ze zgniłej ziemskiej powłoki — i zakosztował górnego życia duchów górnych, przykułem go znów do ziemi tą samą wielką potęgą olbrzymiej miłości mojej. Nowe swe życie oddałem znowu tobie, do gliny ziemskiej przykutej! Ale ty tylko glinianego człowieka pojąć i kochać możesz! Musisz oglądać go, dotykać i słyszeć, lecz wyzwolonego, swobodnego ducha — ty odczuć nie potrafisz! Więc dusza twoja już nie wyciąga ku mojej ramion spragnionych, ale się kurczy w strachu nikczemnym, jak nędznie naiwna duszyczka wiejskiej dziewczuchy, gdy straszą ją widmem topielca!... Serce twe ściska się śmiertelnie i boli... Cierpisz! Och, jakże cierpisz! Bo ja przecież czuję najdrobniejsze cierpienie twoje! Ty, cudny rajy mój przyémiony! Nie trwóż się, nie drzyj, nie rozpaczaj! błagam cię, wybacznij ognistą gorycz wyrzutów moich! Jam winien — tyś niewinna. Wymagam od ciebie mocy nadczłowieczeństwa, które śmierć tylko

daje!... Nie chcę, ażeby odleciał ku mnie duch twój, stargany męką. Zwolna, pogodnie, na białych skrzydłach tęsknoty i rozmarzenia, podąży on za wybranym. Nie chcę — by twe przepiękne ciało wiło się w męce, każdy nerw targał się i naprężał, a krew burzliwym płomieniem rozszarpała ci serce. Nie lękajże się, nie lękaj! zaklinam cię na przeszłość naszą błogosławioną! «Lilijko moja złamana, jaskółeczko ranna, sarenko przestrelona moja!...» Silny i mocny — nie mam sił rozstać się z tobą! Wyteścniiony, rozmiłowany — nie mogę cię opuścić! O, zlitujże się nade mną! Odczuj i poznaj ukochanego twego!

— Ten sam jestem przy tobie, któremu w podobną noc majową, nie śmiać szeptać wstydlivymi usty, duszą całą jednak wołałaś: «wybrany mój, najmilszy, najszlachetniejszy wśród wszystkich!» O, może cię ośmiele, może przyciągnę do siebie, gdy mignę przed oczami twemi chwilowym cieniem przeszłości! Patrzże, patrz na mnie! poznaj! ukochaj nanowo! Upadnij z drżeniem szczęścia w objęcia moje! Przybywam na schadzke miłosną do ciebie, władczyńni moja — widzialny i dotykalny! Patrz na mnie! Pójdźże! pójdź w moje objęcia!

Woń nieznanego kwiecica okala rozwiewnym obłokiem białą, mdlejącą jej postać. W pół-mgle, w pół-mroku wykwiata jasność przejrzysta i drżąca, sfalowana, jak wielolistny, bujnie rozkwitły olbrzymi kwiat mistyczny. I w światłokręgu ja-



sności tej wonnej a drżącej — widzi zdumione jej oko bajecznie cudne a ukochane zjawisko nadziemskiej piękności, nadziemskiej, zda się, mocy — i czaru niezemskiego. Korona z czarnych kędziorów ocienia przeczyste, zadumane czoło. Wzrok, pełen nowej nadludzkiej potęgi, ale pełen zarazem znanego ognia miłości i najgorętszej pieśzcoty. Usta półrozchylone jeszcze dźwiękami zamierających błagań i zaklęć namiętnych. Mgła księżycowo-błękitna, niby chiton srebrzysty — odziewa smukłą postać młodzieńczą. Od ramion... czy-to skrzydła lśniące a seraficzne — czy tylko zwoje promieni, rozplywające się w górze?...

— To on! z ich dawnych wieczorów majowych, z pierwszych chwil cudnych uniesień wiosennej ich miłości. To on! lecz tylko przekrólewiony życiem nadziemskim, uskrzydłony potęgą innego świata.

I oto wobec zmarłego króla tego — czuje się biedne dziewczę prochem ziemi. I czuje przed nim lęk taki, jak niewolnica sprowadzona przed oczy padyszacha. Skinienie jego rozporządza jej losem. Więc gdy niezemski ten królewicz wyciąga ku niej władcze i słodkie ramiona — krzyk pełen zachwytu i przerażenia zarazem pierś jej na dwoje rozrywa.

\* \* \*

Po chwili inne ramiona, drżące, lecz ciepłe i macierzyńskie, tulą ją, omdlałą i bezsilną.

#### IV.

— Skrzywdziłaś mnie wprawdzie mimowoli. Ale możesz naprawić złe świadomie i dobrowolnie. Gdybym wiedział, że krzywdy tej nagrozić mi nie zdołasz, albo uczynić to tylko możesz nadto drogim kosztem — może-bym jeszcze wywalczył sobie stopniowo spokój i równowagę. Ale to przeświadczenie, że ty nietylko możesz, lecz i powinnaś nawet mi powetować wszystko, co poświęciłem dla ciebie — i że tylko tą drogą znajdziesz ratunek dla siebie — to przeświadczenie szczególnie dręczy mnie i zabija wobec twej... zaciekłości i okrucieństwa względem siebie samej, matki, ojca... i mnie nareszcie. Dlatego tylko, że płyniesz z nami w jednej łodzi — ośmielasz się, jak zbrodniarz samobójca, odpychać ją od brzegu kwitnącego ku skale, aby, szukając śmierci dla siebie — rzucić w jej szpony inne ofiary!... Prócz «niego» i prócz «ciebie» — byli jeszcze na świecie i inni ludzie, obdarzeni, tak jak i wy, zapewne pojęciami o szczęściu i nieszczęściu, o męce i o spokoju, o krzywdzie i o sprawiedliwości. Byłem i ja, naprzykład, na waszej drodze, po której kroczyliście upojeni waszem świętem bogów. Obaliliście mnie po raz pierwszy



nie z waszej winy. Podniosłem się zraniony i odzyskałem z trudnością siły. Odtąd znane mi tylko były gorycze własnych trosk i pracy, słodyczne pociech, niesionych cudzej niedoli. Lecz teraz, kiedy upadam, po raz drugi strącony z drogi waszej — czuję, że już nie wstanę. Bo teraz w tobie tylko skupiła się dla mnie cała ludzkość cierpiąca, jak gdybyś była najżałośniejszym jej symbolem. Z bólu swego zmartwychwstałaś, narodziłaś się raczej — na piersi mej cudotwórczej miłością. Mamże cię z ramion wypuścić — byś znowu się staczała w tę bezdenną przepaść?... O, droga! o, jedyna moja! «On» tylko jest przeszłością twoją — i tyś dawna, przeszła, wraz z nim żyć przestała, — pod białym, cichym wraz z nim spoczęłaś sarkofagiem cichego, bolesnego wspomnienia... Ale ta inna, ta nowonarodzona — do mnie należy tylko! Stworzyłem ją na nowo, zbawiłem i ocaliłem: a więc ja, twórca, domagam się dzieła rąk swoich — dzieła, które dokończyć jeszcze muszę, bo w gruzy znów się rozsypie, zanim je odbuduję do szczytu. Tyś moja! tylko już moja! Pozwól mi się uzdrowić, pozwól mi żyć przy sobie!... Przyszłość — przyszłości zostawmy. O, milcz, zaklinam cię! ani słowa! O, niech ci się nie wyrwie żaden wyraz protestu, żadne postanowienie złowrogie! Cicho!... cicho tymczasem o przyszłości. Jej tajemnicze, jej święte podwoje zamknięte jeszcze przed nami! Nie wdzierajmy się do nich! — to świętokradztwo. Słuchaj

mnie — ty, śnieżna lilijko moja! tylko na rozkaz królowej mógłby niewolnik twój cichy podnieść do ust spragnionych czarę rozkoszy! O, błagam cię, błagam, kładąc się u stóp twych żebrzącym, złamanym już duchem — ratuj mnie, pozwalając się ratować! Rozkazuję ci nawet i grozę — śmiercią swoją! Bo jeśli mnie odepchniesz — ulegnę już pokusie spoczynku i spokoju. Siły już tracę w męce, a przecież-em nie zaznał, jak tamten — ani chwileczki szczęścia. Przeszedł on po różach krótki szlak życia, usnął w objęciach twoich! Snem prześnionego szczęścia może i dotąd ukazywać się tobie! A ja? jak-bym ja ci się mógł ukazać? Zdeptany, wzgardzony, odepchnięty!

— Tak! szala, ogromna, ciężka szala — przeważa się, przepęlnia i ciągnie mnie z sobą, jak piórko, nieprzytomną i oślepioną. Schylam się pod ciężarem tej szali. Idę więc na twój — i na wasz rozkaz, rodzice. Placę wam dług mój, jak przez sądy skazany wierzyciel. Pamiętajcie! zmuszona, ulegam sile, przemocy sprawiedliwości. Nie zdradzam wcale «jego» — lecz tylko pragnę zachować przy sobie lekarza i sługę mego — dla wygody! Kocham tylko tamtego — i wcale nie oszukuję własnego sumienia... bo nie kocham niewolnika mego, Konrada. Nie kocham go, tylko że ja... żyć bez... bez usług jego nie mogę!



V.

Usypia pod cichym, rozmodlonym wzrokiem, z dłonią utuloną w ciepłych i mocnych dłoniach...

Budzi ją straszne wstrząśnienie. W pół-mgle, w pół-mroku goreje i pali się potężny płomień groźnych źrenic. Uczuwa dłonie swe drżące w kościstym, kurczowym uścisku zimnych dłoni. Uczuwa oddech chrapliwy i cuchnący i słyszy głos urwany, pełen konania i gniewu:

— Moja! tyś tylko moja! Zastawiono na ciebie zasadzkę, zdradliwe sieci! Jak wymógł nowy twój wybraniec zgodę na ceremonię ślubną — tak też uzyska podstępnie i miłość twoją. Wykwitnie ona z wdzięczności i przywiązania — i rzuci cię w jego objęcia! Tyś się zgodziła! Ha! — ale ja się nie zgadzam! Nie puszczę! nie dam! odepchnę!... Przyjdę! poślubię cię! poślubię!

— Konradzie! O, Konradzie!

— Cicho, cicho, jedyna moja! Ja tu! ja tu przy tobie!

VI.

— Włóż, dziecko moje, białą sukienkę i welon — i przystrój warkocz w wonny kwiat pomarańczy. Przysłał go Konrad, świeżo rozkwitły, nie martwy, nie sztuczny. O, zróbże to dla Ko-

rada! On tak niezmiernie dobry... Odrzuć żalobę, bo rani ona nas wszystkich w samo serce. Matka jego już taka słaba, taka wiekowa staruszka! To ja i ona uszyłyśmy ci własnoręcznie ten skromny strój śnieżno-biały. Dla niej i dla mnie, i dla niego uczyni to, dziecie jedyne... Żadnej wystawy i żadnych świadków, prócz obu rodzin naszych. Czy wolno też będzie naszemu kochanemu, naszemu wielkiemu przyjacielowi i wielkiemu artyście, zagrać ci na kościelnych organach? On tak kojąco, tak słodko umie przemawiać do ciebie w czarownym swym języku...

— Róbcie co chcecie, najdrożsi. Ja nic zapewne widzieć i słyszeć, i czuć nie będę — taka już bierność nieprzebrana ogarnia istotę moją...

VII.

Boczny ołtarz starej świątyni wydaje się słabym ogniskiem, roznieconym wśród białych trzonów pysznego lasu kolumn. Zaledwie kilka kandelabrow migoce na mrocznym tle kościoła — i tylko gdzieś w wyżynie nawy, pod łagodnymi arkadami, zamiera słaby lazur, ostatnia barwa dnia gasnącego. U dołu wielka ciemnia, a w niej, jak jedna wielka iskra, świeci się ołtarz koronką kamienną bramowany.

Stała właśnie przed nim szczupła grupa ludzi. Na przedzie wysoki mężczyzna, nieco po-



chylony — niby troską i niepokojem, niby wielką czułością opiekuńczą dla wspartej na nim istoty białej, lekkiej i wiotkiej, jak seraficzne marzenie.

Po przez chmurkę przezrocza zasłony prześwieca profil, niezwykle czysty i piękny, ale zmącony dziwnym wyrazem pół-lęku, pół-bolesci. Po ustach, dziecinnie małych i świeżych, błąka się czasem uśmiech, wywołany słowami otaczających, ciepłą pieśczętą ich wzroku. Lecz oczy wielkie, błyszczące i trwożne — toną co chwila w olbrzymich falach mroku, z których wypływa ołtarz złoty, jak złota arka Noego. Woń słodka a namiętna ślubnego kwiatu, kadzidło oblubieńców, ściele się pod stopy kolumn, wzbija się wiewnym obłokiem ku ciemniejącym w górze lazurom.

— Veni, creator spiritus!... — brzmi cichy, drżący głos starca księdza.

— Veni, creator spiritus! — powtarza za nim błagalny i uroczysty głos bez wyrazów, lecz wyrazistszy ponad wszelkie wyrazy.

I zdaje się białej oblubienicy, że tam, pod ciemne te filary, zabłądził syn jakiejś puszcy przedwiecznej, przedwiecznie rozkochany w księżycu, gwiazdach i niebie. Naiwny i dziki zarazem, proroczko płonący i trwożny — szuka pod szafirową zasłoną oblicza Pana zastępów.

— Ukaż się, zaświeć ziemi, o, Władco ubóstwiany! — wzywa ten pieśniarz prastary, tłumiąc potężne fale głosu bojaźnią korną, lękiem świętym — i jeden ten świeży, mocny, ale łagodny

głos zdaje się być całym chórem anielskim, zamierającym w oddali. Wreszcie ekstaza ubóstwienia przemaga. Głos zda się płonąć wielkimi żarami, coraz potężniej grzmi w górze, i wreszcie harda jego kaskada wzbija się świętokradzko aż przed sam tron niebieski — i nagle kona, rozbita o stopnie jego brylantowe...

— Z własnej nieprzymuszonej woli...

Gwałtowny wicher nagle wstrząsa ołtarzem. Znowu ten sam niby łopot skrzydeł, — czarnych i tajemniczych, nocnego ptaka — olbrzymia — pędzi przed sobą ów złowieszczy wicher. Chłód przejmujący, wilgotny rozwarłej ziemi owiewa drżące ciało dziewczyny. W mroku goreją znowu źrenice pełne piorunów, wołają usta klątw pełne.

— Bądź potępiona! o, bądź przeklęta, marna zdrajczyni!

— Ty! Ty znowu!... Boże! Boże! — nieludzki krzyk rozlega się w świątyni.

— To ja! to ja przy tobie, kwiateczku mój biały. Cicho, aniołku mój żalony! Unoszę cię już w ramionach, tułę, osłaniam cię, bronię ciebie. Już koniec, koniec wszystkiego! Na zawsze już pozostaję przy tobie! O, prędzej, prędzej z tych wilgotnych mroków — na światło prawdziwe!...

— Aniołku mój, kwiateczku mój biały! Tyś moja już, tyś moja — poślubiona! Nikt cię już mi nie odbierze! Nikt już nie stanie między nami.

Umilkły śpieszne, urywane słowa kapłana uciłchy klątwy i groźby w mrokach nawy — i tylko



cichy, słodki, nadziemsko-cudny głos brzmi przy niej coraz wyraźniej, szepce miłośnie i błaga:

— Pójdź ze mną, królowo biała moja! Tyś moja, zawsze tylko moja!

Dziwny ten głos ucisza bicie jej serca. Zamiera ono słodko i milknie, jak trwożny gołąb, kryjący się w kwiatach.

— Zwalczyłem ziemskich rywali. Pójdiesz ze mną, podzielisz królestwo moje, oblubienico nadziemska.

Pełna zdumienia i lęku patrzy przed siebie rozszerzonymi źrenicami. Wzrok jej oślepia nagle jasność, utkana z tęczy i różowych obłoków, ze złotych promieni słońca, ze srebrnych mgieł księżycowych.

I w tej jasności, jaśniejszy i promienniejszy od wszystkiego — pochyła się ku ukochanej swojej on, zmarły jej królewicz. Ramię jego otacza jej kibić, pełne tęsknoty i pragnienia boskie źrenice jego toną w jej oczach niewolniczych, pokornych... Pochyla się i składa na ustach jej pocałunek, błogosławiony, jak rajtu tchnienie... pałacy jak płomień piekła.

— Nareszcie tyś moja niepodzielnie!

Pan młody-wdowiec stoi przez chwilę milczący i zastygły. Oczy jego odprowadzają spokojnie białe, wysmukłe ciało, unoszone na bar-

kach czarno-ubranych ludzi. Przeciągły, nieustający, okropny krzyk kobiecy, nie budzi go z zamyslenia, nie wzrusza go wcale.

I wreszcie mówi cicho, lecz wyraźnie do tych, co go otaczają:

— Natychmiast «ich» dogonię.



# UWIENCZONY.

OPOWIEŚĆ GRECKA.

## I.

Imienia jej, Laodika, nikt w Sparcie już nie pamiętał, i zwano ją powszechnie Afrodyta, dla niezrównanej urody. A była też tak zimną i tak nieprzeniknioną jak marmurowa bogini, z którą piękność i imię dzieliła. Gdy kazano jej wstąpić w dom męża, wchodziła w progi jego jak dumna niewolnica. A jednak każda z dziewic Lakonii poczytywałaby sobie za szczęście stać się małżonką Antenora. Wódz ten spartański zwycięzcą był wślawionym Messeńczyków, — ostatniej zaś olimpiady uwieńczono go na igrzyskach, i w skromnym domu swoim zawiesił chlubną koronę z liści oliwnych. I jako z twarzy takim być musiał sam Febus, gdyby ten boski młodzieniec mógł lat trzydziestu osiągnąć, tak swoją mocną postacią był Heraklesowi podobny. Pod puklerzem zaś hartownej piersi swojej krył serce wielką miłością

płonące dla Laodiki. Ale, wstępując do komnat, gdzie piękna małżonka jego przędła w gronie służebnic, strzegł się, by tych zdradliwych płomieni nie rzucił mu do oczu podstępny Eros. Mężowi Sparty nie przystało bowiem zdradzać tych błahych uczuć wobec niewiasty, gdyż wszystkie głębie ducha i serca skłonności — ojczyźnie tylko winien poświęcać! Nie zajrzał też on nigdy w toń lazurowych jej źrenic, — by poznać jaką myśl odbijają. Nie przebił bystrym wzrokiem śnieżnego łona, — by zbadać jakie serce w niem mieszka. I taką być mu się wydawała, jak każda mężstwem ducha i mocą ciała chlubiąca się obywatelka Lakonii. I stała w myśli jego w tłumie Spartanek, tak od nich nieodmienna, tak im siostrzana, iż tylko boskością ciała różnić się od nich mogła. Wierzył też niezachwianie, iż gdyby liczne zastępy wrogów wpadły do kraju — niosłaby ona pomoc w bitwach mężowi. A gdyby wracał zwycięzki — zwycięztwo by świeciło i na jej czole. A gdyby poległ za Spartę — wyszłaby na spotkanie uwieńczonego ciała, z radością Penelopy, spotykającej Odysseusza. A jeśli synów mieć będzie — będą tak mocni i piękni jak młodzi Heraklesowie. I jaśniejąca, poda im zbroję do pierwszej bitwy, jako szatę weselną na gody.

Więc kiedy wracał Antenor po zmudnych trudach wojowniczego Sparcjaty, wzrok jego błogo spoczywał na rzeźbionej postaci Afrodyty. Lecz



tyle znał duszę niewiasty tej smutnookiej, co każdy inny spartańczyk, całkiem domowi ich obcy.

Nastąpił wreszcie dzień dawno pożądany, w którym Antenorowi syn się urodził. Usłyszał o tem, wracając z ćwiczeń bojowych w górach Tajgetu. Towarzyszący Sparrejaci rzekli mu wten czas:

— Mąż przyszłej sławy narodził się dla Sparty. Syn Antenora i Afrodyty podobnym być musi Heraklesowi. W tej chwili już zapewne mógłby zdusić węże w kolebce, gdyby chciały przypłynąć z morskich otchłani.

Wzrok dumnie błysnął Antenorowi; lecz pohamował chęć podwojenia kroku i ze zwykłą powagą szedł ku swemu domowi. I przestąpił te ciche progi ze szczęśliwością w sercu. I szedł do łoża Afrodyty, zdumiony, iż spotykało go milczenie sędziwych niewiast jego rodu, otaczających młodą matkę. Żaden promień radości nie gościł w surowych ich oczach, a ponure westchnienia wznosiły hartowne ich łona.

Gdy schylił się nad łożem, małżonka jego drgnęła, jak ptak przerażony. I uniosła się na posłaniu, tuląc w ramionach niemowlę. Dziecię to było drobne i nędzne, kwilące jak chore piskłę. I spojrzął na nie ojciec, a brwi mu zbiegły się groźnie, jak chmura siejąca gromem, a usta jego rozchylił uśmiech gorzki i pełen wzgardy.

— Nie, na Aresa! nie zdusi to niemowlę gadów w kołysce! Samo jest jako gad miękkie

i giętkie, jak gdyby kości nie miało. A skóre ma tak żółta, jak gdyby nie krew człowiecza, krew purpurowa, ciekła w żyłach jego, lecz biała tylko i zimna krew tych tworów nikczemnych, które istnieniem swem plugawią ziemię świętą! I głos też nędzny konającego pisklęcia porusza wązką i zapadłą pierś wyrodka. I jedno ramię skrzywione i wysokie, jakby uraga drugiemu, jak gdyby mieczem ściosanemu. I nad drobnymi sinemi ustami, co kryją się, jak starcze, wśród licznych zmarszczek — tkwi wielkie czarne znamię rodzime, niby złośliwa igraszka nad bólem ojca i wstydem!

I cisnął drwiące spojrzenie na Laodikę wyniosły jej małżonek — i rzekł, odchodząc z pogardą:

— Gdybym nie czcił praw Likurgowych, cisnąłbym tego wyrodka w którąś z przepaści Tajgetu, by się tam rozprysł jak dzban gliniany. Lecz nie wolno mi ukryć tej hańby. Jutro, jeśli nie skona tej nocy z łaski mych bogów opiekuńczych, sąd starszych odeśle je do perjojków, pastuchów — pierwszego potomka Sparcyatów naszego rodu! syna męża uwieńczonego w Olimpii!

Zaśmiał się gorzko — i szybkim krokiem opuścił dom swój ponury. I oddalały się za nim kolejno niewiasty, aż pozostała tylko samotna Laodika z niewolnicą messenką.

Schyliła się nad dzieckiem i bladą twarzą przylgnęła do drobnej główki, miękkiej jak kie-



lich kwiatu. Dziecko jęczało przeciągle. Wtenczas ży jej poczęły spadać na zmarszczone policzki nędznej istoty, a ona wciąż tylko jęczała i jęczała.

I oto matka porwała się z łoża, jak gdyby ją ktoś z tamąd ściągnął mocną dłonią, i stanęła z okiem płonącym, chwytając powietrze spieczonymi usty. Ży zgorzały na rozpalonej jej twarzy i oschły, a nędzne dziecko swoje tak przycisnęła do łona, jakby je chciała pod sercem udusić. I wykrzyknęła głosem orlicy, której wydzierają pierwsze pisklęta:

— Umrzyj, umrzyj tu przy mnie, zanim cię wyrwą z rąk moich!

Ono jęknęło jeszcze boleśniej i główka mu się w tył odchyliła, jak pączek usychający, a ciało zwisło, jak zwiędła łodyga. Wtenczas zachwiała się i położyła je na posłaniu dłonią słodką, pieszczącą — i padła na ziemię przy łożu i razem z niem płakała. A niewolnica messeska siedziała nieruchoma jak filar, na którym się oparła.

A w głuchej nocy Sparta spała.

I w ciszy tej tłoczącej, jak głąz grobowca, wśród jęków tych żałosnych, ozwał się głos messenki:

— Dziecię słabe, ułomne... Lecz może-by jeszcze żyć mogło i wzrastać. Ale w kraju waszym okrutnym — zginać koniecznie musi. W złej chwili, gdy zbudzi krzykiem znękaną pracą żonę perjojka, zepchnie je ona w przepaść i powie, że umarło...

Laodika podniosła głowę, schwyciła się za poręcz łoża i patrzyła na niewolnicę wielkimi zrenicami.

A ta mówiła dalej, objawszy w splecione dłonie kolana, z uśmiechem gorzkim na ustach i z błyskiem gniewnym w oczach.

— Któż o nie nawet zapyta? Dla żelaznego Sparcjaty i dla małżonki jego, wyciosanej z głązu — byłoby poniżeniem pamiętać o tem «śmiciu.» Słabość ciała jest dla was równie wstrętną jak i nikczemność duszy. Potwornem jest wasze państwo, jakiego niema w Helladzie. A matki wasze tyleż serca mają dla własnych dzieci, co gady, pożerające swe młode zaraz po urodzeniu! Oby runęła Sparta w przepaście Hadesowe!

Okrzyk wielkiego lęku przerwał jej mowę. Laodika stanęła przed nią, gniewna jak burza. I schwyciła messenkę za ramię dłonią mocnego męża — i odrzuciła ją pod ścianę z taką siłą, że nikt-by się nie domyślał, iż ta niewiasta z łoża boleści powstała.

— Nie lżyj ojczyzny mojej, której żaden z krajów Hellady nie dorósł, córko zdeptanej Messeny! — mówiła groźnie. — Nie dręcz płonącego w żalu serca mojego. Nie jestem wyciosaną z kamienia, jak śmiesz sądzić!

A messenka, klęcząca u stóp jej, — odrzekła głosem rzewnym:

— Miałam dziecko i miłowałam je gorąco, ale śmierć je zabrała w dni złote wolności mojej.



Żałuję wszystkich dzieci niewinnych i drobnych, i śmierci przeznaczonych. I gniew me serce zapala przeciw tym, którzy je gubią...

Ale niema gniewu w mem sercu dla ciebie, pani moja, choć mię poniżasz, jak zwierzę! Bo widzę, iż niepodobna jesteś do niewiast kraju twojego... Ty płaczesz jak messenka, jak megaryanka, jak każda zwykła niewiasta grecka, gdy dziecię jej źli ludzie albo zła śmierć porywa. Tyś niepodobna do tych okrutnych posagów, które przed chwilą mroziły ciebie spojrzeniem meduzowym, gdy litość nad własnym dzieckiem płynęła ci łzami serdecznymi... Obie matki — twoja i Antenorowa, gdyby mogły, udławiłyby to piskłę, byle tylko ukryć przed Spartą, że wnuczę ich wyrzucą do Tajgetu, jako niemocne i nieurodziwe! Przy mojem chorem dziecku matka męża i moja trawiły noce bezsenne, oddechem je rozgrzewały, póki go śmierć nie zabrała — ta śmierć, co mi zabrała ojczyznę, rodzinę i wolność.

I zamilkła młoda niewolnica, i wpatrzyła się z rozpaczą w jasną przeszłość swoją. A Laodika zsunęła się na ziemię u łoża swego i głowę położyła przy dziecku płaczącym, i oczy łzawe przymknęła.

Niemowlę stoczyło się na brzeg posłania, splecione w fałdach szat, które je okrywały. I nasunęły się te szaty na ciemną główkę jego i oczy mu przykryły, a słaba rączka, w nich zaplątana,

boleśnie się podwinęła. Krzyczało więc przeraźliwiej niż przed tem, lecz zdawało się że matka tego nie słyszy. Wtenczas messenka, powstawszy z ziemi, cichym krokiem zbliżyła się do łoża i wzięła dziecko w ramiona, kołysząc je i utulając. Laodika wydawała się wciąż śpiącą.

I myślała już smutna niewolnica, że pani jej i dziecię konają: więc przyklekła z dziecięciem przy nieruchomej niewieście, zatapiając trwożne spojrzenie w jej twarzy. Lecz uczuwszy tchnienie jej nad sobą, Laodika otworzyła oczy jasne, jak djament i djamentową mocą błyszczące. Podniosła głowę i, kładąc rękę na ramieniu messenki, powiedziała głosem spokojnym i niezmaconym przez najłżejsze nawet drżenie:

— Messenko! jeśli wraz z dzieckiem nie umrę tej nocy, wykradnę je i ucieknę w góry Tajgetu. Gdyby zaś mię dognano, rzucę się wraz z niem w przepaść. Jeżeli zaś wspomogą mię bóstwa dobroczynne i moc mi dadzą, ukryję się w głazach i krzakach, a potem pójdę precz z ojczyzny mojej... Potworną matką nazwą mię wtedy w Sparcie, hańbą okryją, przekleństwo poślą w me ślady; a jednak wykradnę je i ucieknę, chociażby niebo przebiło mię piorunami, a ziemia pochłonęła w czeluści swoje!

Okrzyk na pół drgający radością, a na pół trwogą, wyrwał się z piersi messenki.

— Pani moja! mężniejszą byłabyś nade wszystkie niewiasty Sparty, chępiące się, nie



mocą, lecz okrucieństwem serc swoich... Ale powstajesz z łoża boleści... czy wytrwa piękne twe ciało? Mocnym było, jak młode drzewo, lecz teraz złamać się może, po słabości. Czy znajdziesz siłę rzucić ojczyznę, dom i rodzinę? Czyż zniesiesz myśl o pogardzie, którą wysła w twe ślady?...

— Messenko! nie zniosę tej tylko myśli jedynej, że główka ta słodka, mięciuchna, — rozpryśnie się o skały, że blade te usteczka skonają i zwiędną z głodu, że ciało to drobne zsinieje z zimna i zginie skostniałe, lub przytłoczone w gniewie stopą okrutną... Tej myśli znieść nie mogę. Gryzie mię ona, jak zła wilczyca, pije krew moją, jak harpia — i z mocą nieprzepartą wypycha mię z domu. Czy pójdziesz ze mną?

— O, pani! tak dawno pragnę ucieczki i tak gorąco cię żałuję! Poszłabym w twoje ślady i może-bym ci wskazała drogi nieznane, szczeliny gór ukryte zaroślami, o które wypytywałam zakutych niewolników, ziomek moich... Lecz lękam się i wzdrygam! Jeżeli zginiesz? Jeżeli zginiesz?!

— Opuść mię wtenczas, a dziecko rzuć do przepaści i uchodź do Messeny. Na twojem miejscu dawno-bym do ojczyzny uciekła, albo umarła tutaj.

— Uchodźmy więc, mężna pani moja!

I niewolnica złożyła na kolanach Laodiki dziecko znużone płaczem, ucichające. Lekka, jak

smukłe cienie, co śladem jej migotały na ścianach, błędziła po śpiącym domu — i zawijała w chustę odzież i strawę. A młoda matka przycisnęła dziecko do piersi... Nagle okrzyk radosny łono jej podniósł. Słabe niemowlę, co dotąd piersi nie dotykało, wzięło ją po raz pierwszy i chciwie, i długo pić zaczęło. A na błądą twarzyczkę jak gdyby Eos przejasna różane kwiaty rzuciła i drobne usta purpurą malowała. Po chwili bóg snu słodkiego złożył swój pierwszy pocałunek na drżących i znekanych powiekach niemowlęcia: skleiły się mocno i błogo. I tak leżało w ramionach matki różowiejące i życiem owładnięte, jakby wskrzesiła je swoim tchnieniem bogini Afrodyta, szczęśliwa matka Erosa.

I oto w nocy głębokiej stanęły dwie niewiasty nad Eurotasem, przy łodzi przewoźnika. Jedna z nich niosła na głowie smukłe naczynie gliniane. Druga, w szeroka szatę przybrana, wspierała się na ramieniu towarzyszki.

— Kto błędzi tu w środku nocy? — zapytał senny przewoźnik, gdy go rozbudziły.

— My, niewolnice obywatela Antenora. Małżonka jego słaba, kapłani zaś kazali narwać w nocy, w dolinie, na tamtej stronie Eurotasu, trawy leczniczej — i zmoczyć ją w nurtach rzeki, i chłodzić nią płonące czoło pani naszej. Śpieszmy się; wieź nas co rychlej, gdyż pilno nam wracać.



I położyły pieniądz na dłoń jego. A gdy przewiózł niewiasty na drugą stronę, dążyły one zwolna ku górcom, zatrzymując się i spoczywając. Nad ranem zaś zapadły obie w przepaściste głębie Tajgetu.

## II.

W wigilią dnia pierwszego tej olimpiady jakby dwa tłumy rozmaite zaległy święty gród Elidy — i jedną wielką świątynię nad świątyniami — w przejasnej Olimpii. Jakby dwa tłumy rozmaite: jeden zlepiiony z marmuru i bronzu, i z kości słoniowej, a drugi z gliny ziemskiej, jako Pigmalion i Tira, z których się też narodził. Lśniące śnieżnymi i złocistymi ciałami posągi bogów i czczonych bohaterów, i dawnych zwycięzców igrzysk roily się wśród gajów olimpijskich i u stóp Zeusa — olbrzymia, i wpośród cudnych placów ołtarza Grecyi — Altisu; wznosiły szlachetne czoła na piedestałach wysokich, siedziały na rzeźbionych tronach, wspierały się o smukłe filary i kłęzczały pod arkadami wielkich i drobnych świątyni. A wśród nich falował i krążył, wielbiąc i podziwiając, tłum nieprzejrzany śmiertelnych. Z surową twarzą, przybrany w krótki chiton ciemny, — stąpał z powagą władcy Peloponezu — obrońca jego, spartańczyk. Jako domu pierwszego w całej Helladzie gospo-

darz, który otwierał gościom przeróżnym nietykalne i czczone podwoje, ze spokojną godnością zarządzał tłumem eleuzyjczyk. Dbały o piękno postaci, gibkością ruchów i wdzięczną mową i strojną szatą odbijał świetny syn Aten. Smagli, wzorami wschodu chitony swoje znaczący, o ruchach zwinnych żeglarzy i sprycie kupców, przybyli tłumnie Helleni z Azji Mniejszej. Był też zgneębiony messeńczyk, wyrzekający na bogów lub kornie błagający o zemstę, i obywatel Teb świętych, i wyzłoczonego Koryntu, — i wszelkich krajów Grecyi pielgrzymi — od południowej Lakonii — aż do mrocznej Tessalii i garbatego Epiru.

Po nad brzegami Alfejosa, opodał domów kapłanów i służby bogom poświęconej, na przedmieściach Olimpii, przy drodze świętych processyi i na polach sąsiednich, rozsiały się i gęsto wyrosły, jak różnobarwne grzyby leśne, namioty przybyłych gości. Gdy jedni spoczywali strudzeni, inni dążyli na próby igrzysk do gimnazjonu, inni wreszcie oglądali mnogie pomniki i świątynie lub pokrzepiali się jadłem i napojem.

Dnia następnego zdawało się, iż same bogi przybrały dom swój górny w obłokach — i dolny w świętym Altisie na wielką uroczystość. Na wzniosłe trony Olimpu sam Febus świetlany cisnął stosy złota i purpurowe kobierce, skinąwszy, by błada Eos zwinęła szerokie fałdy różanych szat swoich. I piętrzyły się coraz-to wyżej po nad



Olimpem promienie złotego boga, jak wielkie pióra ogniście na lśniących hełmach tytanów strojnych w zielone płaszcze z pnących się gajów. Na niebios, zmyte przed chwilą strzepami szarych chmur, wypłynęli olimpijczycy na białych nawach, które Posejdon wyciosał trójzębem swoim z obłoków śnieżnych i miękkich. Ukryci przed okiem ziemskim, żeglowali promienni po nad Altisem, przyglądając się obchodowi. I przez dni siedem trwały modły, pochody i ofiary; i przez dni siedem trwały igrzyska, i pieśni wieszczów, mowy mędrców, przybyłych ze wszystkich krańców Hellady: a bogi, wciąż jasne i łaskawe, na śnieżystych swych łodziach szybowały nad świętą Olimpią. I ani razu nie spadła na śmiertelnych surowa chłosta dżdżu i nie zawisły nad nimi srogie miecze piorunów.

Aż wreszcie blednąca głowa słonecznego boga poczęła raz siódmy chylić się do spoczynku na wzniesione po nad obłoki łożo Olimpu — i kończył się zarazem dzień siódmy wielkich igrzysk. Przy bramie Altisowej, zamkniętej przed okiem niewiast, niegodnych podziwiać mocy i sztuki ubiegających się o wieniec — i przed wszystkimi, których ściany świętego miejsca zmieścić nie mogły, — tłumy czekały skwapliwie, aż Altis podwoje swe otworzy i oczom ich ukaże zwycięzców uwieńczonych. Chciwe ucho mas ludzkich chwytalo okrzyk, który przez siedem dni całych przeważał nad innymi i piorunowym ostrzem

przebijał mury wysokie. Było to imię, wywołane z podziwem i z tak bezgranicznym zachwytem, że wołającym oddech zamierał w piersi, a głosy drgały jak w hymnie, wielbiącym silne bogi:

— Helios z Megary, syn Lysandrosa! Niech żyje Helios! Niech żyje zwycięzca wielokrotny!

A tuż przy samej bramie, cisnąc skroń do marmuru, tłoczona przez rozgorzałe tłumy, chwytająca się ściany, z twarzą zalaną łzami — stała wyniosła niewiasta. Jako piękny kwiat zwiedły, świeciła jeszcze blednącym szafirem żrenic wspólnych i złotym włosom falistym, dzierzganym srebrnymi nićmi na skroniach, boskim ciała zarzyssem, choć utraciło już ono okrągłość i gibkość młodości. A jednak znamię piękna tak jeszcze wyraźnie opływało postać jej całą, że mówiono dokoła:

— Musiała być podobną Afrodycie przed laty.

Lecz ona nic nie słyszała oprócz okrzyku:

— Helios! zwycięzca wielokrotny!

Żyły płynęły z jej wielkich żrenic, ręce chwytaly się wciąż za ścianę, usta zaś szeptały cicho:

— O Helios! o słońce moje! o słońce życia mojego!

I oto już przy samej bramie grzmiały i wyrwają się gwałtowną nawałnicą okrzyki z tysięcy piersi, wezbranych szałem zachwyty:

— O niepojęty, boski, niesłychany! Cześć ci, wielki synu Megary!



Brama otwiera się szeroko. I tłumy gorejące zapalem, jak wielkie dwa pożary — uderzają się przy spotkaniu falującymi piersiami i przebijają się błyskawicami żrenic.

A wązka droga, wśród dwóch tych burz, lecących ku sobie na spotkanie, — nietykalny jak ołtarz Zeusa, czczony jak sam olbrzymi olimpijczyk, piękny jak nieśmiertelny bóg słońca, gdy zapłonę miłością ku ziemi i ukaże się jej w całym blasku — jechał zwolna na wozie złocistym młody Helios z Megary. Żelazną dłonią wstrzymywał cztery spienione, białośnieżne rumaki i wodził płonącymi szafirem żrenicami, szukając kogoś, po wielbiącym go i rozstępującym się przed nim tłumie. Czoło, tonące w kędziorach czarnych, chłodził mu wieniec olimpijski. Żar pięknego lica gasił mu zefir łagodny, całując usta purpurowe, spalone znojem igrzysk, a usta te purpurowe ścigały oczy widzów, gdyż tkwiło ponad nimi, wyraźne i okrągłe, jak czarne oczko ptaszęcia — znamię rodzinne.

I stał na wozie swoim, jak kolumna smukła i strzelista, z marmuru lub śpiżu rzeźbiona — i wydawał się w tej chwili niepodzielnym władcą Hellady, toczącym wóz swój królewski wśród tłumów, tak przed nim chylących czoła, jak chyła je przed faraonem Egiptu lub królem Persyi ich niewolnicze rzesze. Lecz nagle rumaki płomieniste wryły się kopytami w grunt twardy, wstrzymane herkulesową dłonią. Helios przechylił się na wozie

w stronę tłumy i, pochwycawszy mocno za rękę niewiastę, która płakała u bram Altisu i Afrodycie podobną była, wciągnął ją na wóz swój zwycięzki. A choć się sprzeciwiała, zawstydzona, i kryła twarz na ramieniu jego, ruchem władcy postawił ją obok siebie — i zwolna jechali dalej, wielkim podziwem otoczeni. Więc liczne rzesze pytały:

— Kim jest niewiasta, którą wspierasz swym bohaterskim ramieniem, — przesławny megarczyk?

Wtenczas on powiódł płonącym wzrokiem po tłumach i odrzekł głosem mocnym i dźwięcznym;

— Nie jestem megarczykiem, chociaż Megara była dla mnie najlepszą ojczyzną przybraną. Nie jestem synem Lysandrosa, chociaż Lysandros był dla mnie najlepszym ojcem przybranym. Helleni! jestem spartańczyk — syn Antenora i Laodiki, — najszlachetniejszej z niewiast Sparty. Jej tylko zawdzięczam wieniec dzisiaj — i oto ukazuję wam najmeźniejszą z matek, opartą na ramieniu wielbiącego ją syna!

### III.

I zanesiono dziwne słowa Heliosa do sędziów igrzysk, a tegoż jeszcze wieczora, gdy zapłonęły ognie w ścianach Altisu, przywołano zwycięzcę przed posąg Fidyaszowy olimpijczyka — i tak go pytano:



— Usta twe nazywały dwa razy imię twoje i ojca twego — i twej ojczyzny. Nazwałeś się Heliosem i po raz pierwszy i drugi. Lecz imię ojca twego i ojczyzny — głosiłeś niejednakowo. Powiedz więc — Lysandros czy też Antenor był ojcem twoim? Ojczyzną twoją — Sparta czy też Megara? Młodzieńcze! Zdobyłeś wieniec szczerogólny, jakgdyby z wielu wieńców spleciony, bo ty jedyny w popisach rozmaitych miałeś pierwszeństwo nad wszystkimi. Tyś jest zwycięzcą pentatlonu. W próbie tej trudnej Herkules przekazał ci siłę swoją, Ares zaś sztukę bojową. Tyś w najważniejszym wyścigu czworokonnym zwyciężył, pędząc na lotnym wozie swoim jak płonący zemstą Achilles na spotkanie Hektora! Pochodnia twoja zabłysła pierwsza przy słupie umajonym, gdy, chyży jako Hermes skrzydlato-stopy, zwinny i gibki, jako Akteon na łowach, — biegłeś w cieniach wieczoru do mety. Tyś pierwszym jest wśród zwycięzców — najwynioślejszy też posąg wystawi ci wpośród Altisu najpierwszy rzeźbiarz Hellady. Winienes prawdę najczystsza odkryć nam wobec boga piorunów, którymi spali twe usta, jeśli fałsz głosić będą. A jeśli obecny jest w Olimpii mąż godny wiary, coby mógł słowa twoje poświadczyć, wezwij go przed nas natychmiast!

I nie spuszczać oczu z surowych mężów, odrzekł im Helios spokojnie:

— Jeśli są dzisiaj w Elidzie mężowie Sparty, którzy przed laty dwudziestu i trzema znali w swym grodzie ojczystym słynnego wodza Antenora i żonę jego Laodike, przezwaną Afrodytą — wezwijcie ich przed siebie. A jeśli tu przebywa ten, któremu przed pięciu olimpiadami wznieśliście posąg za walkę pankrationową, wezwijcie go przed wszystkimi!

Zamilkł — i czekał ze spokojem na jasnym czole. Tymczasem słowa jego pochwycił tłum chciwy prawdy i rozniósł je szeroko po Olimpii.

Wkrótce też rozsunęły się ściany ludzkie, i wystąpiło z nich kilku osiwiałych mężów spartańskich, idących ku sędziom. Jeden z nich, najroślejszy i najmniej wiekiem strudzony, wystąpił naprzód i rzekł do Elejczyków:

— Jam jest ten, którego wezwał przed wszystkimi nieznany wasz zwycięzca. Jestem Antenor, wódz spartański. Jestem Antenor, zwycięzca pankrationu przed pięciu olimpiadami. Jestem Antenor, ongi mąż słabej niewiasty i niesłuchanej matki spartańskiej, która wykradła w nocy ułomne niemowlę swoje i uszła z niem w kraje nieznane, by ukryć je przed mocą świętego prawa Likurga. Oby jej hańbą nie opuszczała w ciemnym królestwie Hadesa, dokąd musiała wstąpić tej samej jeszcze nocy, wstydu pełnej, zwlókszysy się z łoża słabości z nędznym wyrodkiem swoim! — Jam więc jest ów Antenor, którego zwywasz, młodzieńcze, boskiemu Heraklesowi podobny. Gdybym



mógł, nieznaną sobie dotychczas drogą, poświadczyc, żeś jest spartańczyk, czułbym się tak z tego dumnym, jak i przed pięciu olimpiadami, stojąc na tem samem miejscu. Lecz teraz pojąc nie mogę, dla czego-to mnie wzywales?!

Helios przystąpił wtenczas do Antenora i stanął przy nim tak blisko, że ramiona ich się dotknęły — i mówił:

— Żądam od ciebie, wodzu, abys poświadczyl, iż Sparta ojczyzną jest moja, a ojcem moim tyś sam — wódz Lakończyków, Antenor!

I podniósł głos tak groźnie i tak rozkazująco, że go słyszano zdaleka:

— I jeszcze żądam od ciebie, wodzu, abys poświadczyl, że matka moja, dostojna małżonka twa Laodika — szlachetną jest niewiastą i mężną!

Potem zaś mówił do sędziów:

— O patrzcie na nas, stojących tu obok siebie! a sami poznacie odrazu, że on mi jest ojcem — a ja jego synem! Bóstwo me opiekuńcze naznaczyło mię tem znamieniem, które tkwi nad ustami mojemi. Tyś je oglądał, Antenorze, przed wielu, wielu już laty. Ono też, bóstwo moje swawolne, podniosło mi nieco ramię prawe nad lewe. Tyś je oglądał, Antenorze, przed wielu laty!

Tu odpiął klamrę chitonu, i zsunawszy go z ramion, ukazał tors swój potężny i ramię prawe, zaledwie dostrzegalnie wznoszące się nad lewym ramieniem. I mówił dalej:

— Tyś chciał mię z domu wyrzucić, jak nędzne śmiecie, hańbiące cię słabością niemowlecego ciała. Ona, — ta, którą zowiesz słabą i niesłychaną matką, znalazła moc w sobie, by zapomnieć o hańbie i przekleństwach, które słaście wszyscy w jej ślady. Ona znalazła moc w sobie — stanąć w obronie dziecięcia i nie iść za przykładem zwyczajnych niewiast waszych, pozwalających, jak słabe owce, gubić krew swoją na wasze straszne rozkazy. Ona-to mężną była i mocną, gdy, wstawszy z łoża boleści — uniosła mię w noc ciemną w słodkich objęciach swoich! — mężną była i mocną, gdy, błędząc w górach i w krajach obcych, strzegła życia mojego, jak skarbu droższego jej nadewszystko. I tak-to o głodzie, o nędzy padła przy bramach Megary, straciwszy siły w długiej wędrówce swojej. Oby bogi miały zawsze gród ten w opiece troskliwej! Szlachetne dłonie pomocne podniosły Laodikę i siły jej powróciły. Stary Lysandros, dostojny obywatel Megary, otworzył dom swój gościnny niewieście, którą nazwał «spartanką prawdziwą,» moc ducha jej poznawszy, gdyż jemu tylko jednemu tajemnicę swoją odkryła.

Tu zamilkł Helios i tak rozejrzał się dokoła, jakgdyby badał, czy słowa jego zebrany lud przychylnie, czyli też wrogo przyjmie?

A jeden z sędziów powiedział:

— Chociażes jeszcze tak młody, ubiegłe życie twoje bogate jest w dziwne wypadki. Kończ więc



opowieść twoją, a losy twe rozstrzygną się niebawem.

— I przedła matka moja w domu Lysandra i wszystkie prace niewieście pełniła, a posiadała miłość obywatela tego i jego małżonki, narówni z ich córkami. Więc ukrył ją w domu swoim, kiedy posłańcy Antenora, po całej Grecyi szukający ofiary swojej, przybyli do Megary. Dziecięciu swemu Laodika dała imię szczególne — Helios, nie ażeby pyszną była, lecz że uważała je za słońce życia swojego. I wzrastał Helios — i stał się, dzięki jej, czem widzicie: Lysandros chował go na męża, którego by się Megara nie powstydziała, będąc mu drugą ojczyzną. U naj-sławniejszych atletów Grecyi kształciłem siłę moją, zręczność i chyżość ruchów. Wysyłał mię Lysandros do grodów rozmaitych, bym się nauczał i wprawiał w sztuki w ich sławnych gimnazyonach. W Azji nawet Mniejszej, bo w Milecie, uczyłem się kierować wozem czterokonnym, a w Olimpijskim gimnazyonie, w wigilją igrzysk — skończyłem naukę moją. Takim był los mój do dnia dzisiejszego, tak mnie wychował Lysandros i matka moja szlachetna. Oby jej imię z taką czcią wymawiano, jak ja to czynię w tej chwili!

A kiedy mówił te słowa, patrzył na Antenora groźnymi oczyma, jakby go wyzywając do walki.

Wtenczas odrzekli sędziowie, zwracając się do wodza spartańskiego:

— Obywatelu Lakonii! Odpowiedz, jak obowiązek ci nakazuje i skłonność serca twojego, temu oto młodzieńcowi, który mieni się twym synem, a którego wszyscy ojcowie Grecyi nazwać by synem pragnęli.

Antenor myślał przez chwilę, a potem odrzekł, z powagą w głosie i surowością w spojrzeniu, zwykłą u mężów spartańskich:

— W słowach młodzieńca tego jest tyleż prawdy, ile fałszu. Istotnie z krwi i ciała jest synem moim i był tym niemowleciem, którego, jako spartańczyk posłuszny prawom Likurga, nie mogłem w domu zostawić. Oszczędzam teraz słów ostrych pamięci niewiasty, która się stała matką tak niezwyklego zwycięzcy i obywatelką jest Megary — i poświadczam, że istotnie poślubiłem przed laty córkę znakomitego spartiaty, Laodike. Natomiast fałszem jest, że Helios, syn Laodiki, jest spartańczykiem, — bo, podeptawszy prawo Likurga, matka młodzieńca tego, pozbawiła go obywatelstwa swojej ojczyzny. Wyrzycie więc, sędziowie, u stóp posagu Heliosa: «Ojczyzną jego Megara, a ojcem jego Lysandros.» Sparta nie zna obywatela tego — spartańczyk zaś Antenor — syna!

— Zawziętość uporczywa przemawia przez usta twoje, wodzu! — rzekli na to sędziowie. — Gdy ojciec ma serce wyrzec się takiego syna, powiedzcie wy, inni obywatele spartańscy, — czy prawdą jest, że Sparta przyjąć go nie chce, czy nie może?



I oto coraz więcej ciemnych płaszczów spartańskich skupiało się przy Antenorze — i wraz z nim naradzali się cicho synowie twardej Lakonii, a do surowych ich oczu wkradał się blask uwielbienia, gdy patrzyli na postać wyniosłą uwiecznionego. On tymczasem schylił głowę swą piękną na piersi i czekał co postanowią, ze smutkiem w wielkich żenicach. Lecz krótko się naradzali Spartańczycy i rzekli przez usta jednego z pośród siebie:

— Ojczyzna nasza, Sparta, boleje, że nie może nazwać cię synem, przesławny, nieporównany Heliosie; lecz otwiera ci z uwielbieniem swe progi jako wielkiemu gościowi. Gdy jako gość pożądany zechcesz ją kiedy odwiedzić, uczci cię jak króla obcego, odwiedzającego jej królów. I każdy obywatel spartański szczęśliwym będzie wraz z nimi, jeśli przestąpisz progi uwiecznione jego domu.

Umilkli — i wtedy raz jeszcze się odezwał wódz lakończyków, Antenor, — lecz głos miał tak zmieniony i dziwny, jakby nie z niego wychodził:

— Heliosie! Gdy zechcesz Spartę odwiedzić, — niech dom mój uczczony będzie twą obecnością, Heliosie! Ty będziesz słońcem także i tego domu!

Lecz Helios odrzekł ze smutkiem i wielką dumą zarazem:

— Dzięki ci, wodzu. Tam, dokąd wejść nie mogę jako syn pożądany — jako gość najpożądany nawet nie wejść!

Wtenczas ateńczyk Alkmeon wspaniały — pierwszy głos podniósł:

— Jeżeli Sparta wyrzeka się sławy swojej i chluby, my, Ateńczycy — prosimy ciebie, byś przyjął obywatelstwo nasze. Bądź synem złotej Attyki, o uwieczniony wielokrotnie!

A Tebańczycy zawołali:

— Obywatelom bądź kraju naszego! Teby ci cześć składają!

— Gród święty pragnie cię usynowić! W Elidzie doskonaliliś swą sztukę — Olimpia cię uwiecznyła! Zostań w Elidzie!

— U nas, w Milecie, rumaki poskramiałeś Wschodu... Przybądź, aby być chlubą naszego grodu!

— Przyjmij obywatelstwo Syrakuz!

— Bądź pierwszym wpośród mężów w ojczyźnie naszej, Koryncie!

— Okręt złocisty, przybrany w róże, zawiezie cię do Efezu!

— Tyś tylko Aten godzien, jeśli cię Sparta odrzuca!

— Synu! Megara czeka! Megara cię wychowała — do niej tylko należysz!

Tak wszystkie kraje i wszystkie grody Helady otwierały przed nim rozmiłowane, uwielbiające objęcia. Lecz on stał chmurny i smutny.

Wreszcie pierś jego wezbrała głuchym, pełnym boleści westchnieniem — i potoczył smętnym wzrokiem po wielkich tłumach — i tak się ozwał:



— Na twardych głazach sypiając, żywiąc się pokarmem tak prostym, jakim jest pokarm zwierząt leśnych, ćwicząc i hartując ciało, nawykłe do chłodu, znoju i czystości życia, — miłując bez granic Spartę, i święte imię Likurga, i święty zgon Leonidasa, a nienawidząc z głębi serca wrogów Lacedemonu — byłem prawdziwym spartańczykiem...

Oczy moje widziały zawsze przed sobą zielone gaje Lakonii, stopy moje pragnęły dotykać ziemi jej urodzajnej, strudzone czoło miał mi Eurotas omywać, a sława moja miała błyszczeć na jej niebie. Byłem prawdziwym spartańczykiem!... I wszędzie, gdzie się obróciłem, wędrując po Helladzie, pytano mnie, zanim zdążyłem powiedzieć skąd przybywam: «Co słyhać w ojczyźnie twojej, spartańczyku?» — Kiedym zadziwiał siłą lub hartem, nieznany jeszcze nikomu, — mówiono mi dokoła: «Posiadasz moc i wytrwałość ojczyzny swojej — Lakonii. Czemu się błąkasz wśród obcych, gdy musi tęsknić za takim synem kraj twój ojczysty, Lakonia?» — «Ale wiedziałem, że mi nie wolno, jakgdybym był potępińcem, kołatać do bram mojego grodu! Jedna nade mną świeciła nadzieja: na wieniec olimpijski! Myślałem, iż on mi będzie kluczem do wrót Lacedemonu, do serc obywateli spartańskich. I zapragnąłem go zdobyć, dzień i noc pracowałem na niego. Ale w tem jednym tylko źle pojąłem ducha ojczyzny mojej, w tem tylko nie dorosłem do pojęć jej niezłom-

nych. Dorastam do nich w tej chwili! Wodzu spartański i wy obywatele! wiedźcie, że słusność wam przyznaję! Niech się więc stanie zadość Likurgowemu prawu. O niech nie będę synem Sparty!... Megaro, wracam do ciebie...

A wtenczas wzniosł się ogromny okrzyk, ogromnych tłumów:

— Niech żyje Helios z Megary, syn Lysandrosa!

Już księżyc płynął z wolna ponad Kronionem, jakgdyby dyskiem jego lśniącym igrały bogi leniwie, leżąc na białych obłokach, gdy nad brzegami Alteju zaroili się tłumnie wracający z Altisu pielgrzymi. Helios pośpieszał do matki swojej, za nim zaś szedł Antenor i liczni mężowie Sparty. A kiedy wyszła na ich spotkanie Laodika, więcej niż kiedy podobna w srebrnych promieniach do swej młodości i do przecudnej bogini, — zbliżyli się do niej spartańczycy. Antenor zaś tymi ozwał się słowy:

— Chociaż umarłaś dla Sparty, Laodiko, cześć ci składamy, obywatelko Megary za to, iż wychowałaś syna dla sławy całej Hellady!

Helios przycisnął dłoń jej do piersi swojej, a Laodika, utkwivszy oczy pogodne w Antenorze, rzekła mu głosem cichym i drżącym od szczęścia wielkiego:

— Bądź pozdrowiony, obywatelu Lakonii... Moja ojczyzna zawsze tam, gdzie i ojczyzna Heliosa.



## ZDRAJCY.

(MOMENT).

«Mourir pour la douce France!»

Wyrazy w obcym języku, obcej i dawnej epoki, Tyrteuszowym akordem brzmią w duszy młodego żołnierza i zalewają duszę tę po same brzegi boską ekstazą. W nich wciela się w tej chwili ów dziwny ogień, który zapłonął nagle w cichej, łagodnej piersi, zapłonął z iskry, którą weń zaroniły niby już zgasłe, lecz dotąd jeszcze gorejące pioruny Cezarów... iskry z ksiąg, z prochów tylko po bogach wojny skrzęsane, a jednak tak jeszcze ognio-siejne, że wielkie tworzą pożary... I zdaje się młodemu żołnierzowi, że w duszę i ciało jego wrósł jakiś mąż wspaniały o mocy Achillesowej i «świętych» żarach Bayarda. Na ostrzu miecza tylko zawiesił ogromne ukochanie ojczyzny. I u stóp płonącego rycerza pada cichy młodzieniec, wołając z gestem odrazy:

— Wojna — to zbrodnia!

Głuszy go okrzyk zwyczajki:

— Wojna — to bohaterstwo!

I oto piersi młodzieńcze rozpiera ta sama błoga burza, co przed wiekami rozpierała piersi opancerzone, a z tych piersi wyrzucała najszlachetniejszy okrzyk owych czasów:

— «Mourir pour la douce France!»

Czemu jednak i oni woleli wołać «mourir» aniżeli «tuer» dla swojej «słodkiej» świętej ojczyzny? Czyżby i im się już wówczas zdawać miało, że ładniej jest bądź-co-bądź umierać, aniżeli zabijać...

A więc dawny bohater w błyszczącej zbroi, o dumnym, uwieńczonym czole, odepchnął nowonarodzone dziecię pokoju w skromnej, białej sukience — przepiękny demon i nikły jeszcze cherubin, ledwie rozwijający skrzydła ku górnym wzlotom. Krwawią się one i łamią co chwila, lecz ciągle rosną i rosną. Aż tak urosną i spotężnią, iż żaden miecz ich nie zakrwawi, tylko się o nie rozprysnie...

W szerokim polu, jakgdyby w wąskiej jamie smoczej — wielugłowy i wieluramienny potwór ludzki pożera własne ciało ostrymi zębami szabli. Ścisk, zamieszanie tak wielkie, że palną broń odzruciono...

A więc ciąc po tych szyjach, tych piersiach, tych skroniach... Zagłębiać ostrza w te żywe ciała, ledwie okryte sukniem tylko lub płótnem. Tu niema głuchego chrzęstu zbroicy... Trudności żadnej... Żelazo grzęźnie bez przeszkód, cicho...



w miękiej massie. Nowiutkie tylko uniformy ze stron obu... wystąpiono godnie wobec nieprzyjaciela.

Parę iskier gaśnie w «Bayardowym» oku młodego rycerza, parę różanych świateł «świętego» uniesienia na bielejącej twarzy; lecz jeszcze wiele ich zostaje...

Razi naokół i broni się upojony — z atawicznym szałem bohatera... Lecz oto chóralny jęk i ryk — wzrasta straszliwie... wstrętne rzeżenie czyichś zamierających, dla kogoś najdroższych piersi... gdzieś z dołu... pod kopytami. Strzelać bezwarunkowo lżej... mniej dziko... mniej krwawo... przestrzeń dalsza... czystiej... Tu jest rzeż, bez obłonek — strzępy ciała obnażone w całej ohydzie... Przekleństwo!... Szabla martwieje coraz bardziej w dłoni młodego oficera. Źrenice jego rozszerzają się powoli... jak oczy tchórza... przed cudzą męką i śmiercią, tchórza przed tą krwią, buchającą potokiem. Tyle jej tu, tyle! Na tym czerwonym kołnierzu, ciemniejsza, — wydaje się rozlanym atramentem. Tu znów nad samym okiem... ohyda, gdzie ją przelano! tworzy maskę okropną, purpurową z jednej strony twarzy, gdy druga pozostaje czystą... pajac śmierci strasznie umalowany!... Tu dalej jak puklerz okrągły, ciemnomiedziany, lepki, na popielatym suknie... I wszędzie... wszędzie...

Oczy pragną się zamknąć i odwrócić, ramiona rozepchnąć tych katów i tych katowanych, —

człowiek chce pod ziemię pójść od tej zmory ba-jecznej. Pierzcha i pierzcha coraz gwałtowniej «święty» żar boju. I oto już pozostaje niewolnik tylko, przykuty do ciężkiej, krwawej galery, skulony, krwawiący sercem całym.

W tej chwili właśnie wyrasta przed nim twarz niepodobna do innych. Dziwnie spokojna, rozumna, o srebrzącym się zaroście i smutnych, ciemnych oczach. Uderzająco odbija od tego tła wzniesionych ramion zbrodniczych, od twarzy płonących zemstą, bólem lub upojeniem rycerskim. I człowiek o takiej twarzy wznosi — również jak inni, ramię z błyszczącą szablą. Wznosi ją ponad piersią młodego oficera. Godzi w nią właśnie. Wyraźnie w nią godzi... Lecz jakże pastwi się nad nim! Nie spuszcza długo żelaza, nie uderza. Tylko wzrok jego, pełen gorzkiej ironii — zda się hypnotyzować, obezwładniać! Cóż to za wampir tak długo pojący się widokiem przyszłej ofiary? Zgroza i mściwy płomień odwetu, i żal własnego życia — bucha ze ścierplej a przygnębionej przed chwilą piersi młodego oficera. Ramię jego unosi się również w górę, lecz błyskawicznie, gwałtownie, a potem sępem spada na tę pierś, pod tą twarzą, o ciemnych, ironicznym żrenicach...

I oto szabla, pastwiąca się tak długo nad nim — wysuwa się z rozwartej dłoni, uderza z brzękiem o jakiś grzbiet koński, potem o końskie kopyta. Ironiczne i smutne oczy mrużą się nagle, jakby od jaskrawego światła, czy strasznej ciemności.



Głowa z siwiejącym zarostem w tył się odchyła. Na cienki wykwinny mundur starszyny militarnej występuje nagle dziwna rdza jakaś na przodzie — kilku ciemnymi plamami...

Młody zwycięzca patrzy przez moment z bezymyślnym zdziwieniem na ciemne kółka i centki, tworzące błyskawicznie deseń na niebieskawym mundurze, a gdy ciało w tył się przeważa i opada — machinalnie wyciąga ręce, by je podtrzymać...

Lecz ktoś ociera się blisko o jego ramię w tej chwili, tak blisko i mocno, że go odpycha. Potem płomienny jakiś, dziko bojący zygzak wdraża się w prawy bok jego, wpada do mózgu, do serca — do duszy. Straszna ciemnica...

.....  
Miękkie, rozkoszne posłanie. Świeży kobierzec najświeższego, najwonnejszego maju... Brakuje tylko, by konwalie z gajów cienistych posrebrzyły go gdzieś zamiast żółtego mlecza, mrugającego tu zewsząd pospolitymi ślepkami... czasem krwią nabiegłymi. Chłodne posłanie dla tych, co tu goreją w przedśmiertnych żarach.

Jest tu ich dwóch... a może nawet jeden tylko. Inni już «ochłonęli.» Człowiek o siwiejących włosach i smutnych rozumnych oczach — jeszcze spoziera nimi. Miał nawet siłę nieco unieść się i poruszyć, by oprzeć głowę na rzuconym tłumoczku szeregowca. Zamarł w tej «lepszej» pozycji, ściągawszy brwi boleśnie. Wysiłek umieszczenia głowy na twardym, lecz wyżej położonym

przedmiocie — kosztował go drogo. Rana, w którą śmierć zatopiła już swe pazury, rozdzierając mu piersi — zapiekła go straszliwie. Ostry ból ten «otrząsnął» jedynie głowę mdlejącą. Leżał na wznak i raczej czuł niż oglądał przy sobie równoległe długi przedmiot, obramowany mocnym konturem czarniawego cienia. Pragnął snu, spokoju, śmierci. Rozumiał, iż cięcie było śmiertelne; znał się na tem: odwrócił się więc już w myśli od życia i świata. Chciał tylko konać z najmniejszym bólem.

I w tym ostatnim pragnieniu — przeszkodzono mu brutalnie.

Mocne uderzenie jakiegoś ciężkiego przedmiotu po sztywnie wyprostowanym kolanie jego, zaszamotało ponownie nerwowo całem ciałem i ponowiło zabójcze pchnięcie. Była to ręka ludzka, odrzucona gwałtownie, odruchowo. Jednocześnie głos, różniący się od żalosego wycia zwierzęcia tylko wtłoczonymi weń wyrazami ludzkiego języka — zapłakał, zajęczał.

— Boli... podnieść!... leżę na strasznym bólu...

Pomimo, iż siwiejący oficer na różach nie spoczywał, rozumiał jednak, że ten, który jęczy przy nim w nieprzyjacielskim języku, «spoczywa» na własnej ranie. Uniósł więc nieco głowę i obejrzał się zamglonymi oczyma... czy niema kogo, koby chciał nadejść z pomocą niespokojnemu sąsiadowi. Parę tylko ciał niemych. Daleko, na wzgórzu grupa gestykujących ludzi. Nie widok,



ale szmer bitwy gdzieś w perspektywie. Życie pysznie reprezentowane przez nich dwóch tylko w tej umajonej rozpadlinie! Sąsiad leży nieco wyżej od niego, choć niby równolegle. Leży na boku skulony. Twarzy na pierś opadłej nie widać prawie. Co chwila miotają nim krótkie drgania, co chwila z ust jego zrywają się krótkie jęki. Starszy oficer próbuje się unieść, raz jeszcze... jeszcze—i jeżeli się uda—pomóc, obrócić. Nonsens! zapomnienie! Ledwie szyję wypręży i zeprze się na łokciu, już potok krwi jakiejś spienionej, gorącej bucha mu z rany. Pod siwiejącą brodą wyrasta druga, purpurowa, w licznych strumykach, jak pasmach ścieląca się po piersi. Żółta mgła i bezwładność i nowe, nowe pchnięcia...

Tamten tymczasem targa się i rzuca. Nareszcie... Jakiś ruch mocniejszy, szczęśliwszy obraca go wygodniej. Westchnienie pełne wielkiego bólu i niezmiernej ulgi rozplywa się w powietrzu...

.....  
Długa, chwila wyczerpania, zamkniętych oczu, dyszących ciężko piersi... Spoczywają. Młody otrzeźwia się znacznie wcześniej. Oczy jego, cierpiące, lecz przytomne, zaczynają spoglądać nawet bystro i niecierpliwie. Uciekają zrazu niedbale od tych ciał blizkich — i dalszych — szukając żywego ducha. Zawiedzione, wpijają się z tęskliwą ciekawością w krwawy przedmiot tak blisko rozpostarty przed nimi. I oto rozszerzają się z wolna... Rośnie w nich z każdą chwilą

świadomość... zdziwienie... strach... groza. Chciwy wzrok zawisa już tylko na tym profilu o zaciśniętych ustach i brwiach, tragiczną linią łączących się na czole.

Jakgdyby w odpowiedzi na ten wzrok badawczy, a dziwnie chciwy i trwożny, obraca się ku niemu na spotkanie błada, siwiejąca głowa — otwierają się z wolna smutne, rozumne źrenice...

Tę twarz, tę głowę, te oczy — gdzieś widział. I tak oglądał, że nigdy, zapomnieć-by ich nie mógł...

Tak, nie tylko widział człowieka tego... ale... zabijał go nawet. Przebiega po nim dreszcz tej cudzej śmierci. Tymczasem ciemne i smutne oczy mrużą się i przymykają, spotkawszy się z wejściem tych młodych, tych niebieskich... zupełnie tak... jak wówczas. Potem otwierają się nagle z błyskami myśli rozbudzonej, szybko wirującej — i z wielkim smutnym zdziwieniem wpijają się w tę niespokojną, wzburzoną, tę zawstydzoną twarz młodzieńczą.

— Ty? — mówią zrezygnowane, smutne oczy.

— Ja! — przyznają się błagalne, rozpaczliwe.

Odnowili «znajomość».

.....  
Cichy głos targany jękiem, przerywany milczeniem:

— Pani!... jeśli możesz... i raczysz mię wysłuchać... nieprzyjaciel... raniłem ciężko... błagam



jednak — zrób mi łaskę... Chciałbym się... usprawiedliwić... Zdziwiony szept chrapliwy:

— Z czego?... Wojna...

— Wojny nienawidziłem... cywilizacya... serce mam ciepłe... Śmierć w tej nawet formie... uważałem za zbrodnię.

Zdziwione czarne oczy nabierają miękkiego wyrazu. Szept ledwie dosłyszalny odpowiada:

— Dalej... jeśli możesz... Czyżby «nas» łączyć... tu?... teraz?... miała spójność przekonań?...

Chciwe ucho chwytą szemrzące ledwie słowa.

— Pozwalasz?... dzięki... lżej będzie. Jam wojny nie uznawał... Lecz kiedy wszystko ruszyło się i poszło... Kraj... kocham go nade wszystko... ponad ludzkość, niestety... Obronić... poświęcić się, zwyciężyć... Wspaniałych olśniewający... kochać... i poświęcać się tocząc krew ludzką. Brednie — jad słodki a zbrodniczy... Czy mi wybaczysz... choć w części?...

Słowa te wydają się przemówieniem oratora w porównaniu do cichych sylab urywanych odpowiedzi.

— Życ będziesz... nie truj się więc... tym wspomnieniem. Ja cię rozumiem. Nie mam żalu.

— Panie! ocknąłem się dopiero... w środku... tej rzezi... i byłbym już... jak tchórz uciekał od niej... gdybyś właśnie tak długo... tak męcząco długo... nie począł mierzyć we mnie... Dlaczego nie godziłeś odrazu? O powiedz jeśli... jeśli możesz... Zagrożone zwierzę broniło się.

Znowu szemrzące sylaby:

— Wytłómaczę... trudno już mówić!

— A więc nie trzeba... wypoczywaj! wypoczywaj, panie!...

— Słuchaj... biedne dziecię... Ja gorzej jeszcze.

Długi wypoczynek, powtarzający się po każdym prawie wyszeptanym wyrazie:

— Uczony... strategik... teoretyk... archeolog wojny... grzebiący się w planach... Napoleonów i Wallensteinów... anatom wielkich trupów... Wojna... anachronizm... dzikość afrykańska. Studya... dzieła strategiczne... stąd wyższy stopień wojskowy. Przez całe życie nawet... nie widziałem wojny... prócz jednej cudzej... na którą jeździłem patrzeć... U siebie... za moich czasów... nie mieliśmy jej wcale. Teraz poszedłem... robić przynajmniej... studia współczesne... porównawcze... ha... praktyczne!

Rozwlekły szept urywa się i milknie. Gorzki uśmiech zawisa przez chwilę na ustach mówiącego. Potem oczy ożywiają mu się jakaś nową myślą — i coraz chrapliwszy, coraz trudniejszy, szept się ponawia.

— O ja — nie byłem bohaterem... nie przysporzyłem chwały... memu orężowi... Mierzyłem długo!... wywijałem szablą... tylko w powietrzu... Kochałem ludzkość... ponad ojczyznę... Woląłem być zabitym... niż zabijać...

— Boże! czemuż ja nie wolałem?...



— Cicho... nie rozpaczaj kolego... nie miotaj się... krwią spłyniesz... a wtenczas dostąpimy obaj... do mego ideału wojny... Uspokój się... Ktoś przecież dzielnie mię pomścił... Zresztą nie zostawiam nikogo... ktoby szczególnie rozpaczał...

Słabną<sup>znie</sup> i milkną, szczególnie starszy, słabszy. Z krótkim westchnieniem ulgi przymyka oczy. Wywiązał się z ostatniego ziemskiego obowiązku.

Szybkie kroki zaledwie szeleszczące po miękkiej trawie zdaptanej. Ludzie, nosze, czerwone krzyże.

— Nasz? biedny młodzieniaszek!

— Nieprzyjacielski pułkownik?!

— Błagam pana... ja mogę jeszcze czekać... Opatrzcie pierwaj pana pułkownika!... Nie bardzo cierpie...

— Ależ... tu już... zdaje się, za p...

— Cicho! na miłość Boga!

— Swoi nadejdą wnet po niego... Krzątają się już tam, na polu.

— Błagam!

Ostrożne zręczne palce dotykają lepkich guzików munduru.

Szept niecierpliwy, syczący.

— O nie... dziękuję... nie ruszać... Chcę umrzeć spokojnie... nie ruszcie!... w drodze umrę!...

— Ha, cóż robić!... Panie poruczniku, nie mamy czasu na kaprysy! Bardzo proszę! Zdaje się, że możemy śmiało być przeniesieni do baraku, tam opatrunek...

— Nie dam się!... Precz!... dajcie mi pokój!... Nie ruszę się, póki nie będę wiedział, co się z nim stanie!...

Drżąca dłoń pułkownika słabo usiłuje dotknąć głowy młodego oficera. Stłumione łkanie wstrząsa pierśią młodzieńca.

Szept w osłupiałej grupie:

— Zdrajca!? który?

W gasnących ciemnych źrenicach błyska raz jeszcze ironia.

— Obaj! — brzmi ledwie dosłyszalna odpowiedź.



## WYDANIE POŚMIERTNE.

(Z myśli zagastych).

### Szereg pierwszy.

Słowacki.. Shelley... André Chénier... Lermontow... których geniusz lub talent ogromny i jakby podkreślony młodą, czy niezwykłą śmiercią, jakby obramowany pyszną draperyą czarną po rzadkiej grozie ich zgonów... Nigdy nie przestaną kwitnąć wawrzyny na ich grobach, w gorącym ubóstwieniu, ze łzami żalu gorącego rzucane na nie w nieskończoność przez coraz-to młodsze pokolenia... Poznawszy ich i upoiwszy się nimi, oplakują one te wielkie nagłe ucięte życia!!... Pamiętam, jaki dziwny urok i jaki czar tragiczny zgiął kolana moje przed nimi, kiedy ich i o nich czytał w wieku młodzieńczym po raz pierwszy. Starzec Goethe, który otrzymał wszystko, co niebo i ziemia — świat i życie dać mogły, który pełną czarę wychylił do dna — o ileż mniej wydawał

mi się interesującym, chociaż olbrzymią moc jego czułem! Natomiast, jak przekonany byłem, że żyję, że jestem młody, że kocham prawdę i dobro, a rozkoszuję się pięknem — tak samo przekonany byłem, że mógłbym z uszczęśliwieniem najwyższym umrzeć za Słowackiego, dać głowę za Chéniera, utonąć za wieszczą angielskiego... Prawda, byłem wtedy entuzyastycznym półdzieckiem, lecz i to nawet mając na względzie, można tylko zniżyć stopień wrażenia i odczucia — nie zaś zmienić samą naturę jego.

Niedość śmierci szczególnej — trzeba jeszcze śmierci szczególnej szczególnego człowieka... Tak mię boli, poniża myśl, że dotąd jeszcze nie jestem tem, czem już być powinienem i być mógłbym, że radbym się wyzbyć tego nędznego życia, gdyż cenię je nadzwyczaj tanio bez tego, o czem marzę, czego pragnę. Ale umrzeć teraz, chociażby niezwykle, samobójczo — byłoby to podkreślić tylko efektownie własną nicość!...

Obyż-to wreszcie przestać pragnąć, przestać marzyć i przestać wierzyć w samego siebie!... Czy jestem zarozumiały, czy przeceniam swe siły — sam tego nie wiem... być może? Tylko wydaje mi się uparcie, że czasem z pod pióra mego rwie się i ulatuje prawdziwa i pełna życia — dusza ludzka w jej rozmaitych przejawach, dusza silna i indywidualna. Często przekonany jestem, że widzę i piszę żywą, a nie każdemu dostępną, prawdę, że marzę i fantazyuję... jak ci,



którzy umieli patrzeć wysoko, jak wieszcz. Tak, zdaje mi się, że mam to (choć sam nie wiem w jakim stopniu, w jakiej mierze) — co się nazywa prawdziwą, bezpośrednią twórczością. Nic i nikogo, nawet i tych wielkich, przed którymi uczuwałem dotąd drżenie święte — nie mógłbym naśladować. Żle może wyjdę na tem, lecz nie mam żadnej szkoły, żadnego kierunku, żadnego mistrza. Cha, cha! sławny geniusz, samorodny jak bryła złota!...

Nie wiem, nie wiem zresztą, czem jestem, na co mnie stać właściwie, czem być mogłem... ale zarozumiałcy, samoluby i pyszałki — nigdy przecież nie wiedzą czem są w istocie — może więc i ja jestem tylko zarozumiałcem, samolubem, pyszałkiem i dlatego nie wiem, czem jestem rzeczywiście. Że jednak wierzę, uparcie wierzę w siebie pomimo wszystko — w tem gnieździ się cierpienie moje, w tem jego rdzeń jadowity.

Gdyby mię kto przekonał, że się mylę fatalnie, gdyby kto szczerze i oczywiście mógł mi udowodnić, że jestem tylko jednym z tłumu, błogosławiłbym go może tak samo, jak tego, kto by mię przekonał, że jestem wielkim talentem. Tymczasem znam niepewność tylko i... zarazem mimowolne, niezwykłe poczucie się do jakiejś innej miary, instynkt prawie ślepy, że nie jestem tylko tym małym, pocziwym, pracowitym pionkiem. Instynkt ten może istotnie mylny... a może...

może prowadzący mnie prostą ścieżką do ukrytego skarbu...

Gdym obejmował przed kilku laty nieszczęsny mój urząd, zdawało mi się, że będę mógł swobodnie próbować sił swoich, *poznawać siebie* i *dać się* poznawać, pracując i tworząc w godzinach pozabiurowych. Zdawało się, że, zapewniwszy jako tako byt Lili i sobie, będę mógł oddać się pióru i z jego pomocą dopełniać tymczasem, a wkrótce potem wyłącznie tylko zdobywać środki do życia, do swobody. I byłem dziecinnie szczęśliwy wraz z biedną Lilą moją, bo mi się wówczas zdawało, że przebiegniemy chyżym krokiem tę wiecznie świeżą, wiecznie słaną różami dolinę młodych i zakochanych marzycieli. Ona jednak i wtedy była już nieco sceptyczniejszą, przynajmniej pod jednym względem, pomimo to, że mię tak bardzo wtedy jeszcze kochała. Pamiętam, niegdyś, gdym głośno wobec niej marzył i zwierzał się przed nią ze swoich pragnień i nadziei, potrząsnąwszy z niezadowoleniem kształtną swą główką, powiedziała mi wręcz, bez ogródek — choć niby żartobliwie:

— Wiesz, Edziu, — jest to rzecz bardzo ryzykowna. Przedewszystkiem (dla ciebie przecież powinno to być przedewszystkiem) dlatego, że mam gust wcale niezły i dosyć wyrobiony — i że miernych pisarzy poprostu nie znoszę. Pierwszorzędnych zaś bywa zwykle najwyżej kilku w narodzie, współczesnych, naturalnie, — i pierwszo-



rzędni zwykli się zdradzać z talentem swoim w bardzo już młodym wieku. Ty zaś, bądź co bądź, masz już lat dwadzieścia kilka. Zapewne dotychczasowe warunki kępowały cię do pewnego stopnia — studia, zarobki, zawsze jednak cośby już mogło się wyrwać, wytrysnąć z pod pióra twego, coby świadczyło wyraźnie...

Nie wiedziała jeszcze nic o pierwszych próbach moich uniwersyteckich, tym źródle wszystkiego; za mało sam je ceniłem, żebym się mógł przed nią produkować z niemi. Słuchałem więc dalej.

— Otóż albo musisz wzlecieć w górę odrazu wysoko i wspaniale, albo wyrzec się próby, aby, broń Boże, nie upaść z jakiegoś strychu lub daszka. O, bo wówczas — źle to czy dobrze, ale zapewniam cię, że przestałabym cię kochać! Lepiej daj temu pokój, mój drogi. Zostań takim, jakim cię znam teraz — zdolnym, wykształconym, ładnym. (O! ładnym bądź jaknajdłużej: nie łysiej, nie nabieraj tuszy), bardzo szlachetnym i niesłychanie dobrym chłopcem. Czy to mało? Tak się obawiam tych... zapoznanych wielkości! Gdybyś został takim, jak jesteś — zostałbyś na zawsze moim «ideałem.» Och, te miernostki ze swoją *mania grandiosa!* i z dziwactwami na starość! Znawcy gardzą nimi, motłoch ich tylko czyta, przelykając tak samo jak łyka codzienną swą strawę. I ja miałabym mieć takiego małżonka! ależ to straszne!

Odpowiedziałem niby półzartem:

— Zapewne. Ale gdybym przypadkiem i niespodzianie został naprawdę znakomitym autorem?

Kapryśnie rzuciła ramionami i powiedziała z komicznym patosem:

— Wtenczas szalałabym za tobą, ubóstwiałabym cię bez granic. — I odwróciła prześliczną główkę trochę nadaśana i chmurna. Ale po krótkiej chwili uśmiech zadrgał w kącikach jej ust, choć marsik jeszcze w gęstych brwiach gościł. Zerwała się i stanęła przedemną, przybrawszy pozę uroczystą i drobną dłoń podnosząc w górę.

— Przysięgnij mi przynajmniej — zaczęła z wielką powagą — że jeżeli cię to złe skusi, użyjesz niezawodnie najdyskretniejszego pseudonimu — tak, żebym i ja nawet, żebym i ja nie wiedziała pod jaką ukrywasz się przyłbicą, nie mówiąc już, naturalnie, o reszcie śmiertelników!

— Ależ i owszem, przysięgam! — odpowiadam, śmiejąc się serdecznie.

— Nie! seryo cię o to proszę — daj mi słowo honoru!

— Honorem ręczę, Lili, — odpowiadam już i ja wówczas poważnie, — że chyba wtedy tylko wyjawię przed tobą mój pseudonim, gdy on na zaszczyt ten zasłuży — i wtedy tylko dam ci przeczytać utwory moje.

Westchnienie pełne ulgi ulatuje z jej piersi; potem otacza szyję mą ramieniem i mówi bardzo czule:



— Dzięki ci, mój drogi. Jestem próżna, cieszę się, iż nikt wiedzieć przynajmniej nie będzie, że jesteś miernością tą nieszczęsną. Nie obrażaj się tylko, — nie mówię przecież: graomanem, albo nędznym skrybą...

— O pani! — odpowiadam z głębokim ukłonem.

Tak ona myślała w przededniu naszego dzisiejszego życia. Ja-bo myślałem inaczej. Urząd, który obejmowałem przed kilku laty z przekonaniem, że mi zostawi czas na literaturę — inaczej wygląda w rzeczywistości. Dość prędko, niestety, musiałem się zorientować, że to zajęcie pochłania mi czasu bez porównania więcej, niż innym kolegom moim biurowym, że każdy z nich o wiele lepiej i prędzej pełniłby służbę moją. Nie jestem prześladowany bynajmniej — jestem tylko sprawiedliwie ceniony wedle sił moich i zdolności. Te ostatnie nadzwyczaj nędznie tu się przedstawiają. Niesłuchanie tępy jestem do wszelkich operacji tego rodzaju. Sklecać podania, raporty, układać przedstawienia urzędowe, sprawozdania przeróżne — jest dla mnie wielką, trudną męczarnią. Nie cierpię tych papierów, języka ich drewnianego, ich martwoty. Nauczyć się nie mogę. Z niezaprzeczoną a wyraźnie odczuwaną zazdrością patrzę czasami na pisarzy — kancelistów... O, gdybym mógł machinalnie przepisywać tylko! Wolałbym studyować kaligrafię całymi miesiącami, gdybym mógł zastosować ją w ten sposób. Nie posuwam się ani na włos na

służbie. Co roku młodzi wstępują, awansują, wyprzedzają mię z szybkością całkiem zasłużoną. Ja sam i ona nawet, biedna Lila moja — przywykliśmy do tego stanu rzeczy. Z początku rozpacz porywała, teraz apatya i tepe cierpienie. Ona nigdy słówkiem nie wspomni o tych sprawach. Zrozumiała oddawna o co chodzi. Bóg widzi, że ile tylko mocy mi staje i możliwości, staram się skrepować i wyłamać biedną moją naturę, by się nagięła do ciężkiego jarzma. I niedołąźnie, żółwim krokiem stapa ten słaby ptak, któremu skrzydła łamia, by nie mógł latać... Ptak w roli wołu, skrwawiony ptak nieszczęśliwy, rwący się ku błękitom!... A jednak przyznać muszę, że moja władza jest swoją drogą niezwykle pobłażliwą i względną dla takiego jak ja pracownika. Wygląda to prawie na filantropię: wiedzą, że mam żonę i dziecko, więc litują się i trzymają...

Drzę jednak ciągle, aby tej świetnej posady nie stracić i z prawdziwym heroizmem wysilam się i pracuję jak mogę i jak umiem, wyrzekając się ulubionej, właściwej mej pracy. Tak, z heroizmem niezaprzeczoną, bo czynię to z takim uczuciem męki, z jakim-by Kolumb, naprzykład, tłukł na drodze kamienie, zamiast puszczać się na okręcie ku ziemi wymarzonej. To co innego, że Kolumb był Kolumbem, ja zaś jestem może tylko lichym wróblem, któremu śnią się skrzydła orle: czulibyśmy w podobnym wypadku całkiem



jednakowo — poświęcenie nasze i męka byłyby także jednakie.

Gdyby kto mógł mię widzieć — z tego mojego świata — mnic, drobnego i cichego urzędniczka, starannie i powoli kreślącego litery niedołączną ręką, aby czego nie wypuścić lub nie powtórzyć, aby być «ścisłym i zrozumiałym» — «ścisłym i zrozumiałym,» jak powtarza mój zwierzchnik z protekcyjno-uprzejmym uśmiechem... Gdyby mógł kto widzieć tego małego człowieczka, lękającego się łagodnej wymówki za drobne błędy, surowszej za grubsze! O, jak bezpiecznie, jakże zacisznie się czuję pod moją maską literacką, co kryje «zdolnego pisarza» — tak już nazwano mię jednak kilkakrotnie w listach prywatnych z redakcyi. Tylko zapewne ci, którzy to pisali, za ledwie o tem mogliby przypomnieć sobie, gdyby ich kto o mnie pytał...

Tych biednych moich kilkanaście fragmentów przedzielają głębokie pokłady zapomnienia. Tak rzadko i mało pisać mogę, poświęcając na to marne resztki czasu, gdy wyczerpany już jestem służbą niewolnika, gdy chwile te odrywam od koniecznego wypoczynku, od pieszczot i szczebiotania Henryczka, którego nie mam mocy i chęci zsadzić sobie z kolan! A jednak nie mogę obejść się bez pióra, szczególnie od czasu... gdy z *nią* już tak mało i *tak* lub *nie* tylko mówić możemy. Ileż-to razy muszę zabierać do domu papiery urzędowe, którym rady nie mogłem dać w biurze!...

To też w redakcyach, zawsze jako nowicyusz, czekam długo kolei. Prace moje ukazują się tylko w wielkich odstępach czasu; o jednych się zapomni, zanim się drugie zjawią — i każdym razem występuję w roli początkującego autora. Ludziom na razie podobają się te drobnostki — i to nawet bardzo, ale niema spójni w tych luźnych wrażeniach i efektach. Nie mogę nigdy kuć żelaza póki gorące, nie wolno mi jest wypuścić raz po raz kilkunastu przynajmniej rakiet świecących, aby z nich pozostało wrażenie całego fajerwerku, całego błyszczącego obrazu, oślepiającego publiczność. Tryskały jaskrawe iskry te rzadko i pojedynczo, więc też nie mogły zarysować szerokiej linii świetlistej w pamięci tych, którzy mię czytali. Myśl, że posądzić mnie mogą o brak tematów, brak wyobraźni i twórczości — boli mię okrutnie, chociaż z drugiej strony przypominam sobie coraz częściej, że nikt zapewne nad tem nie medytuje... Pełną mam głowę marnujących się, uwieczonych pomysłów, pełne ich serce, pełne nerwy drgające niemi, — lecz nie mam czasu wypuścić ich na wolność, rozwiązać im spletanvch skrzydeł... O! ciężka to męka!

Gdybym był sam!... Sam — czyżbym się zastanawiał choć jedną chwilkę? Wyrwałbym się z tych galer, nie oglądając się na nic — i uтворяł sobie drogę... Z *nią*... niepodobna — a może tylko tak słaby jestem, tak boję się o nich, że mi się to wydaje niepodobieństwem. Ona-by mię



nie rozumiała... Brzmi to tak nieszczęśliwie, że aż samego mnie razi, aż mnie samemu nasuwa podejrzenie manii wielkości. A więc niech będzie—nie rozumielibyśmy się w żaden sposób. Tyle mi razy mawiała z prawdziwą wdzięcznością, z tą rzadką ciepłą nutą, której nigdy już prawie nie słyszę:

— Jestem ci nieskończenie wdzięczna, drogi mój Edwardzie, za wytrwałość i cierpliwość w nieznośnej twej robocie, tembardziej, że, jak sam twierdzisz, jest ona trudną i przykrą dla ciebie — i że nawet uzdolnienia w kierunku tym nie posiadasz. Wielka to ofiara dla nas, mój ty kochany biedaku!

W tonie jej przebija odrobina litościwego współczucia... jak u zwierznika w biurze.—Raz jeden próbowałem nadmienić jej zdaleka i prawie niewyraźnie: czy nie należałoby spróbować szczęścia w innej jakiej sferze? Aż drgnęła na to, przeraziła się ogromnie.

— Na miłość Boga! — zawołała — teraz wszędzie taka walka, taka konkurencja olbrzymia. Trzeba do tego obrotności niezwyklej, specjalnego daru zawiązywania stosunków, a tego (wybacz mi) całkiem nie posiadasz! Proszę cię najgoręcej — nie myśl o tem bynajmniej! Moglibyśmy dojść jeszcze do ostateczności.

Z matką mówiła otwarciej, — usłyszałem to niegdyś mimowoli, spóźniwszy się nieco z wyjściem do biura.

— Żadnego lepszego stanowiska nigdy on nie uzyska. Pod tym względem okrutnie jest nieudolny. Lękam się prawdziwie, aby nawet tej lichej posady nie stracił. Wiem dobrze, że go zaledwie tolerują—dla rodziny... I wszędzie byłoby to samo. Nadzwyczajne niedołęztwo. Długo mi się to zmieścić w głowie nie mogło: taka ładna, wyrazista powierzchowność, przytem tyle życia w ruchach i mowie — taki inteligentny! Teraz, prawda, ocieżał i zapatyczniał ogromnie... Poznać go prawie nie można.

Słowa te szalenie mię zabolowały. Chciałem rzucić się do niej, aby potwierdzić, co mówiła o niedołęztwie mem do robót rzemieślniczych — lecz zarazem gniewnie zaprotestować przeciw tej domniemanej ogólnej nicości mojej, przeciw jej wzgardliwemu pojęciu! Byłem jednak tak ciężko ranny po jej słowach i taki wstyd mię pożerał wobec tego niepotrzebnego świadka, że, chwiejąc się, wyszedłem do biura i przepaliłem wszystko w swojej piersi. A zresztą — cóżbym jej mógł powiedzieć na dowód, na obronę? Tak trudna i tak wymagająca jest pod tym względem! Tych parę listów pochlebnych, tych parę wydrukowanych rzeczy?... Uśmiechnęłaby się tylko, że dla tych pierwszych, bądź co bądź, kroków — łamię naszą umowę. Wiedziała, że pisuję i że używam jakiegoś pseudonimu, lecz ani utworów, ani pseudonimu nie знаła. Jeden raz tylko wpadł do rąk jej wpływowy dziennik z moją fantazyą dramatyczną.



— Prawdziwie ładna i oryginalna to fantazyja — powiedziała po odczytaniu. — Czy nie wiesz czasem — czyj to pseudonim? bo, że pseudonim — to pewne.

— Nie wiem — odpowiedziałem, z trudnością zwalczając siebie i czując jednocześnie radość i gniew za jej niedomyślność.

— Czy jest to jaka młoda siła? nowy talent? Ciekawam, czy będzie co z niego? Czy pójdzie dalej i czy utrzyma się na wysokości? Bo przecież i całkiem miernym autorom udaje się czasem napisać coś dobrego.

O, dużo, dużo miałbym jej do powiedzenia, ale ją kocham, kocham! i rzucam się tylko niedo-  
łęźnie w błędnem kole i szukam wyjścia naprzóno.

Właściwie... jest jedno wyjście dostępne dla mnie, energiczne i szybkie. Marzy mi się ono, marzy i we dnie i w nocy... a coraz uporczywiej, a coraz wyraźniej.

Gdybym mógł dodać do tego, co już napisałem — a raczej to, co napisałem, dodać do tego, co pragnąłbym jeszcze napisać koniecznie, chociażby w nocy, chociażby kosztem krwi i sił ostatnich — i gdybym dał się poznać wszechstronnie, odrazu — w osobnem, kompletnem wydaniu?...  
—

Lecz, aby doprowadzić wydanie takie do skutku — jeden tylko, jedyny sposób mam w swojej mocy. Wierzę w środek ten niezachwianie i widzę cel przezeń osiągnięty, jak widzę dzień biały.

Czuję, że jeśli się poddam... smutnemu czarowi tego środka... czarowi tego rodzaju — jak ten, co mię pociągał magnetycznie do młodo zgasłych poetów — wydanie moje... pośmiertne — tryumfem będzie. I tryumf ten, chociaż przeczuty tylko, chociaż nigdy odczuty i przeżyty być nie ma, ogromną moc rozpostarł już nade mną. Magnetyzuje mię i pociąga, — jak raj, przez który ma przelecieć chwilowym cieniem przepiękny anioł czarnoskrzydły... Tylko więc chyba drogą śmierci...

Rozpierzchnęła, spłowieła garstka poprzednich wrażeń — błysnąć powinna na nowo i zmartwychwstać, skupiona i mocna. Lecz tego jeszcze za małoby było. Ona częścią tylko być musi. Zakreślę sobie termin — i w tym terminie, chociażbym miał podeptać wszystko, co mi na drodze stanie, chociażbym nikczemnie udać miał chorobę lub manię — dopiąć swojego muszę. Muszę dać życie tym «dzieciom ducha,» jak ludzie nazywają je zwykli — tym biednym, niespokojnym myślom, obrazom, konturom i szkicom tłoczącym się, walczącym o pierwszeństwo w zboląlej głowie mojej. Jeżeli wystąpić mam ze zbiorem — niechże on będzie ile możności kompletnym, niech poznają mię takim, jakim jestem.



### Szereg drugi.

Tak więc — jedyny tylko środek niechybny: niezwykła nagła śmierć! Jestem już prawie maniakiem, ale wnioskuję logicznie. Codzienne doświadczenie nam mówi, że wartość rzeczy i ludzi wzrasta, niepomierne nawet, po ich utracie. Wartość zdolnego, bądź co bądź, człowieka wzrośnie od razu, gdy go już nie stanie. Gdy konkurencya nie grozi i gorsza od niej obojętność, nikną obawy, — a żal za zmarnowanym młodem jeszcze życiem — do serc szeroko się wkrada; sympatya mimowolna gorącą falą przypływa do tego ciała zimnego, do tej śmierci, która, życiem będąc, nie mogła sobie jej zdobyć. Jak zręczny redaktor wyzyskuje kwestyę dnia, chwilę i modę, tak i ja marzę o wyzyskaniu sympatyi pośmiertnej i żalu. Bez takiej «reklamy» dla moich nowych rękopisów i dla dawniejszych utworów — nie zwróciliby na nic uwagi. Wydanie zbiorowe musi mieć znaną firmę. Wydania z pseudonimem mało popularnym — nie podejmie się skromny wydawca, gdyż ryzykować nie może, — wydawcy wybitniejsi mają aż nadto materiału z gwarancją powodzenia.

Ale... czy miałbym prawo wyemancypować się w ten sposób ze swej obskurności?... Otóż zdaje mi się, że miałbym je z pewnością. Być może, że nie umiem wzbic się w górę, nad męty życia mego, choćby się siła znalazła. Nie umiałem

dotąd i nie potrafię zapewne nigdy! Jeżeli tak dalej żyć będę, jak żyłem dotąd, czuję, że pajęczyna ta moja do reszty mię oplącze. Jej cienkie, lepkie, na pozór prawie niewidoczne nitki poczną rosnać i grubieć coraz bardziej, aż wreszcie się przekształcą w łańcuchy żelazne, w beznadziejne pęta, dziś już duszące mię — jak wizya przyszłości. Długie wysiłki to nie moja rola: jednym tchem wzbiedz wysoko i zapanować nad horyzontem! Jak gracz — postawię wszystko na jedną kartę, — ale dobra to karta, atutowa! A jeżeli... jeżeli szaleńcem tylko jestem zaślepionym, to wolę nawet szaleństwo takie od zdrowego, psiego życia mego. Niechbym umarł w szczęśliwym urojeniu, że po śmierci przynajmniej poznają mię — i te myśli moje wpłyną w żywe dusze ludzkie, a nie zaśnie-dzieją wraz ze mną w ziemi, zostaną na słonecznym świecie i długo na nim gościć będą...

A tryumf nad ukochaną kobietą?... nad ukochaną, a już nie kochającą... Ten wielki tryumf, jej zachwyty niespodziewany, podniecony i rozżarzony boleścią i żalem... idealizującym, rozmarzającym żalem. I ta najbliższa pozna mię wówczas dopiero, gdy inni otworzą jej oczy, a śmierć udrapuje mię malowniczo w płaszcz czarny — jak poległego zwycięzcę... Wtenczas na nowo pokocha, jak nigdy nie kochała — i kochać tak będzie przez całe życie — cień mój i sławę moją!...

Nie wahałbym się ani chwili, gdyby nie jeden względ... względ ważny, o którym myśleć nie



mogę bez męki. Ale muszę, muszę nareszcie, bo mój ten zamiar fatalny rośnie i krzepnie z zagrażającą szybkością. A więc... Dziecię... dziecino ty moja... Henryczku! O, tobie wszystko jedno, czy ojciec twój jest nędznym popychadłem w biurze, czy sławnym, wielbionym pisarzem! Dla ciebie tylko śmierć moja będzie przerażającym upiorem — ta «ładna, efektowna» śmierć młodego obiecującego talentu. Ciebie «wypadek» ten zgębi, przerazi — i zasmuci tym pierwszym wielkim smutkiem, który się pamięta przez całe długie życie... Tak, pamięta się przez całe życie... ale odczuwa się je najwyżej przez dni kilka. Widziałem nieraz małe sieroty... i wiem, że boleść ich, łzy ich serdeczne za ojcem lub matką wyczerpują się zwykle bardzo prędko. Potem, jeśli już płaczą i cierpią... to chyba nad sobą i za siebie, jeżeli warunki ich życia zmieniają się na gorsze. Ja zapewnię swemu lepsze życie przecież, a więc dla tych dni kilku... kiedy nawet będzie komu pocieszyć go... i lzy jego otrzeć. Tak... zdaje mi się nawet, że tu przemawia stokroć potężniej mój własny żal rozstania, mój żal pożegnany — niż domniemana rozpacz jego dziecięca! Ale czyż mogę swymi uczuciami — czucia jego mierzyć?

Pozostaje więc żal ten mój za nim, płaczący. Trzeba... pokonać go... i z serca wyrzucić... Och... trzeba go pokonać i wyrwać... wyrwać z serca...

### Szereg trzeci.

Gdybym przesadnym był lub fatalistą — wierzyłbym w szczególne znaczenie dla mnie dnia dzisiejszego: łaskawe tym razem fatum miałyby mi go niby zesłać... aby ułatwić wszystko... co mi jest przeznaczone. Nie jestem ani jednym, ani drugim — i dzień ten uważam za równie niewinny — jak resztę dni moich.

Byłem coraz o cięższym i tępszym podczas zajęć biurowych. Już na początku sprawozdania rocznego — popełniłem kilka rażących błędów — i w dalszym ciągu szło mi jeszcze gorzej. W tym roku nie byłem nawet sumienny i staranny jak dawniej.

Ponieważ jednak wyglądam bardzo blado i chudy jestem jak po chorobie (musi mnie nużyć swoją drogą moja nocna robota) — nie tylko uszło mi wszystko, lecz nawet łaskę zyskałem. Mam szczęście w planach moich. Zamiarowi memu sprzyja widocznie bóstwo jakieś opiekuńcze — wszystkie muzy z Apollem na czele! Korzystajmy więc, korzystajmy...

A więc mam całkiem wolnych dwa miesiące — tyle mi już tylko potrzeba.

Najbliższy mój zwierzchnik, ten litościwy, nieporównany w protekcyjnalnej dobroci swojej — raczył mnie przywołać do siebie i rozmówił się ze mną «całkiem po ojcowsku,» klepiąc po ramieniu z dobrotliwym uśmiechem:



— Po tak «mozolnej» pracy należy się panu na prawdę wypoczynek.

— Pan mi wymawia posadę? — pytam tak apatycznie i spokojnie, jak gdybym chciał się dowiedzieć, która godzina.

— Ależ zkaąd znowu, panie kochany? — za cóżbyśmy wymawiali? Wszak każdy widzi staranność i dobre chęci pańskie. Tylkośmy to spostrzegli, czego pan sam nie zdaje się zauważać. Wyglądasz pan bardzo nieszczególnie, kompletnie jak chory. A że teraz, po Nowym roku, w ciągu dwóch miesięcy będziemy mieli znacznie mniej roboty — możemy śmiało dać panu urlop, niewątpliwie potrzebny. Skorzystaj pan, wypocznij i wzmocnij się na dobre. Doprawdy, jesteś pan dla mnie nadzwyczaj sympatycznym... i nawet powierzchowność ma pan tak... niepospolitą, tak obiecującą...

Spostrzegam lekkie, powstrzymywane uśmiechy pod wąsem u moich «zdolnych» kolegów, którzy mnie nawet po swojemu lubią, bo nikomu z nich w drogę nigdy nie wszedłem, niczym rywalem być nie mogłem.

— Czy tak? — odpowiadam prawie mimowoli, ale tonem tak żartobliwym i swobodnym, że brzmi to jakoś dziwacznie, nieodpowiednio i w tem otoczeniu i wobec zwierzchnika. — Dziękuję panu za urlop i komplementa: istotnie powierzchowność moja nie ma w sobie nic... biurokratycznego... A jeśli nadużyję urlopu i samo-

wolnie go *przedłużyć*... czy wówczas pan mię wydalili? Nie, pewny jestem, że i wówczas — nie będzie pan *mógł* mię wywalić.

Uśmiecham się prawie wesoło i nie zważając na powszechnie zdziwienie, spozieram po raz *ostatni* na dużą, mroczną salę — ostatni, jak mi się zdaje. Kłaniam się wszystkim dokoła i wychodzę.

I wam zdawało się, ludzie, że to «ja» między wami marniałem. Nie ja — o nie ja wcale, lecz tylko «ma pauvre bête,» jak mówi Xavier de Maistre, znający się już dobrze — prawie sto lat temu — na rozdwojeniu jaźni. Przed wami był tylko aktor w nędznej i nikłej roli, niegodny was kompars — a wyście, jak głupie dzieci — aktora czynili odpowiedzialnym za rolę... Zużytkuję wasz urlop przepysznie — tę kość rzuconą mi łaskawie z waszego sytego obiadu. Lecz mniejsza o was. Co mi po waszych sądach?

Wówczas, gdy głowa moja opierała się coraz bardziej, gdym ją tyranizował waszemi bezmyślnymi robotami — chyliła się po nocach nad «moją» pracą, owiana podniosłą mocą myśli i zasilana gorącymi falami krwi serdecznej. Wracając z biura o piątej — od kilku już miesięcy — rzucałem się na łóżko — i spałem snem twardym aż do dwunastej w nocy. A potem, orzeźwiony i podniecony, pracowałem do rana — aż do godziny biurowej.

Jak ja rozkosznie piszę temi nocami! Jak się zaostrza, pogłębia i subtelnieje wzrok i słuch duszy



mojej!... A myśl dyktuje tak szybko, że ręka zaledwie zdążyć może za nią — i nieraz, drżąca, kreśli śpiesznie litery nieczytelne prawie. Obawiam się, że mogą ich nie wyczytać — a pomódz nie będzie już komu... Pilno mi, śpieszę — lecz trzeba się powstrzymać i wziąć się w kluby, by nic się nie zmarnowało. Wolniej... wolniej... biedny mój duchu, wyrwaj się z więzienia. Wkrótce uzyskasz swobodę... nieograniczoną.

Kilka miesięcy zaledwie upłynęło od pamiętnego postanowienia, a już skończyłem dwie spore rzeczy, skończyłem na papierze, gdyż w głowie dojrzały one oddawna — i napisałem kilka mniejszych z tematów wybranych, ulubionych. Pozostaje mi jeszcze parę gwałtownie rwących się do życia — a wtenczas wytchnę... czasowo czy wiecznie. Będzie zależało to od nastroju!... od chwili — szczęśliwej, czy nieszczęśliwej... sam uie wiem, jak mam ją nazwać.

### Szereg czwarty.

Ostatnich kilka tygodni pogłębiło jeszcze wyraźniej niż dotąd przedział pomiędzy nami. Biedaczka Lila, z bojaźliwą jakąś starannością, zdaje się troszczyć o wygody moje i ciszę. Nie protestuje już całkiem przeciw nienormalnemu porządkowi mych dni i nocy. Nie zdaje się nic nawet spostrzegać i nie próbuje przeszkadzać «szaleń-

stwu» memu. Nic o tem nie mówimy. Jesteśmy dla siebie bardzo grzeczni i nawzajem troskliwi. Raz mi tylko powiedziała, na początku jeszcze urlopu:

— Zdaje mi się, kochany Edwardzie, że mało korzystasz ze swej swobody. Nie wypoczywałeś dotąd wcale. Wydajesz mi się nawet jeszcze mizerniejszym, — wyglądasz jak syryjski anachoreta lub młody prorok fanatyczny. Chętnie-by cię takim malowali mistrze dawniejsi i dzisiejsi; co do mnie — wołałabym cię widzieć mniej idealnym...

Nie wiem, czy mi się wydało — stanowczo twierdzić nie mogę — że po tych ustach jej, tak niegdyś figlarnych, dzisiaj tak smutnych, przemknął uśmiech pokrewny temu, jaki miał «dobry» mój zwierchnik, mówiąc o mej «obiecującej» powierzchowności. Odpowiedziałem jej tylko, że źle ukrytą zapalczywością:

— Zapewniam cię, że są to ostatnie objawy — mej *manii*... Daję ci słowo, że jeszcze dwa jakieś tygodnie może popracuję nad tem, co mi się *wydaje* koniecznem — a potem *długi* spoczynek nastąpi.

Mimowoli wymawiam niektóre wyrazy z naciskiem i lekką ironią. Dostrzegła to, naturalnie, ale solenna moja obietnica oczarowała ją kompletnie. Zarumieniła się nawet z radości i położyła mi rękę na ramieniu ciepło, po przyjacielsku:

— A mójże ty drogi! jak to prześlicznie będzie! Nic gorszego, nad to wykołajenie z natu-



ralnej ścieżki, jak te ostateczności, wyczerpujące cię do reszty.

Tak więc... owo cielsko biurowe, «ma pauvre bête» — i ona także uważa za mnie samego... Ona «mnie» całkiem nie dostrzega nawet. Smutne to jest bez granic... Spojrzałem na nią z przestraczem prawie, bo w tej chwili głębia pomiędzy nami jeszcze się wyraźniej rozwarła i zaczerniała w mych oczach. Ona zaś, odwrotnie — przekonana, iż rzecz się ma nieco lepiej — szepnęła z bladym cieniem zalotności w swych ładnych oczach.

— O, jakżeś dziwnie spojrział na mnie — ty... mój zawsze piękny... obrazie!

Poczekaj... niezadługo już może w «obrazie» tym dojrzysz i «piękną duszę» sławnego człowieka... Ale wtenczas naprawdę zostaną ci tylko obrazy... obrazy — i nic więcej!

### Szereg piąty.

A więc termin już nadszedł. Skończyłem ostatnią rzecz moją, ostatnią, którąby żał mi było pogrzebać wraz z sobą, którąby może wiała się nawet po śmierci mojej w mej głowie. Zebrałem i ułożyłem w porządku dawniejsze fragmenta i świeże rękopisy. Przygotowałem już instrukcje i komentarze — i nawet list do głośnego redaktora i wydawcy zarazem, polecający mu wydanie pośmiertne,

list krótki, lakoniczny. Mam nadzieję, że dla śmierci mojej będzie uprzejmy — i grzecznie jej zechce wysłuchać. Spuścizna ta powinna dać blizkie dość pojęcie o mnie, dość blizkie o tem, czem-bym mógł być w zupełnym rozwoju talentu. Szczęśliwej drogi... po mym trupie.

Więcej już tak nie mógłbym pracować, bo smutek i znużenie coraz potężniej władną duszą, i żal nad sobą, kiedy poznałem siebie w tych dniach... ostatnich — rozrzewnia mię i zмага... Może-bym jeszcze mógł cofnąć ten wyrok śmierci, którym surowo podpisał na siebie?... Kto wie? może zabijam... dary najdroższe, które nie każdy posiada?... Jestem, być może... wybrańcem... Straszno puszczać wodze wygórowanym ambicyom i fantazyi... Och, trzeba spocząć... po tem wszystkim. Wszakże spoczynek taki — ciszą jest... wielkiem szczęściem...

Kilka dni dziecinnego żalu, jeden może rozdzierający krzyk kobiecy, jeden rześisty grad łez. Potem cicho... i dobrze. Doprawdy, że i jej lepiej będzie, gdy przyjmie posadę na kolei, którą już tyle razy wzięć chciała, gdy ją brat ofiarowywał.

W domu... przy... małym... będzie matka jej — mocna, energiczna kobieta, kochająca... wnuczka nad życie... Przytem jeżeli... jeżeli wydanie się powiedzie — uzyska dla... niego z czasem stypendyum z kasy literatów. O, wszystko dobrze będzie... Tylko trzeba prędzej z tem skończyć... bo wszelkie wysiłki pójść mogą na marne!

Do ostatniej... roboty.



### Szereg szósty.

Wielu ludzi... tak wielu, że mi się tłumem wydają... w tej dużej sali. Ludzie cisi, poważni... jak jeden rozmodlony człowiek w dużym kościele... Brakuje tylko wysokich świec żółtych, i palm, i kwiatów... Cisza we mnie i spokój... odczuta nirwana... odczuta nirwana? — absurd... Otwieram raz jeszcze i znowu przymykam oczy. Lekki wykrzyknik słyszę, cichy szept.

Nie chcę nic widzieć, czuć, rozumieć... Chcę być bezwładnym ciałem i duszą — spokojnym.

Ciche słowa wciskają się do ucha... słyszę, budzę się znowu.

— Niema obawy. Nie może być przytomnym. Tak, wielka szkoda, istotnie. Tyle dni agonii! Zapóźno spostrzeżono... Niepodobieństwo, niepodobieństwo. I tak dziwić się należy — nadzwyczaj długa zwłoka...

Cisza znowu. Chcę patrzeć. Widzę znowu twarze... same męzkie... najwięcej młodych... Nie chciałbym nic rozumieć, ani wiedzieć — ale zaczynam domyślać się i kombinować...

Dziwię się. Spojrzenie moje pada na kogoś, stojącego wprost przede mną wysoko, jakby na podniesieniu. Obok niego widzę jakiś przedmiot czworokątny, także wysoko. Człowiek ten trzyma coś w ręku... podnosi rękę i spuszcza co chwila... Oczy jego... znane mi skądciś, kierują się wyraźnie

ku mnie i znów padają na przedmiot czworokątny... A! staluga — pędzel — paleta... A!... znakomity portrecista... to on... Stoi wysoko, aby twarz moja całą mieć przed sobą... On mię maluje!

Ja... zatem także... wysoko już stać muszę... ja... ja zatem iść mam... jeszcze wyżej!...

Nie — och, nie! ja tego nie chcę. Gdzież są oni, gdzie *oni*, gdzie oni!?...

Oczy moje, szeroko otwarte, płoszą malarza. Zstąpił ostrożnie — i znikł w tłumie. Tylko przyrządy jego zostały w oczekiwaniu... «sposobniejszej chwili...»

Napróżno próbuję się zapamiętać — nie mogę już... nie mogę...

Ile też czasu trwało to nieświadome istnienie? — bo przecież *jeszcze* istnieję. Jeszcze!... Czemu, gdy zamknę nawet oczy, mającą ciągle przede mną te pełne czci twarze, to ich skupienie... oczekiwanie?... Czemu ten znakomity malarz do reszty mię uprzytomnił?... Ja nie chcę już... aureoli.

Kiedy przez dłuższą chwilę trzymam oczy otwarte, pochyla się nade mną druga twarz, z kąciś mi znana — twarz mądra i spokojna... To... to inna znakomitość... gwiazda lekarska. Mówi łagodnym półgłosem:

— Jakże się pan miewasz, panie kochany?

Nic mu nie odpowiadam. Wobec nich przynajmniej uchodzić chcę za nieczującego. Przymykam oczy, jak gdybym nie słyszał. Utwierdza



go to w przekonaniu, że nie mam żadnego poczucia świadomości.

A ich niema... niema? Może oni nie wiedzą? Nie trzeba o nich myśleć... nie chcę bólu. Patrzeć i słuchać.

Z kim mówi wielki chirurg? Uformowała się przy nim i tym kimś innym grupa tych młodych ludzi... w białych fartuchach — tak, to studenci medycyny... Nareszcie widzę tego pana... Co to jest?... Czy być może?... Tak... ależ niezawodnie jest to redaktor dumnego a niedostępnego «Miesiąca!...» Zapewne tylko co nadszedł. Przypatruje mi się z ogromną, dziwną ciekawością i jakimś niby wielkiem zmieszaniem. Gdy wreszcie spotyka oczy moje, wpatrzone uparcie w twarz swoją — miesza się jeszcze wyraźniej... Robi jakiś ruch dziwny i nieokreślony. Czy to współczucie?... czy niezadowolenie?... jakiś rodzaj ukłonu... i odstepuje w głąb grupy. Słyszę tylko odpowiedź chirurga na ciche jego pytanie:

— Tak się tylko wydaje... jest nieprzytomny.

A ich jeszcze niema?

To znaczyć ma... że gwiazda przyciąga gwiazdy... «znakomitość» — znakomitości. Lecz ja... ja jestem tylko skromnym urzędnikiem z biura, potentaci! Żenujcie mię... uznaniem... hołdami swemi... ja nie chcę być znakomitym... nie chcę tak świetnie... umierać.

Długo zapewne tu leżę... jeśli oni zdążyli przeczytać już czy przejrzeć — jeśli mię ocenili... jak

tego chciałem. Ale teraz już nie chcę, nie chcę tych splendorów. O! gdybym mógł — cofnąłbym wszystko!... Lecz w mojej mocy jest teraz — umrzeć tylko...

Co to być może — ten gmach rozległy... ta młodzież? Musi to być zapewne... klinika? szpital jakiś? dokąd mię przeniesiono wprost z wagonu...

Pamiętam, pamiętam, jak wystrzeliłem raz... niby w skroń... źle! drugi raz niby w serce — widocznie także nieszczęśliwie... Djabelnie drżała ręka... bohatera.

A ich wciąż jeszcze niema i niema?...

Zatem powiodło mi się. Jestem u kresu swych marzeń. Mogę to jeszcze powiedzieć w czasie teraźniejszym, tutaj na ziemi. Powinienem być szczęśliwym... i dumnym. A jednak... Pozwolono mi jeszcze, człowiekiem będąc — skosztować najwyższego w pojęciu mem szczęścia, za które życie oddałem. Ale gdzież jest to szczęście? czemuż stopniało w boleści?... żal wielki i rzewność melancholijna...

Słabo mi, bardzo słabo. Czy być może... żebym tak bez nich... odszedł?!... Coraz mi słabiej, ciszej, spokojniej tu w sercu... jakby sennie. Słyszę odgłosy kroków: to przesuwają się zapewne ci młodzi... Pójdą oni wkrótce obstalować wieniec z napisem: «młodemu, nieodżałowanemu» i t. d., a potem pełnić będą straż honorową przy trumnie. Ich zwykle w razach podobnych tak to zajmuje i... bawi. Wszystko mi jedno — tak cicho, cicho



w sercu. Widocznie nawet twarz moja wygładza się już i uspakaja, bo oto chirurg podchodzi i delikatnie za puls mię bierze. Ktoś inny zbliża się jeszcze ostrożniej, na palcach, i pyta o coś cicho. Profesor odpowiada widocznie gestem, którego nie dostrzegam. Potem nieco się oddala i mówi do kogoś tym samym cichym a wyraźnym głosem, który słyszałem już kilkakrotnie:

— Panie, czy i pan podzielasz opinię dzienników, że miał to być talent wspaniały i wyjątkowy? że jest to strata nieodżałowana?

Otwieram oczy obojętnie już i spokojnie i czekam wraz z chirurgiem odpowiedzi redaktora.

— Bezwarunkowo, profesorze. Pyszne zostawił rzeczy—mówi nerwowym i szybkim szeptem wielkość dziennikarska. — Ostatnie zaledwie już tylko naszkicowane; znać pośpiech szalony, znać na nich blizką tragedję. Ależ to szkice mistrza — dla wybrańców, co na nich poznać się mogą! Pierwsze utwory precudnie nawet wykończone. Drukarnia i korekta pracują nad niemi nieustannie. Furore zrobi to wydanie. Dla społeczeństwa szkoda kolosalna. Biedak nie umiał radzić sobie w życiu. Dziwnie gołębia natura... prawdziwie z Bożej łaski. Od czasu do czasu dawał przesłiczne drobnostki. Zdawało się, że na nic poważniejszego się nie zdobędzie, a tu...

Zamilkli, jakaś przeszkoda... To ciche jakieś kroki, lżejsze i powolniejsze—niż wszystkie inne...

i jeszcze jakieś kroki częstsze, daleko głośniejsze, drobne, drobnouchne...

Och nie!... nie! Jeżeli się poruszę — czuję, że już odejdę. Tymczasem duszność w gardle, łyzy napływają do oczu... nie mogę ich otworzyć... Ręka moja... ręka! coś czuję na niej miękkiego, świeżego i gorącego — to usta cisnące się do niej z drżeniem... ostrożnie... z namiętną, korną czułością...

Otwieram oczy pełne łez szeroko i patrzę w oczy także łez pełne... łez pełne...

— Najdroższy! ubóstwiany mój! przebaczenia!...

— Ojczulku!... Ojczulku!

— Życia, życia, och, ży!...

Nie braknie wysokich świec żółtych — i palm wysokich zielonych... Czuć wonie masy kwiatów



## C U D.

(NOKTURN).

Zaiste, «srebrna cisza» zagląda w te wielkie tafle szklane. Dwa bezmierne obszary, jakby dotykające okna tego, rozlewają się i wzdłuż i wszerz, wzbijają w górę, błękitniejąc powoli. U dołu, niby tkaniny białe, niby marmury zbrzdżone zielonawymi rysami. Lśnią na nich wszędzie garście dyamentów i strugi kryształowe. U góry obszar szafiru czysty i jednolity, rozjaśniony białym jak śniegi księżycem. W wielkim majestatycznym świetle oblicza miesięcznego bledną i wędną kwiaty gwiazd, gęsto rozsiane. Zamarzłe kryształowe fale na ziemi — uroczyste, świątyniowe błękity w niebiosach. Rozdziela je, lecz i łączy zarazem, ciemniejszy pas w dalekiej perspektywie: mozaikowa stua z marmurowych i granitowych pałaców, ciągnących się jakby bez końca.

Cudzoziemiec nieśmiało i wrogo wpatruje się w te zielonawe kryształy i w te zastygłe błękity,

które ogląda po raz pierwszy. Ze zdziwieniem spostrzega na zwierciadlanej szybie podwójnego okna misterną tkanę lodowego haftu... A jednak wielki komin w brązowej oprawie wyrzuca oddech gorący, jak paszcza lwa afrykańskiego — i krwawem, nienawistnem okiem błyska ku tym przezroczom brylantowym. Nawet i na taką północ wieczór niezwykle jest mroźny.

Cudzoziemiec odwraca się od okna z lekkim drgnięciem ramion. W myśli jego majaczy przez chwilę bajeczna królowa lodów, renifery i zorze, — zmartwychwstaje dziecinna nienawiść do złej czarodziejki i dziecinne współczucie dla małego bohatera, marznącego w jej objęciu. Krew południowca burzy się i buntuje... Z lekką irytacją nawet zatrzymuje wzrok swój na pięknej ciężkiej kotarze nad łóżem Louis XV i na barokowej rzeźbie komina.

— Tapety i dywany z białych niedźwiedziej skór byłyby tu na miejscu — i pięknie, i «stylowo!» — myśli z niezadowolaniem. — Niebieska brokatela jakby szronem się jeży. Swawolnych nagich amorków chciałoby się ubrać po kamczaku.

Pada na fotel przed kominem i wpatrując się w płonące wielkie kłody drzewa (zdawało mu się, że takie kłody spłonęły już bez śladu przed wiekami w ogromnych halach myśliwców rycerzy!) zamyśla się głęboko i smutnie. Nie nad misą swoją w «północnej Palmirze» zastanawia



się w tej chwili, jak każdy-by to zrobił może na jego miejscu, — nie nad jej kontrastami i splendorami. Tylko bajeczne otoczenie to naprowadza go znowu na myśli, które gnieździły się niegdyś stale w jego głowie. Im dalej cofa się wstecz wspomnieniem, im młodszym, im nawet dziecinniejszym się widzi, tem gęstsze, barwniejsze i żywsze zlatują się ku niemu te dawne mary lotnoskrzydłe, te dawne ciche ekstazy... Dziś wydają się spielonymi i pogrzebanymi na wieki w wyziębłej urnie smutnej duszy jego. A jednak nie może dotąd się oprzeć cichemu rozmarzeniu — i nagły żal do serca mu się wkrada za fantastycznym tym szeregiem towarzyszy młodego ducha jego, coraz błedziej się lśniącem w niedoścignionej oddali...

Zaduma o dawnym sobie opanowuje go całkowicie. Zestawia z nim siebie dzisiejszego — i z gorzką ironią spostrzega jak «urósł,» albo... «pochylił się» raczej, od lat tych, tak pełnych ułud, jak i ten dziwny wieczór seledynowy na dalekiej obczyźnie.

Niegdyś! o, nie odwróciłby się z pewnością od takich sreber i szafirów! Myśl jego rzuciłaby się całą mocą wobec pięknych tych zimnych światel — na spotkanie wciąż przeczukanego, wciąż upragnionego tajemniczego celu życia. W oczekiwaniu tem zwracał się niegdyś ku niemu z automatycznymi ruchami słonecznika, szukającego słońca, chociaż rzeczywistość miotala

nim na wsze strony. I gdyby wówczas naprawdę zabłysło dlań chociaż na chwilę jakieś szczególne słońce na świecie, który go tak mało obchodził, stałby się świat ten dlań wszystkim — i w prochu świata tarzałby się szczęśliwy.

Tym słońcem, namiętnie pożądanym, którego nie spodziewał się już ujrzeć wcale — było urocze słońce cudu! cudu objawionego na ziemi — chociażby w czołgającym się cielsku płazu, któryby przemówił doń słowami baśni — chciał cudu. Cudu! to jest rozwartych podwoi do «innego» świata. Bo mógłby uwierzyć wreszcie w ów świat nadludzki, uwielbić go, paść twarzą przed jego tajemnicą.

— Zlec do mnie! Okryj białym twym skrzydłem! Anioł-stróż zawsze przecież tak czyni?! — szeptały niegdyś dziecięce rozmodlone usteczka jego do pulchnego anioła na pospolitym obrazie.

I mały chłopiec długo czekał cierpliwie z rozkoszną a niezachwianą pewnością, że masywny niebianin wysunie się z ramy i opiekuńczym skrzydłem muśnie go po policzku, tak miękko, jak starsi — kiedy go pieszcza. Przekonawszy się jednak, że modły nie wzruszają «niedobrego anioła,» szedł z zaufaniem do najlitościwszej Maryi Panny, a gdy Bogarodzica nie raczyła doń uśmiechnąć się ani przemówić, klękał przed cudownym, przeboskim Jezusem, garnącym do siebie dziatwę hebrajską. Cisnęła się hardo do kolan Jego, jak rozpieszczone małeństwa do nadto słabego ojca.



Obie dłonie wspierał na ciemnych główkach kędzierzawych, a dziwne jego źrenice śmiały się, kochały i marzyły zarazem...

Kłęczał tak godzinami całemi, żebrząc, by cudna twarz w profilu na chwilkę zwróciła się ku niemu — i wzrok ten, rajy pełny, spłynął na jego główkę, tak samo ciemną i kędzierzawą — tylko schyloną w gorącym ubóstwieniu, błagalną...

Ale nawet i ten Najśłodszy nie raczył wejrzeć na lichego robaczka, co wylał się na ziemi za późno, by łaskę Jego oglądać — słońce oczu Jego tylko dla tamtych istniało.

Nieśmiało dziecko nazwać Go niedobrym i nie-  
liłościwym... On-to jest sam widocznie pełen grzechu i niegodny łaski. Odszedł od starożytnego ołtarza, nie śmiać już więcej podnieść «grzesznego» wzroku ku nieruchomej Jasności.

Zasmucił się, lecz nie przestał wyglądać i czekać cudu. Rósł, a wczytując się gorączkowo w badania przedwieczne, w żywoty świętych — pragnął coraz goręcej objawienia.

... «Aż oto ujrzeni w obłokach Bogarodzice w niebieskim płaszczu i białej szacie...»

... «Zdziwieni niewierni zapytywali krzyżowców — jaka to jasna milicya walczyła na ich czele? — Anieli to niebiescy...»

Gdyby on ujrzał! O, gdyby!...

Z biegiem lat wyśniony cud przybierał coraz to odmienniejszą postać! Młodzieniec rósł i dojrzewał, lecz zawsze ludzkie, cielesne oko jego

pragnęło cielesnego kształtu wymarzonej wiary, uchylenia rąbka zasłony nieuchwytnych zaświatów. W ziemię wrosła dusza jego, którą wzgardziłyby najskromniejszy z ascetów i najpospolitszy z naiwnie wierzących prostaków: wierzyć nie mogła, jak dusza Tomaszowa, bez widzianego lub słyszanego dowodu; lecz tak pragnęła tej wiary, że wiedła, nie mogąc rozwinąć spletnych skrzydeł w bezmiarze ubóstwienia...

Gdy w towarzystwie kolegów uniwersyteckich przystępował do spirytystycznych doświadczeń, przejęty i drżący — odbijał prawie dziwacznie od ich wesołego i lekkomyślnego tła. Wówczas gdy oni pragnęli tłómaczyć wszystko prosta, choć dotąd niezbadaną, siłą naturalną, on chciał odnaleźć znowu przebłyski zaświatowe — moce nadprzyrodzone. I chwiała się dziwnie dusza jego, i nawoływały w niej odwieczne jakieś echa.

Długo wyleczyć się nie mógł ze swych wyśnionych nadziei. Tylko się coraz szczelniej zamykał w sobie, nie ukazując oczom ludzkim ani nadziei swych, ani rozczarowań. Z biegiem czasu coraz też częściej przerywały mu te nastroje ostre żądzelka ironii własnej...

Komin począł dogasać. Cudzoziemiec się ocknął i, powstawszy z miejsca, przeszedł się parę razy po pokoju wolnym, znużonym krokiem. Prócz nikłych, konających plam ognia na dywanie — panowała tu tylko jasność księżycowa, ta sama srebrna jasność, w której tonął fanta-



styczny baretelief kryształowy poza smukłym, wysokim oknem. Misterna tkanka lodu coraz wyżej się wspina po czystej, ogromnej szybie szklanej. Cóż to?!... Parę srebrnych lilij o brzegach drżących dyamentową rosą — zarysowało się tak wyraźnie, z taką finezyą konturów a wypukłością kształtów, że smutny człowiek nie może od nich oczu oderwać, pełen nagłego podziwu... Nie widział jeszcze nigdy tych mroźnych kwiatów i liści o formach podzwrotnikowych... Nie chce wierzyć swym oczom.

— Jeszcze jeden nieznany dotąd kaprys natury! Takimi «cudami» chętnie świat materyalny sypie.

Rzuca się znowu na fotel przed kominem, bo mu się zdaje, że chłód z za szyby aż tutaj go dosięga. Tu znowu wzrok jego spotyka na przeciwległej ścianie świetlaną plamę gotyckiego okna w dokładnej kopii. U dołu odbitego obrazu, również jak i w oryginale — występują z przedziwną dokładnością kontury liści palmowych i kędzierzawych akantusów, drżą cienie lilij, różniąc się tylko matowym haftem koronki od lśniących w oknie kwiatów-klejnotów. Niby prawdziwe cienie prawdziwych krzewów, odbite w noc księżycową na murze.

Pomimo, iż wieczór jeszcze nie jest późny, długa samotność po długiej podróży — usposabia nieznacznie do snu ponurego przybysza. I wtenczas, gdy głowa jego znużona chyli się na miękka

poręcz fotelu, zatapiając się coraz głębiej we śnie,— rzeźba lodowa na szybie i cienie od niej na odbiciu posuwają się szybko w górę i rosną wszerg i wzdłuż...

W noc późną budzi się. Czuje ból w odchylonej w tył szyi. Zrywa się z szybkością, wyprostowuje, instynktownie szukając wzrokiem wygodniejszej pościeli, półsenny, półprzytomny, nieoswojony jeszcze z otoczeniem...

Nagle wstrząsa się i błyskawicznie otrzeźwia... Oczy jego, rozwarłe szeroko, wlepiają się z chciwością w tę srebrną ścianę przeciwległą... Na jasnym tle odbitego ostrołuku widzi cień ludzkiej postaci — smukłej, falistowłosej... kobiecej... Postać — utkana z mocniejszych i bledszych cieni i półcieni, tonów i półtonów odzwierciadlanego światła... Gdzieniedzie lśniaca linia lekko zaznacza kontury ciała... U drobnych bosych nóżek snop pysznych lilij, palm, akantusów, które podziwiał z wieczora... To tylko cień... odbicie czyjeś przed nim. A więc tam, z tyłu, za nim — być musi... sam... ów... ów cud może!

Wzdryga się i obraca, pełen oczekiwania i zmartwychwstałej nadziei... «Widzi!» On «widzi» wreszcie. Lecz tak się smutnie wpatruje przez długą chwilę, z tak straszną trwogą niepewności, że serce ściska mu się strachem śmiertelnym, by mu i tą razą nie odebrano wymarzonego skarbu, życia!... Ha! teraz-by już chyba nie przeniósł zawodu!



Lecz nie! przyszło to właśnie wskrzeszające życie — nie śmierć jego... życie nieśmiertelne, wieczne! Więc jest! jest ono...

Postać dziewczca, dziecinna jeszcze prawie, stoi w progu świetlistych podwoi. Promienie złote... czy złote warkocze?... kędziory — aureole, jakie nie okalały nigdy żadnej ziemskiej twarzy, rzucają blaski na twarz tę młodzieńczo-niewinna, genialnie wzniosłą zarazem. Geniusza to — czy ducha żrenice? Wolno w nie raz tylko spojrzeć, lecz patrzeć w nie — nie można... Głębia zbyt straszna dla śmiertelnika. Błękit tajemnych wirów i — raj! Ziemi wzrok karleje i umiera wobec wzroku tego...

Drżący człowiek osuwa się na klęczki i, mrużąc przygasłe oczy przed wielkiem słońcem tych żrenic — czerpie siły w łagodnych blaskach cudnych tych rysów, w dziwnej słodyczy, łagodnych, smutnych ust... A więc «tam» także smutek być musi, jeśli jej nawet usta tak się uśmiechają?... Litość nad nami może?... Lecz wszyscy przecież będziemy kiedyś «nimi...» i dla nas ziemia się skończy... a wtenczas uśmiechy nasze będą tryumfujące...

Smukłe ramiona wzdłuż smukłej postaci opadły... Królewskie kwiaty kłębią się w pysznych kielichach, ścieląc przedziwny ornament pod drobne, bose stopy... Czary lotusów i lilij rozwarły się szeroko. Migocą wizye palm i piór dyamentowych.

Niebianka?... czy zwykła tylko dusza ludzka, — jego własnej duszy podobna, a z ziemskich powłok otrząśnięta, przybyła, by go wprowadzić w świat mistycznych tajemnic?... Nie! chyba takie zjawisko skaląć się ziemskim istnieniem nie mogło!... Czyli aniołem jest, czy zwykłą zmarłą dziewczką — objawieniem jest, cudem.

Lecz tyle lat życia nie mogło przejść bez śladu. Po pierwszej chwili ekstazy tylokrotnie już zawiedziony marzyciel usiłuje znowu rozumować, zwalczać wyobraźnię swoją, próbuje wykryć ślepotę swych zmysłów.

— Czy jesteś nowym, wspaniałym snem «ze srebra i kryształu?» snem poety-malarza, nagle obudzonego we mnie? plastycznym wytworem spragnionej duszy mojej?... A więc zniknij mi z oczu, bo i ty także «niczem» dla mnie będziesz?

Lecz oto słyszy głos — nie zwykły głos, z piersi wydany a brzmący w powietrzu, tylko głos ducha, słyszany uchem duszy:

— Zbliź się!

Posłuszny rozkazowi podnosi się z klęczek... i z wolna postępuje ku wizyi, dreszczem świętokradzkim przejęty. Lecz im więcej się zbliża, tem bardziej ucieleśnia się i wypukleje cudowna postać, tem potężniej pałą go i oslepiają promienie bijące od niej, tem boleśniej zamiera mu oddech od mocnej woni bajecznych kwiatów. Czuje powiew fałdzistych szat, siłę żywego potężnego wzroku, czuje blisko istnienie to wielkie całem



marnem istnieniem swoim... Chciałby się cofnąć i paść u stóp tych, błagając czemuś... o miłosierdzie. Istota jego cała, jak słaba ćma nocna w nęcącym ją potężnym ogniu — zamiera, kurczy się, mdleje...

Lecz ten sam głos, słyszany tylko uchem ducha jego, odzywa się znowu, pełen rozkazu:

— Dotknij mej dłoni!

Nie może się już cofnąć, pomimo rozpaczliwego wysiłku. Krok jeszcze naprzód postępuje, choć nie własnowolnie. Wyciąga miotającą się w bezsilnym oporze rękę. Dotyka wreszcie «tej» dłoni...

Krzyk straszny, pełen bólesci, wyrwa mu się z piersi. Dłoń jego ujmuje drobna ręka... ręka paląca ogniem... mroząca lodem!? Ogień? czy lód? odróżnić tego nie może, jakgdyby ogień i lód mogły się spoić w jeden spazm bólu i rozkoszy!... Osłabłe serce bić przestaje, oczy zachodzą mgłą. Omdlewa czy kona?...

Nagle uczuwa jak wracające życie wsącza się znowu w całą istotę jego. Dłoń, wypuszczona z uścisku, opada znowu wolna. I słyszy głos, brzmiały więcej niż przedtem litością pogardliwą:

— Abyś miał i na przyszłość dowód oczywisty, gdyż taki tylko dostępny jest biednej duszy twojej — odtwórz co widzisz przed sobą.

Słucha słów tych już z sercem mniej bijącym. Czuje, że jest już w tej chwili tak zdrowym i przytomnym, tak włada sobą i tak rozumie

wszystko, jak gdyby w ranek słoneczny szedł wonną miedzą polną wśród łąków. Świadomość ta uszczęśliwia go nad wyraz wszelki... Odtwóżyć?! Ależ pragnąłby tego z duszy całej! tylko — jak to uczynić? Od kiedyż nie rysował! nie rzeźbił nigdy w życiu! Umiał tylko uwielbiać sztukę i studyować ją w cudzych dziełach... Gdyby zaś nawet był artystą — zlepkę gliny, ołówka czy pędzla, papieru czy płótna — nie znalazłby przy sobie.

Lecz oto głos brzmi znowu z tą samą pobłażliwą ironią:

— Czyż o to chodzi? Obraz być *musi* podobnym do oryginału, chociażby węglem z kolumna, włożonym w rękę twą niedołączną, wodzona po błękitach tego jedwabiu. Śpiesz się, gdyż model twój pozować długo nie będzie.

Gwałtownym ruchem zrywa z nad łóżka niebieską kotarę — i ciężki jedwab rozściela się na podłodze, jak gruby kobierzec bez zmarszczek i zagięcia. Chwyta kawałek węgla, tak zaostrozony, jak gdyby go wybierał malarz do pierwszych szkiców swoich. Przykleka, i oko pewne, bystre i natchnione — zatapia śmiało w nadludzkiem modelu swoim... Węgiel zaczarowany kreśli z szybkością błyskawiczną przedziwne linie, rozplywa się w skrzydlatych, lekkich cieniach. Nie widzi zresztą co kreśli ta ręka mistrza, w słabą dłoń jego wrosła, lecz tylko cichy, skupiony, wpatruje się w oblicze cudu swego. Ale i ten



nawet — niezwykle wzrok jego — pierzcha i teraz przed «tamty» wzrokiem — i ta nawet, niezwykła teraz, dłoń jego — nie śmie przenieść «tych» oczu na obraz, który kreśli. Jak w posagu antyocznym — zostawia ona pustkę w podłużnej oprawie źrenic.

Model milczący i posagowo spokojny stoi przed nim majestatycznie a cicho, jak nigdy żaden model ziemski nie stał przed żadnym malarzem. Stoi tak do ostatnich pociągnięć węgla cudownego. Dziwny nocny artysta stracił rachunek czasu. Nie wie — chwile czy wieki całe — spędził na klęczkach, rysując... Lecz oto skończył. Węgiel wypada z mdlejącej nagle dłoni jego. Teraz-by już ona żadnego ruchu uczynić więcej nie mogła. Straszliwe znużenie okuwa chwiejącego się człowieka. Chciałby się dźwignąć z klęczek, lecz czuje, że bez pomocy obcej uczynić tego nie może. Oczy tylko jego, wciąż rozpalone ekstazą, wpatrują się jak dawniej w obłok ze srebrnych promieni i srebrnych kwiatów.

Tymczasem postać niebiańska zaczyna nagle różowieć i złocić się naprzemian. Księżycowa srebrość jej lica zabarwia się podmuchem tonów ciepłych, różanych. Zjawisko całe, jak Venus w skrzydłach Aurory na progu z piany morskiej — rozkwita niespodzianie przepyszny ziemskim blaskiem. Seraf-dzieweczka zmienia się nagle w cudną pogańską boginię. Rozkoszny uśmiech zawisa na purpurowych jej ustach. Gorące złote

iskry migają w fałach ciężkich warkoczy. Smukły kształt ciała półdzieciniego dojrzewa w greckiej doskonałości... Potężny prąd świeżej siły odradza ciało jego. Zrywa się z klęczek i rzuca się gwałtownie ku tej królowej czaru... Nie puści jej! nie puści!

Nagle kaskada gęsta kwiatów spływa z góry pyszniemi potokami. Bogini znika za ich tęczową zasłoną. Znika — jak błyskawica wiosenna wśród puchów chmur majowych... I oto już tylko się kołyszają na grubych złotych łodygach ciężkie kielichy purpurowe na miejscu białych lotusów i lilij... dalej wielkie liście zębate, jakby z perłowej masy rzeźbione — a lśniące seledynem, szafirem i szmaragdem... Przeklęte kwiaty! Rzuca się ku nim, drżący od gniewu, by stargać ich łańcuchy, by przebić ich zasłonę... Lecz wyciągnięte dłonie jego kurczą się nagle i martwieją w płomieniach czerwonych, kołających tych kielichów — i w lodach liści seledynowych... Płomień czy lód?!... Lód tylko... lód... A przez te lody patrzy na niego dziwne, krwawe a bezpromienne oblicze niewidzianego dotąd słońca...

\* \* \*

Wyblakłe tło perłowo-niebieskie, do srebrzystego tła księżycowej nocy podobne. Na niem ślizga się w locie, czy też zstępuje z góry — wysmukły cień kobiecy. Miejscami rysunek ściele



się puszyście — jak aksamitny obłoczek, co go lada podmuch uniesie, jak pyłek kwiecia, co go lada wiatr rozwieje.

Gdzieindziej, skreślony tylko paru silnemi ry-  
sami, przykuwa oko twórczą mocą. Przecudna  
głowa uderza dziwnym kontrastem ostro-faluja-  
cych kędziorów, jak węże meduzy niecierpliwie,  
szkicowo zaznaczonych — obok miłosnego wy-  
kończenia udochowionej, mistycznej twarzy, obok  
zimnej pustki posągowych rozwartych źrenic.

Przed tą błękitną ścianą długie godziny spe-  
dza szczęśliwy człowiek — jedyny może szczęśliwy  
na całym świecie. Od nocy «objawienia» sprawy  
świata tego są dla niego igraszką dziecinną, z wy-  
soka traktowaną. Duszę jego wypełnia błogi  
spokój posiadania skarbu, którego nic wydrzeć  
nie zdoła. Na ustach zastygł na zawsze uśmiech  
pewnej siebie wyższości.

Raz jeden przypadkowo wszedł do sanctua-  
rium jego znakomity malarz-ziomek.

— Kto wpadł na tak dziwnie-piękny po-  
mysł? Nic podobnego nie widziałem w życiu! —  
zawołał po długiej chwili milczącej kontempla-  
cyi. — Jest to zachwycające!

Żadnym słowem nie odpowiedział na to —  
tylko przeciągłe westchnienie szczęścia wysoko  
uniosło pierś jego.

Wszak dłuta ani pędzla nigdy nie trzymał  
w dłoni...



## S P I S.

	<i>Str.</i>
Na krańcu Świadomości. (Urywek). . . . .	1
Zapóźno. Elegia. . . . .	20
Ismael. (Kontur psychologiczny). . . . .	37
Po wyroku. (Fantazya na tle prawdziwym) . . . . .	113
Lenora. (Na temat Bürgera). . . . .	144
Uwieńczony. Opowieść grecka. . . . .	180
Zdrajcy. (Moment). . . . .	206
Wydanie pośmiertne. (Z myśli zagasłych). . . . .	218
Cud. (Nokturn). . . . .	248

